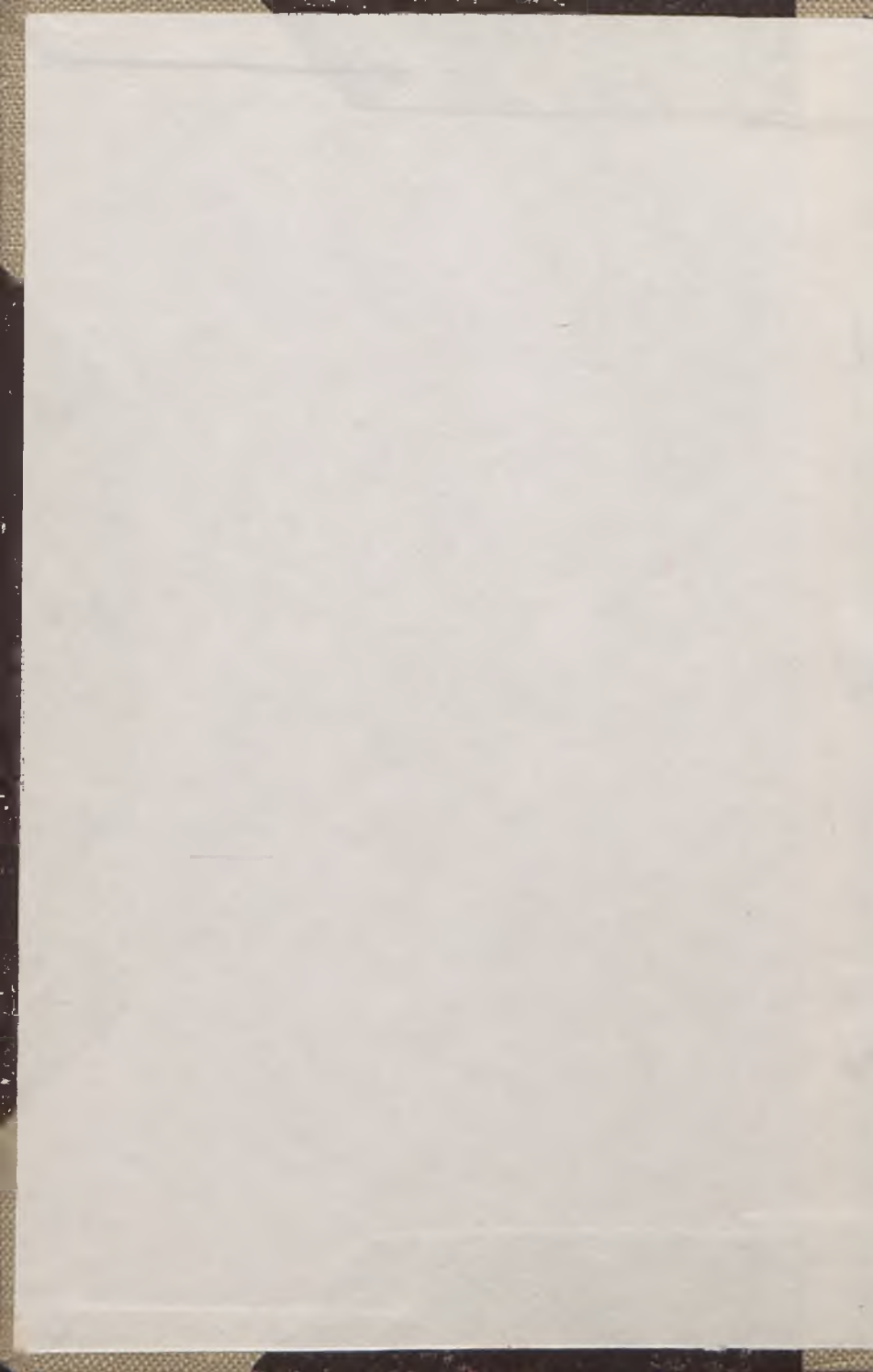


PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14

28682



BIBLIOTEKA ARCYDZIEŁ POEZJI I PROZY

— POD REDAKCJĄ STANISŁAWA PIGONIA —

NR 80

ALEKSANDER FREDRO

TRZY PO TRZY

PAMIĘTNIKI

OPRACOWAŁ

HENRYK MOŚCIĆKI

ROZPRAWĄ OPATRZYŁ

WACŁAW BOROWY



KRAKÓW 1949

WYDAWNICTWO M. KOT

x 522/61



28682

L. zam. 254/1949

M-52053

Druk rozpoczęto 21 XII 1949, ukończono 13 I 1950

Nakład 7.300 egz.

Ark. druku 13^{3/4}

Papier V kl., 70 gr., 61×86

P. K. Z. G. Nr. 19 W KRAKOWIE, UL. JÓZEFA SAREGO 7

Ośmnastego lutego roku 1814 jechał na białym koniu człowiek średniego wieku, nieco otyły, w sieraczkowym¹ surducie pod szyję zapiętym, w kapeluszu stosowanym bez żadnego znaku prócz małej trójkolorowej kokardy. Za nim w niejakiej odległości drugi, znacznie młodszy, także w surducie, ale ciemnozielonym, także w kapeluszu bez znaków, także zgarbiony równie jak pierwszy a może i lepiej, — siedział na dereszowatym² koniu. Koń biały, krwi orientalnej³, był niewielki, niepokąźny, ale dzielny. Deresz zaś był... dereszowaty, trudno co o nim więcej powiedzieć; nie wstrzymywany ani sławą przodków ani swoim własnym usposobieniem, potykał się często na drodze, którą mu los codziennie wyznaczał. Pierwszym z tych jeźdźców był Napoleon, drugim byłem ja. Między nami liczny sztab cesarski, gdzie ja niby na szarym końcu miejsce moje miałem, rozpuścił szeroko skrzydła na prawo i na lewo po śniegiem odkrytym polu. Za nami postępowały służbowe szwadrony gwardii, a na samym końcu świergotliwa i niesforna czereda ciurów z powodnymi⁴ i jucznymi końmi sztabowych oficerów. Jechał więc Cesarz, jechali wszyscy, jechałem i ja.

A ile w noc pogodną gwiazd na niebie, w tyle miejsc, stron, przedmiotów, nieodgadnionych labiryntów pędziły rozstrzelone myśli nasze, — a każda z nich znowu, jak racy słup ognisty, składała się z milionów iskier, iskier wspomnienia lub nadziei. Te padały to na tronowe kobierce, to na murawę zagrody rodzinnej, mieszały się z jarzącym światłem uczyty albo z mdłym promykiem nocnego ka-gańca przy łożu chorego. Niejedna przemknęła się po różanych ustach kochanki, niejedna spuściła się jak sen lekki po tak drogic

¹ Szarym. ² Siwym. ³ Wschodniej. ⁴ Luźnymi.

w każdej porze życia błogosławieństwo matki. Były takie, co przebijają niebios sklepienia, i takie co wnikały w zasute już groby. Wiele, wiele pięło się po szczeblach zaszczytów, bogactw, sławy, ale też i wiele spadało na kwiaty cichego domowego szczęścia. Słowem, przeszłość, obecność, przyszłość, świat, światy znane i nieznanne były polem igrzysk naszych rozstrzelonych myśli, gdy nagle, w mgnieniu oka, wszystkie jedną siłą uderzone w jeden zbiegły się punkt.

Tym punktem był huk mocny i powtórzony w niezbyt dalekiej przed nami odległości. — Armaty! tak, armaty, nie ma wątpienia, ryczą coraz lepiej jak na wyścigi, która głośniej... wkrótce i ogień karabinowy, jakby kto groch sypał na bęben, zapełnił przerwy grzmotu działowego. — Aha! rzekł niejeden i zaglądnął do manierki, *alias*⁶ flaszki. — Aha, powiedział, ale nic nie wiedział, kto atakuje, kto odpiera, czy to korpus jaki, czy też armia cała taniec rozpoczyna, szary koniec nic nie wiedział. — Biją się... daj Boże szczęście, to *quotidianka*⁶ nasza, ale dlaczego tu nie tam, dziś nie jutro, nad tym nikt się nie zastanowił.

Podówczas krytyczny rozbiór każdego rozkazu, każdej czynności przełożonego nie był koniecznym zadaniem podkomendnych. Wojsko nie sejmowało, ale się biło. Starszy zdawał sprawę tylko swemu starszemu, a młodszy słuchał z ufnością i działał, jak mu kazono. Ale *tempora mutantur et nos mutamur in illis*⁷. Może i to prawda, że kto siwieje, ten traci duszę, jakby mu ją kto łupał trzaska po trzase, tak że na koniec zupełnie bez niej zostanie... może prawda, że rozwaga tylko hamuje, doświadczenie tylko płacze niepotrzebnie... może prawda, że krew młodością wrząca jest jedną i jedyną dźwignią wszystkiego co dobre i wielkie... może nareszcie i to prawda, że tylko głupcy, próchna, stare peruki i szlafmyce⁸ pytają, jaki czego koniec być może. Tak jest, wszystko to mogą być prawdy, ale mnie wolno tym prawdom nie wierzyć. Lubom przeszedł pięćdziesiątkę, żal mi abdykować⁹ praw człowieka, już bym skłonił się raczej włosy sobie poczernić.

⁶ Czyli, inaczej. ⁶ Codziennosc. ⁷ Czasy zmieniają się i my wraz z nimi.

⁸ Czepki nocne, w przenośni: niedołęgi.

⁹ Zrzekać się. — Fredro urodził się w r. 1793.

A więc, jak mówił Kiliński¹⁰, nikt wkrótce nie wątpił, że bitwa przed nami, a my ku niej idziemy. Rzeczywistość jak ów je-sienny wietrzyk o wschodzie słońca, co to ożywia ale i ćwiczy ra-zem, odpędziła od nas chmurę marzeń, która zwykle osiada na jed-nostajnym ruchu spokojnego marszu. Każdy wstrząsł się jak ze snu i pomyślał o sobie. Ten co w troje zgarbiony dzwonił ostrogami po spuszczonej strzemionach, i ten co chcąc odpocząć strudzonej czę-ści ciała zsunął się na bok tak, że jedną nogą olstrów¹¹ sięgał, a na drugiej stał prawie, poprawił się na kulbace, jak gdyby usłyszał ko-mendę: — Baczość! Ten ścisnął podpinkę czaka¹² lub kapelusza, tamten cugle porządkował i szlufkę¹³ do grzywy przysunął, a każdy odkrył zasłoniętą płaszczem rękojęść pałasza, opatrzył ją, a potem wzniosłszy głowę, zdawał się wietrzyć, nim jeszcze zoczy, co go wi-tać będzie.

Nareszcie pokazał nam się dym biały, a wkrótce postrześliśmy czarne linie piechoty. Długie, krótkie, naprzód wysunięte, w tył co-fnięte, odbijały się od śnieżnego tła jak świeżo wysypane przekopy, tylko wkoło nich objawiało się życie nieustannym ruchem drobnych punkcików, jak mrówek koło mrowiska. Nikt tam pewnie nie drzy-mał, nikt nawet nie dumiał, — nigdy życie raźniej i jaskrawiej nie gore jak ze śmiercią oko w oko, i częstokroć jego mocniejsze łyśnię-cie bywa ostatnim.

Na pierwszy rzut oka można było poznać, że nie przybywamy na początek boju. Wiatr przeciwny, czy ciężkie powietrze, czy też położenie kraju, albo może i wszystko razem było przyczyną, dla-czegośmy tak późno zasłyszeli huk dział. Była to niespodzianka... i dobrze!... we wszystkim trzeba odmiany i nowości, aby żyć we-solo.

Z lewego skrzydła wstępujemy do boju... *Vive l'Empereur!*¹⁴ Linie ścisną się w masy... działa schodzą z pozycji... ruch ku pra-wemu... potem kolumny rozwijają się znowu... baterie stają w od-

¹⁰ Jan Kiliński, szewc warszawski, bohater powstania 1794 r., w pamiętni-kach swych często niepotrzebnie używał spójnika *więc*.

¹¹ Futerałów na pistolety przytroczonych do siodła.

¹² Czapki wojskowej, kaszkietu. ¹³ Pętlicę (z niemieckiego *die Schleife*).

¹⁴ „Niech żyje cesarz!”.

8

działach... strzelamy, atakujemy, zwyciężamy... Montereau w naszym ręku¹⁵. Zwinęliśmy się gracko, nie ma co mówić, ale miał się też z pyszna pan marszałek Victor za to, że nas w tym dziele nie uprzedził¹⁶. Powiedział mu Cesarz parę słów, które należałoby powtórzyć, tak jak wszystko, co wyszło z ust tego wielkiego człowieka, bo każdy je słucha albo czyta chętnie, ale Cesarz, aczkolwiek cesarz, miewał czasami wyrazy dobitne wprawdzie i właściwe i węzłowe, trudne jednak dla historyka do powtórzenia, a tym więcej do przetłumaczenia. Trzeba więc ograniczyć się w podobnym razie na wolnym naśladowaniu, tak też i ja uczynię, mówiąc, że po bitwie pod Montereau Cesarz powiedział panu marszałkowi: „Idź do diabła!” — A po tej krótkiej przemowie powierzył komendę korpusu generałowi Gérard. Nim się to wszystko stało i nim ja się o tym dowiedziałem, bateria artylerii konnej gwardii, z ogrodu pałacu Surville, dominującego¹⁷ miasteczko Montereau, równie jak i drogi, którymi wypędzony cofał się nieprzyjaciel, żegnała go jak mogła najlepiej. Wie każdy, że tam Napoleon sam wymierzył jedno działo, — wie, że powiedział swoim gwardzistom: „Nie lękajcie się, jeszcze kula nie ulana, która mnie zabije“, ale nie wie pewnie, że o kilkadziesiąt kroków z tyłu stał deresz, a na deresz ja.

Chcąc wyrazić doskonałość jakowej czynności, mówią zwykle: Zrobił to lub owo jak król! Ale źle mówią ci, co tak mówić zwykli, bo nie tylko król, ale cesarz i król w jednej osobie wymierzył, strzelił i... chybił. Kula padła przed linią nieprzyjacielską. Utrzymując wprawdzie niektórzy, że dobrą dał dyrekcję¹⁸... być może... ale ja nie rezonując¹⁹ jako artylerzysta, powiadam *simpliciter*²⁰ com wiedział, że Jego Cesarska Mość spudłowała na piękne.

Po tej scenie nastąpiła druga. Oficer z pułku liniowego francuskiego, Polak, przyniósł zdobyty sztandar, — dostał krzyż i czter-

¹⁵ Montereau — miasteczko w departamencie Sekwany, pamiętne zwycięstwem Napoleona nad armią sprzymierzonych 18 lutego 1814 r.

¹⁶ Victor-Perrin, książę Belluno, marszałek francuski. Krótki wypoczynek, na jaki pozwolił swoim żołnierzom, był powodem utraty mostu pod Montereau, za co rozgniewany Napoleon zastąpił Victora przez gen. Maurycego Stefana hr. Gérarda.

¹⁷ Górującego nad. ¹⁸ Kierunek. ¹⁹ Rozumując. ²⁰ Po prostu.

dzieści napoleonów²¹. Mało kto w życiu bywał tak mocno tureckim świętym jak ja, a jednak pieniądze jako część nagrody świętego czynu nie podobały mi się wcale, — byłem jeszcze młody!

Mieć konia mniej roztargnionego jak mój deresz... mieć dobry płaszcz... (O mój płaszczu biały!) płaszcz przyjaciel w dzień, opiekun, dobrodziej w nocy, kiedy pniaczek za poduszkę, śnieg za materac służy... mieć nareszcie fłaszeczkę zawsze napełnioną kroplami pociechy²², są to rzeczy arcydobre, tego nikt nie zaprzeczy, równie jak i tego, że bez tych podłych pieniędzy miejsca mieć nie mogą. Wychodzisz spod dachu, gdzie wygodnie noc przespałeś... poranek letni... koń twój dobrze nakarmiony i wychędożony strzyże uchem, grzebie nogą... siedzisz na nim ledwie tknąwszy grzywy i strzemienia... Marsz! Wstępujesz do boju. Przed tobą rzeka, za rzeką bateria sypie kartaczami. — Za mną dzieci! W Bogu wiara! Rzeka przepłyniona, działa zdobyte, zwycięstwo nasze! Czyn święty, wart nagrody, ale ty rozwinąłeś tylko przy pomyślnej sposobności władze, które jeszcze nietknięte w tobie leżały. Padły na szalę z jednej strony obawa kalectwa lub śmierci, z drugiej męstwo rozgorzałe całym ogniem krwi, całym zdrowiem życia, musiała więc obawa ulecieć, nie objawiwszy się nawet.

Ale patrzno na tego, co po kilkomiesięcznej, codziennej walce z głodem, zimnem i wrogiem odtrąca resztę skopciałego snopka spod pyska zgłodniałej szkapy... wznosi się na kulbakę, pod którą ścierwa już nie ma... odwija szczątki płaszczu... chwyta za rękojęść, którą deszcz zardzewił, szron posrebrzył... a jeżeli on zadziwi cię świętym czynem, oddaj mu twój wieniec, bo go dwojako zasłużył. Jeżeli zaś dobrowolnie poświęcił się dla dobra ogólnego, uklęknij na jego mogile, godzien czołobitności.

Tak widzieliśmy saperów francuskich wstępujących w przelamane lody Berezyny²³. Oni, naprawiając załamane mosty, życie swoje za pomost kładli... dobrze o tym wiedzieli, a jednak nie cofnęli kroku. Nie mieli do wzniesienia swojej odwagi nawet oporu nieprzy-

²¹ Złota moneta francuska wartości 20 franków, bita za Napoleona I.

²² Tj. wódką.

²³ Podczas słynnej przeprawy armii napoleońskiej 26—28 listopada 1812 r.

jaciela... nie mieli na oku progów ojczystych, skąd by pożegnanie towarzyszyło ich męczeństwu. Poginęli w śniegach litewskich lub więzieniach wileńskich. Niewdzięczna ojczyzna nie podała nawet ich imion potomności. Jeden z nich tylko wrócił do Francji i na własnej grzędzie pędził w niedostatku dnia starości i cierpienia. Napoleona już nie było.

„Wszystko musi się skończyć“, mówił Ludwik XV²⁴, bodaj mu Bóg tego nie pamiętał, — skończyła się więc i bitwa pod Monttereau. Jeszcze na dobranoc dwie kule wirtemburskie przeleciały gdzieś wysoko ponad nasze głowy i jak słonki na wiosnę zapadły w grabowe szpalery. Wszystkie te kule puszczone *à toute volée*²⁵ są zawsze pod adresem ciurów i bywały dla naszych jeszcze cięższą boską plagą niż sam marszałek Lefèbvre. Jeżeli gdzie w ciasnym miejscu lub na wąskim mostku przechód został zatamowany, a Lefèbvre nadjechał, — kroił bez litości ogromną trzcina z ogromnego skarogniadego hiszpańskiego ogiera *les vilains brosseurs*²⁶ i kantynierki²⁷, którym także właściwych nazwisk nie szczędził. Znały go też ciury, znała niewieścia konnica. Na jego pierwsze *sacrrr...*²⁸ rozwijała się jakby z kłębka splątana ciżba, której nieraz i czoło komuny starej gwardii rozsunać nie zdołało.

Są wszędzie arcyksiążęta, arcybiskupi, w Galicji jest nawet arcystolnik, ale nigdzie nie ma arcyciury, — a tym powinien być *par droit de conquête et par droit de naissance*²⁹ mój Onufry. Wysoki, pleczysty, chciwy łupu, skory do kieliszka równie jak i do bójki, kiedy odbierał rozkazy, wypręzał się jak struna, brzuch w tył, pierś przód, stawał skosem jak Pizańska wieża³⁰. Odpowiedź jego była wsze: „Słucham“. Bał się kozaków jak diabeł święconej wody. Wszystko to kazało wnosić z niejaką pewnością, że był kiedyś w rosyjskiej służbie i że nie dopełnił potrzebnych formalności przy podaniu swojej dymisji. Jeżeli kto schylony nad jakimś hauptmanem lub praporszczykiem³¹, co już nigdy nie ujrzy ojczystej zagrody, ściga

²⁴ Król francuski (1710—1774). ²⁵ Salwami. ²⁶ Szkaradnych łazików.

²⁷ Markietanki, sprzedające żywność żołnierzom. ²⁸ *Sacreblé* — do licha.

²⁹ Prawem zdobyczy i urodzenia.

³⁰ Słynna krzywa wieża w Pizie, we Włoszech.

³¹ Hauptman — kapitan; praporszczyk — chorąży.

z niego to, czego ściągnąć własni nie zdołali koledzy, albo sylabizuje po szwach i zakładach najmniejszej odzieży, czy nie doczyta się gdzie zaszytego dukata lub talarka, to pewnie Onufry. Jeżeli kto szuka furazu nie w stajni, nie w stodole, ale po kufrach i szufladach, to pewnie Onufry. W Dreźnie przyjąłem go i tydzień nie minął, już stał się powodem niemałego dla mnie kłopotu.

Powiem, co się stało, bo też nie mam innego celu, pletąc trzy po trzy, jak tylko bawić się, niby dziecko wolantem³², wspomnieniem lat przeszłych, — przerzucać obrazki, których mniej więcej każdy nagromadzi w skarbonkę swojej pamięci. Ale chcąc śpiewać „Achilla gniew zgubny“³³, muszę zastanowić się pierwej, czy mam przedstawić nagą prawdę, czyli też, pożyczając jej tła, zarzucić ją kwiatami fantazji. Prawda w oczy kole, może ukłuć i w uszy, o tym każdy opowiadający pamiętać powinien; ale znowu z drugiej strony uganiać się zawsze za kwiatami i tylko za kwiatami, nimi tylko sypać, nimi zdobić i stroić, strach, by się nie zdarzyło, że ołtarz nie wart ozdoby, albo ozdoba nie godna ołtarza. Prawda tylko piękna! prawda, prawda — wielkie słowo.

Ale z prawdą jak z ogniem: grzeje, ale i pali razem. Oby to chcieli poznać i pamiętać ci, co się weredykami³⁴ lubią nazywać. Stąd szukają zalety i chluby. Niejeden z nich chępliwie wywołuje: „Powiedziałem mu prawdę, aż mu w pięty poszła!“ Brawo! Ciąłeś jak chirurg, wpuszczałeś sondę w ranę bez względu na boleść chorego. Ale czyż to cięcie było koniecznym? Miałżeś zaraz w drugim ręku gojący balsam? To pytanie... tak jest, wielkie pytanie, równie jak i to, czy ta prawda, którą wciskasz w głębi serca, którą macisz myśl swobodną, którą — jak drugi los — wytrącasz z dawnej, a rzucasz w nową kolej, — którą zgniatasz czasem całe życie duszy, zgniatasz na miązgę jak ową jagodę, co ci padła pod stopę i której potem już jeden Bóg tylko może wrócić dawny kształt, dawne jądro, dawną barwę, czy ta prawda, mówię, jest istotną prawdą? Czy nie jest owocem twojego tylko własnego rozumowania, rozumowania podległego błędom, bo lubo weredyk, nie je-

³² Lekkim powozikiem. ³³ Pierwszy wiersz w *Iliadzie* Homera.

³⁴ Weredyk — człowiek mówiący prawdę w oczy.

steś niczym więcej jak człowiekiem. A jeżeli jeszcze twój wyrok ozłacasz przyjaźnią, wzmacniasz ufnością w nią tego, co się wije pod twymi razami, — jeżeli nie rozważyłeś wprzód, czy wyjawienie owej mniemanej a bolesnej prawdy jest nieodzownie potrzebnym, — czy nareszcie masz w rękę środki zaradcze, — wtedy jesteś bez serca, bo się pastwisz, bez rozumu, bo działasz bez celu. Po cóż pozbawiasz mnie ufności w siebie i ludzi, jeżeli nieufność nic naprawić nie zdoła? Po co mniesz, zrywasz moją uludę, jeżeli nikomu szkodną nie była, a rzeczywistość ani mnie, ani komu bądź pomoc nie może? Dlaczego nie pozwalasz mi snu, gdy zadrzem na szczątkach mego szczęścia lub nadziei moich, jeżeli mi dać lepszego posłania nie jesteś w stanie? Czemu gasisz pochodnię, co mi swoją łuną w daleką przyszłość świeciła, kiedy nie stać cię w twoim ubóstwie na jedną iskierkę? Dlaczego rachujesz mi w ucho wszystkie grotty na mnie rzucone, kiedy od nich nie zasłaniasz, a ja uniknąć nie mogę? Po co? Czemu? Dlaczego? Tysiąc razy jeszcze mógłbym się zapytać, ale zawsze musiałbym odpowiedzieć: — Dlatego, bo lubisz pluskać się, przeciągać, rozkoszować w ciepłej kąpiółce zadowolenia z własnej wyższości, bo lubisz mieć klęczących wkoło siebie, bo wtenczas tylko widzisz się wyższym.

Proszę mi przebaczyć ten, że się tak wyrażę, gwałtowny wybryk przeciw weredykom. Bo taki weredyk stąpił kiedyś na serce moje i zgniótł je raz na zawsze³⁵. Przyjaciół, stał się tłumaczem niby opinii powszechnej. Zapewnił mnie, że jestem nienawidzony. Za co? Nie wiedział, ale tak słyszał, — zapewniał, że dążności dzieł moich są potępiane. Dążności? Jakie? Nie wiedział, ale tak słyszał. Zapewnił, że ogólnie ganią sposób, jakim dopiero myślę wychować syna, i wiele, wiele jeszcze podobnych zapewnień. Odurzony odkryciem z ust tego, którego przyjacielem być mniemałem, a za tym i o poprzednim zgłębieniu z jego strony wątpić nie mogłem, opuściłem ręce i przestałem żyć i pracować dla świata. Dziwna rzecz. Niech każdy człowiek w późniejszym wieku spojrzysz w życie za siebie, — niech dobrze śledzi powody,

³⁵ Zdanie Fredry o weredykach wywołane zostało rozżaleniem na krytyków jego dzieł scenicznych.

przyczyny ważniejszych swoich zdarzeń, a ujrzy pewnie jakąś osobistość, która zawsze w jego atmosferze jakby drabant³⁶ obok niego grawitowała³⁷ i która zawsze pośrednio albo bezpośrednio, z wiedzą lub bez wiedzy, wywierała swój wpływ na jego życie, pomimo nawet częstokroć niższego stopnia wiadomości i ukształcenia albo i rozumu naturalnego.

Nie jest wszakże myślą moją ganić rady lub przestrogi rzetelnej życzliwości, napomnienia macierzyńskie szczerzej przyjaźni, — przeciwnie, szczęśliwym nazwę tego, który zawsze miał je przy sobie w podróży życia, jak owe różdżki wrzосу wzdłuż przepaścistej ścieżki, co niby rękę podają podróżnemu, jeżeli mu się czasem noga z dobrej drogi zesunie.

Ale gdzież mnie, w jaki świat daleki odwiodło to słowo: P r a w d a. Spinałem się po szczeblach, co się za mną łamały, a teraz jakże wrócić na poziom? Skoczyć trzeba, nie ma innego sposobu. Skaczę więc równymi nogami do Onufrego, jego kłótni i bójki. Powiem prawdę, rzuciwszy wszakże na nią lekką gazę przyzwoitości, na jaką stać tylko może starego ulana.

Jednego wieczora, było to w Saksonii, w Dreźnie, w oberży „Pod Jeleniem“, gdzie stałem kwaterą. Onufry poszedł do Rezli sztabmadli³⁸, i zawołał czystą niemiecczyną: „Na — top!“ — Dziewczyna rozśmiała się i przedrzeźniać zaczęła. — „Czego się śmiejesz, małpo? — krzyknął luzak po polsku — nie rozumiesz co: Na — top?“ — „Od słowa do słowa, aż boli głowa“, powiedziałby pan Jowialski³⁹, bo Onufry postąpił sobie nareszcie z Rezlą, jak ów gminną piosenczką⁴⁰ wślawiony z Małgorzatą Grzegorz, ale Rezla miast zawołać: „Czegóż?“ — walnęła go w łeb lichtarzem. Że zaś świeca w tym razie zgasnąć musiała, ciemnota pokryła tę część

³⁶ Nieodłączny towarzysz. ³⁷ Krążyła.

³⁸ Rezla — po niemiecku zdrobniałe imię Teresa. Sztabmadla — pokojówka (z niemieckiego *das Stubenmädchen*).

³⁹ Pan Jowialski w komedii Fredry pod tym tytułem układa na poczekaniu wiersze i przysłowia.

⁴⁰ „Tańcowała Małgorzatka, tańcował i Grzegorz. On ją kopnął w ... nogą, ona pyta: Czegóż?“

historii. Że jednak coś padło z jednej i drugiej strony, wątpić nie można.

Kiedy to wszystko działo się na dole, ja na drugim piętrze spokojnie kończyłem wieczerzę z kolegą kapitanem Maciejowskim. Rozmawiamy sobie o tym i o owym, wtem... otwierają się drzwi i Onufry wpada. Twarz zarydzona⁴¹, nozdrza sapiące, kawał knota na czole, powiadały nam wyraźnie, że walka była gdzieś stoczona i że spieszny odwrót ma miejsce. Nim jeszcze słowo mogło być wyrzeczone, wbiegł *hausknecht* ze świecą w rękę, a za nim sam pan gospodarz. — „Wo ist er?“ — „Da steht er!“⁴³ I już luzak wziął w papę, aż nosem pociągnął. Wtenczas to wymknęło mi się, co się tak łatwo z ust polskich w podobnym razie wymyka: „A walże!“ — Nie potrzeba było mówić dwa razy. — Onufry jak Niemca utnie... Ach, co za szkoda, że dla przyzwoitości stylu nie mogę powiedzieć: „jak utnie w pysk!“ — bo w tym, acz gminnym, wyrazie leży tyle prawdy, tyle nawet naśladowczej harmonii, — ale nie wypada, nie można, więc powiadam, Onufry jak utnie Niemca gdzieś między nosem a uchem... aż szyby brzękły — *Schön!*⁴⁴ Niemiec zwinął się, toczył i chylcem, zygzakiem jak lis postrzelony leciał, i aż w przelotnym rogu padł na kanapę. A nim się zerwać zdołał, już Onufry zał na nim.

Jeżeli kto aby raz w życiu widział niedźwiedzia idącego hurku⁴⁵, kiedy schwyci pod siebie jednego z kundli, a kiedy mu ugi tymczasem szarawary⁴⁶ skubie, łatwo wystawi sobie walczącą upę. *Hausknecht*, krzycząc w niebogłosey, usiłował ściągnąć ze swojego pana zajadłego nieprzyjaciela, ale jedną tylko ręką, bo drugiej trzymał świecę, a świeca kosztuje *einen Groschen*...⁴⁷ a on świecę odpowiada... porządek przede wszystkim. Chwyciłem go reszcie za kołnierz i nogą za drzwi pchnąłem, zostawiając wolny drogę sprawiedliwości. Wkrótce jednak zląkłem się, bo Sas już głosu puszczał, — zląkłem się, czy przypadkiem za mocne uderzenie strąciło filigranowego⁴⁸ niemieckiego karku. Zawołałem: „Dość

⁴¹ Zacerwieniona. ⁴² Służący. ⁴³ „Gdzie on jest?“ — „Oto stoi“.

⁴⁴ Dobrze. ⁴⁵ Z hałasem, łoskotem. ⁴⁶ Spodnie. ⁴⁷ Grosz.

⁴⁸ Delikatnego.

tego!“ I w mgnieniu oka stał przede mną Onufry, brzuch w tył, pierś naprzód, skosem jak Pizańska wieża. Pan gospodarz podniósł się, kręcił się w kółko i byłby pewnie do drzwi nie trafił, gdybyśmy mu nie byli w tym względzie przyszli w pomoc.

Skończył się akt pierwszy. Ale cóż dalej? Otwierano i zamykano z trzaskiem i hałasem ledwie nie wszystkie drzwi w całym domu... biegano po schodach i gankach... Oczywiście chmura się zbierała. My zaś już w pół rozebrani wzięliśmy czym prędzej mundury na siebie, pałasze do boku, kapelusze na głowy. Nie można było bowiem ręczyć, czy lokatorowie, po większej części krajowcy, nie zechcą przekroczyć praw grzeczności, czy nie chwycą sposobności bicia albo i ubicia francuskich oficerów.

Sasi nas nie lubili, i nie tylko że nie lubili, ale byliby chętnie całą naszą armię z Cesarzem na jej czele w łyżce wody utopili, gdyby tylko mogli byli taką łyżkę znaleźć. Nie ma się czemu i dziwić. Ów ciągly menuet wojsk wszystkich narodów od Portugalczyka do Czerkiesa, od Neapolitańczyka do Lapończyka po całej pięknej Saksonii nie mógł ich ani bawić, ani uszczęśliwiać. Byliśmy w kraju arcynieprzyjacielskim, o tym trzeba było zawsze pamiętać i o tym nie zapomnieliśmy teraz, stojąc frontem ku drzwiom, za którymi coraz liczniejsze, coraz burzliwsze i coraz bliższe wznosiły się głosy. Niepewność często nieznośniejsza od złego. Otwieram więc drzwi i obraz godny pędzla Hogartha ⁴⁰ widzę przed sobą. Kilkanaście osób różnego wieku i różnej płci w nocnym stroju, czyli raczej rozstroju, w szlafmycach, pantoflach (szlafroków nie było), świeca w rękach, a gdzieniegdzie i kij, blade i drżące z gniewu i trwogi wlepiało we mnie wytrzeszczone oczy. Nie tracę czasu... korzystam z pomieszania i jak Bonaparte osiemnastego *Brumaire* do Rady Pięciuset wstępuję do sieni. A żółty krawiec stojący na przodzie mógł być zawołać jak Arena: *Ici des sabres!* ⁵⁰ Wstępuję do sieni i odzywam się grzmią-

⁴⁰ Malarz angielski w XVIII w., autor licznych obrazów rodzajowych.

⁵⁰ Podczas zamachu Bonapartego na paryską Radę Pięciuset w d. 18 *Brumaire'a* (9 listopada 1799 r. według francuskiego kalendarza rewolucyjnego), członek Rady Bartłomiej Arena z okrzykiem „Tutaj są szable“ rzucił się na Bonapartego, chcąc go zabić.

cym wprawdzie głosem, ale mało co lepszą niemiecczyzną jak przed chwilą mój Onufry: „Idę do komendanta placu oznajmić, że w tym domu napadnięto kwaterę oficerów sztabu cesarskiego“. Rzekłem, spuściłem pałasz po ostrogach... szeregi się rozstały... a ja z brzękiem i szczękiem tryumfalnie zszedłem ze wschodów... w samej rzeczy chciałem uprzedzić komendanta... nie zastałem go... czekałem... chodziłem, sam nie wiedząc co robić... nareszcie po godzinie czasu wróciłem do domu, — wszystko było cicho.

Nazajutrz postawiono nam kawę. Nie spieszyliśmy się do niej. Spojrzeliśmy po sobie. Jeden zagwizdał, drugi zaśpiewał, — jeden powąchał, drugi skosztował... A ba!... wymówiliśmy razem i kawa spożyta została. Niespokojny jednak idę do generała Bleszyńskiego, adiutanta króla saskiego, dawnego znajomego, a niegdyś i sąsiada rodziców moich. Zwierzam mu całe zdarzenie i proszę o radę. Generał słuchał mnie i golił się razem, podstrugując sobie wąsiki z najsumienniejszą precyzją⁵¹ i podług potrzeby wykrzywiając twarz, nadymając policzki albo wypychając językiem wierzchnią wargę, puszczał przez zęby przerywane słowa: „Źle!... hm, hm... bardzo źle... nie ma co żartować... skarga może łatwo dojść do króla... Król odda Cesarzowi... Cesarz jest dla króla nad miarę uprzejmy i gdzie idzie o karność wojska, dla winnych bez litości“. — „Ależ ja, rzekłem, nie wykroczyłem przeciw karności“. — „Hm, mówił dalej generał, macając sobie brodę, czy jeszcze gdzie nie zostawił siwego włoska, zapewne nie wykroczyłeś, ale ogólnie armii jest przykazane dobrze obchodzić się z mieszkańcami, — a sam przyznasz, że twój służący...“ — „Bronił się“, przerwałem. — „Tak, zapewne, bronił się, rzekł generał i złożył brzytwę, ale pod armatami nieprzyjacielskimi nie ma czasu procesu wytaczać... Dla przykładu wiele się czyni... Właśnie niedawno z powodu zażalenia podanego na ręce króla Cesarz kazał jednego oficera z kontroli wykreślić⁵². Radzę ci zatem, załagodź tę sprawę“.

Tak, załagodź, rzekłem do siebie wychodząc mniej spokojny, niż byłem przychodząc. I jak załagodzić? Co ja mogę dać temu oberżyście? Chyba buzi z jednej i drugiej strony. Pieniądzy nie mam.

⁵¹ Starannością. ⁵² Wydalić ze służby czynnej.

Z tego wszystkiego, co miałem honor powiedzieć, Wać Pan Dobrodziej wnosisz zapewne, że byłem zawsze przy cesarzu Napoleonie... I bardzo trafnie. Nie tylko w moim stanie służby jest wyraźnie, że znajdowałem się w ostatnich kampaniach we wszystkich bitwach, w których był sam Cesarz, ale i grzałem się z nim nieraz przy jednym ogniu... prawda, że się to nie często zdarzało. Cesarz rzadko kiedy biwakował...⁶⁹ prawda, że ogień dla Cesarza założony o wiele, wiele bywał większy jak zwykle ognie biwakowe... prawda, że zawsze po tej stronie stawałem, na którą wiatr dym gonił, nawet najczęściej, mówiąc między nami, Cesarz był tyłem do ognia, a przeto i do mnie obrócony i do tego jeszcze rozkładał czasem poły, aby się wygrzać lepiej. W stosunkach obywatelskich można by to uważać za uchybienie z jego strony, ale w czasie wojny nie jest się tak dalece uważającym na etykietę⁷⁰, i ja też urażać się nie widziałem powodu.

Przy jednym z takich biwaków, było to wieczór pierwszego dnia bitwy pod Lipskiem, piękny widok nam się przedstawił, który jako godny pędzła podają malarzom do wiadomości. Cesarz Napoleon w swoim sieraczkowym surducie stał tyłem obrócony do obszernego ogniska. Ze strony dymu oficerowie różnej broni. Opodal, jakby na czterech rogach, strzelcy konne gwardii pieszo z karabinami na ramieniu utrzymywali jakby linię demarkacji⁷¹ cesarskiego biwaku. Ile razy Cesarz zsiadał z konia w polu czy w jakiej wiosce, zaraz czterech gwardzistów stawało na straży wokoło i posuwało się zawsze w równym oddaleniu w miarę ruchów Najjaśniejszego Pana. Stał więc cesarz Napoleon tyłem do ognia i do mnie obrócony, przed nim o kilka kroków na prawo generał Merfeldt⁷², ujęty w niewolę, w surducie sinym generalskim austriackim, w kapeluszu z galonem i zielonym pióropuszem. Między nim a Cesarzem generał Caulaincourt bez kapelusza, w suto złotem haftowanym mundurze, nalewał mu wina w srebrny kubek. W małym oddaleniu, w głębi, ale jeszcze w świetle ogniska, zsiadał z konia król neapolitański⁷³ w swoim

⁶⁹ Obozował. ⁷⁰ Ceremonie grzecznościowe; ⁷¹ Graniczną.

⁷² Generał austriacki wzięty do niewoli w bitwie pod Lipskiem 18 października 1813 r.

⁷³ Joachim Murat.

malowniczym, żeby nie powiedzieć teatralnym ubiorze. Miał on wówczas na sobie surducik krótki jasnoszafirowy, na piersiach suto złotym haftem okryty, równie jak i pas biały sukienny na sześć cali albo i więcej szeroki, przy którym wisiał krótki oręż, niby korde-las⁷⁴, — pantalony⁷⁵ obszerne karmazynowe, w rękę trzcina, na głowie wysoki ugalonowany kapelusz z strusim pióropuszem i czaplą kitką. Na krawędziach zaś ciemnego horyzontu łyślały jeszcze czasami wystrzały armatnie. Piękny to był obraz, ale wróćmy do naszego przedmiotu. Powiadam, że Wać Pan Dobrodziej bardzo trafnie wnosisz, iż byłem przy Cesarzu, ale jeżelibyś z tego wniosku drugi, na pozór bardzo naturalny chciał wyciągnąć, że kto był przy Cesarzu, był przeto w sztabie cesarskim, omyliłbyś się zupełnie. Dlatego pozwolę sobie dać niektóre objaśnienia w nadziei, że jeżeli cię nie będą interesować, to zapewne będziesz dość grzeczny wysłuchać je cierpliwie.

Sztab cesarza Napoleona... Co jest sztab, po francusku *état major*, wiadomo Wać Panu Dobrodziejowi bez wątpienia. Tym więcej, że z jego dużych wąsów, przechodzących znacznie miarę wąsów obywatelskich, wnosić mogę, że służyłeś w wojsku?... W wojsku Rzeczypospolitej Krakowskiej⁷⁶. — Brawo! — A więc mówię dalej.

Sztab cesarza Napoleona, nie licząc różnych biur towarzyszących mu wszędzie, był wcale nieliczny. Składali go: Berthier, książę de Neufchâtel, *Major Général*, alias Szef Sztabu, — generałowie-adiutanci, których obecnych w saskiej i francuskiej kampanii było czterech, i z ośmiu *officiers d'ordonnance*⁷⁷. Achselbandy⁷⁸ przy szlifach generalskich oznaczały adiutantów. Oficerowie *d'ordonnance* mieli jasnoszafirowe mundurowe fraki, suto srebrem haftowane. kamizelki z pętlicami, spodnie z galonami koloru fraka i węgierskie buty. Kapelusz z czarnym pióropuszem⁷⁹. Ten mundur zdawał się być

⁷⁴ Nóż myśliwski. ⁷⁵ Spodnie.

⁷⁶ Fredro z ironią mówi o wojsku Rzeczypospolitej Krakowskiej (1815—1846), w której nie było armii, tylko nieliczna milicja.

⁷⁷ Adiutantów.

⁷⁸ Akselbanty — splecione sznurki noszone przez adiutantów.

⁷⁹ Pióropuszem.

więcej dworskim niż wojskowym. Przydzieleni do sztabu byli generał Pac i generał Kossakowski. Wąsowicz, szef szwadronu lancjerów polskich starej gwardii, został podobno zaraz po powrocie z Moskwy oficerem *d'ordonnance*, nie zmienił jednak munduru. To był właściwy sztab cesarski, czynny, zawsze na koniu i z pałaszem w ręku.

Bo lubo sekretarze, szambelanowie, pазie etc. etc. galopowali wraz z nami i musieli radzi nie radzi zakosztować czasem przysmaków wojennych, należeli oni nie do sztabu, ale do dworu. Nie mogę przepomnieć doktora Larrey de Tamor. Wielce on cenił ten w Egipcie otrzymany predykat ⁸⁰ i chętnie łączył go z swoim nazwiskiem. Powiadają, że raz wchodził wieczorem do jednego ze swoich pacjentów: ten zapytał z cicha: *Qui est là?* — „*L'Arrêt de ta Mort*“ ⁸¹. (Larrey de Tamor) odpowiedział doktor grubym swoim głosem. Na to chory westchnął: *Oh, mon Dieu, ayez donc pitié de mon âme* ⁸².

Sztab zaś księcia de Neufchâtel, *l'Etat Major de la Grande Armée* ⁸³, był bardzo liczny. Składali go znowu: szef sztabu generał Monthyon, nieznośna, długa, dumna, nielubiąca Polaków figura, pięciu pułkowników, *adjutants-commandants* ⁸⁴, czterech adiutantów i przeszło trzydziestu oficerów sztabowych, *officiers adjoints à l'Etat Major de la Grande Armée* ⁸⁵, różnego stopnia i broni. My, oficerowie polscy, wstępując do tego sztabu dostaliśmy patentu na oficerów francuskich, nie wiem więc, dlaczego odsądzono nas jako cudzoziemców od pensji krzyża legii honorowej, — może dlatego, że nikt się za nas nie upomniał.

Berthier, jako książę udzielnny Neufchâtelu, miał przy swojej osobie kompanię piechoty i kilkudziesięciu dragonów neufchatelskich. Piechota w *chamois* ⁸⁶ mundurach z czerwonymi wyłogami

⁸⁰ Przydomek (de Tamor):

⁸¹ „Kto tam?“ — „Powstrzymanie twojej śmierci“ (gra słów z nazwiska doktora).

⁸² „O mój Boże, zmiłuj się nad moją duszą“.

⁸³ Sztab generalny Wielkiej Armii.

⁸⁴ Adiutanci dowodzący.

⁸⁵ Oficerowie przydzieleni do sztabu generalnego Wielkiej Armii.

⁸⁶ Płowo-żółtych.

składała straż przy pomieszkaniu, a w marszu przy ekwipażach księcia. Dragony zaś w zielonych z niebieskimi kołnierzami frakach, z białymi szlifami i achselbandami, w hełmach mosiężnych z futrem płowym niskiego włosa wkoło u dołu, a z tyłu ze spadającym końskim ogonem, jak miała cała ciężka jazda francuska. Nazywali się: *Les guides*⁸⁷ i byli konnymi ordynansami sztabu naszego. Adiutanci księcia odszczególniali się od innych adiutantów w armii pasowymi rajtuzami⁸⁸ z czarnym lampasem. My również jak wszyscy oficerowie sztabowi mieliśmy haft złoty na kołnierzu, — duże gałązki dębowe jedna nad drugą. Lubo znak widoczny i głównemu sztabowi tylko właściwy, był wielce pożytecznym; wioząc nieraz bardzo pilne i ważne rozkazy⁸⁹ jednak miewaliśmy do zwyciężenia niezmiernie trudności w mijaniu lub wyprzedzaniu maszerującego wojska.

Po pierwszym działowym wystrzale na linii bojowej pod Lipskiem marszałek Marmont, do którego byłem w nocy z misją przybył, rozkazał nam dwóm razem z powierzonymi listami pędzić do Cesarza co koń wystarczy, — padnie jeden, dojedzie drugi. Już przy przedmieściu Lipska wpadamy na czwarty korpus tam wchodzący. Żaden rozkaz, choćby i własnoręczny Cesarza, nie byłby naszemu cwałowi⁹⁰ drogi otworzył. Szczęście, że znalazł się tam sam komendant korpusu, generał Bertrand, który dając ustne zlecenie, sam nas przeprowadził. Jeżeli przyszło mijać park artylerii, to często, śmiało mogę zapewnić, z niebezpieczeństwem życia. Na ścisłym dopełnieniu rozkazów oficerów sztabowych cały ruch armii zawisł. Nikt z nas nie miał czasu patrzeć, co przed nim... tylko naprzód! naprzód! Co będzie, to będzie. Razu jednego znajduję się nagle obok armaty przy wstępie wysokiego i bez poręczy mostu. Chcę konia zatrzymać, ale ós zadnia działa pcha go naprzód. Widzę przepaść, nie ma co myśleć... wolę konia stracić, niż siebie zgubić.. spuszczam strzemiona, wznoszę się na siodle i trzymany za kołnierz pewnie przez jakiegoś świętego, do którego westchnąć musiałem, staję, zsunawszy się po ogonie, na własnych nogach. Koń mój zaś ciągle pchany przeszedł

⁸⁷ Straż przyboczna. ⁸⁸ Szerokimi spodniami.

⁸⁹ Składnia zdania na wzór francuskiej.

⁹⁰ Cwałowi, galopowi.

także szczęśliwie, może dlatego że był wolny, na drugą stronę, gdzie miał rozum a raczej nierozum zaczekać na mnie.

Nie tak niebezpieczne, ale za to zdarzające się bardzo często i dosyć przykre były przeprawy z piechotą. Piechur nie lubi i wprawdzie nie ma co lubić, kiedy mu kto drogę przecina lub zboczyć przy-
musza, bo zatrzymany, musi potem spieszenie dopędzać kolumny. Ucinki, drwinki, mniej więcej grzeczne i dowcipne, leciały jak grad z pieszych szeregów na każdego, który siedząc na koniu — do konnicy miał prawo być policzonym. Konnica śmiała się z tego i oddawała wet za wet jak mogła najlepiej, ale pojedynczemu jeźdźcowi jakoś to nie uchodziło, a obojętnym być nie mogło. Pomnażały się jeszcze dla nas w tym względzie nieprzyjemności z powodu mody, której niektórzy, naśladując Cesarza i księcia Berthier, ulegli, tj. nie-
noszenia znaków oficerskich u kapelusza. Ja byłem jednym z tych, ale przyznam się, że nie z innych przyczyn, jak tylko z oszczędności nie kupiłem w Dreźnie złotych kutasików i złotej plecionki do kardy. Nieraz potem tego żalowałem. Jeżeli przy tym surdut, który w wojsku francuskim był zawsze cywilny, albo płaszcz zakrywał szlify, natenczas żarciki w kłótnie łatwo przechodziły. Pod Hanau ⁹¹ kula armatnia, z trzaskiem i łoskotem przetorowawszy sobie drogę przez gałęzie otaczających nas dębów, zaszumiała nad sztabem cesarskim. Miała do wyboru Cesarza, książąt, generałów, albo i jakiego z dzielnych rumaków tych wysokich panów, a przecie wybrała sobie moją biedną szkapę... com miał najlepszego. Uderzona w prawą łopatkę usiadła jak pies na zadzie. Odpiąłem mantelzak ⁹², wyjąłem pistolety, oddałem Rejtanowi, ściągnąłem munsztuk i nie wstydzę się powiedzieć, że łzami w oczach objąłem i przycisnąłem do piersi ten łeb bułany, co się ku mnie zwracał, jak gdyby wzywał pomocy. „Zegnam cię, rzekłem, towarzyszek wierna“ i oglądając się wzajemnie na siebie rozstaliśmy się na zawsze. Z dwóch koni, które mi zostały, jeden był podbity, drugi gałgan. I kiedy nazajutrz przyszło ruszyć z miejsca, wsiałem na gałgana. Była to mała klacz kasztanowata. Wszystko co z urodzenia mogła mieć dobrego, zostawiła w błocie pod Dreznem... na błocie nigdy nam nie brakło... a teraz dźwigała długiego Onufrego.

⁹¹ 30 października 1813 r. ⁹² Sakwę. tłumok.

Jako przyjaciel prawdy muszę wyznać, że wzięwszy razem mnie i kobyłkę, składaliśmy całość nietęgą. Kobyłka w skutku trudów wojennych nabyła nałogu uderzać hołupca zadnimi nogami, a potem na jednej tylko nodze kończyć taniec, co równie dla niej jak dla jeźdźca ani powabnym, ani zaszczytnym nie było. W takich okolicznościach na czele luzaków moich kolegów musiałem wyprzedzać kolumnę grenadierów starej gwardii. Wczoraj, kiedy szli do ognia a jeden ze sztabowych oficerów odezwał się do nich: *L'Empereur vous attend*⁹³, kilku odrzekło, podrzucając karabiny lub opatrując skałki, jak myśliwi, co zasłyszeli goniące w kniei ogary: *Il ne nous attendra pas longtemps!*⁹⁴ — wczoraj byłbym uściskał każdego, a dziś byłbym chętnie z mojej kobyłki każdego chwycił za harcapy i łbem jak na mszę dzwonił. Zawsze i wszędzie człowiek z własnego stanowiska sądzi o rzeczach.

Nie było podobieństwa precyzyjnie się na drugą stronę drogi, gdzie miejsce szersze dozwoliłoby pospieszyć. Nareszcie zniecierpliwiony wspomniałem, że należę do sztabu cesarskiego. — *Biada!* — *Voyez donc l'Etat Major de l'Empereur!*⁹⁵ krzyknął jeden. — *Place pour l'Etat Major de l'Empereur!*⁹⁶ zawołał drugi... i śmiech ogólny. A biorąc mnie, który miałem surdut na mundurze, za jakiego urzędnika administracji, wołano: *Hè! Monsieur Riz-pain-sel!* — *Par ici Monsieur l'Employé au vinaigre!* — *Bon voyage Monsieur Du Molé... hop, hop, hop!*⁹⁷ i tysiąc, tysiąc podobnych conceptów. W takim razie trzeba udawać głuchego, albo śmiać się ze śmiejącymi, ale tak jedno jak drugie rzadko kiedy dobrze się powiedzie.

Minąłem nareszcie szydzącą kolumnę, tak jak mnie minęło przeszło lat trzydzieści od bitwy pod Hanau, jak ty minąłeś, luby wieku młodości „mit deinen Schmerzen, mit deinen Freuden“⁹⁸. Im dalej od ciebie, tym jaskrawsze zdają mi się twoje kwiaty, tym grubsza mgła zasłania pomniki smutku i cierpienia. Im dalej od

⁹³ „Cesarz was oczekuje“.

⁹⁴ „Nie będzie na nas długo czekał“. ⁹⁵ „Oto sztab generalny cesarza“.

⁹⁶ „Miejsce dla sztabu generalnego cesarza“.

⁹⁷ „Hej! Panie Ryż-chleb-sól! — Tędy, panie urzędniku od octu! Dobrej drogi, panie Du Molé... hop, hop, hop!“.

⁹⁸ „Z twoimi cierpieniami i twoimi radościami“.

ciebie, tym więcej wzrasta tęsknota za tobą, tak jak wzrasta cień nasz własny na ścianie, gdy się od niej ku światłu cofamy, wzrasta, sięga stropu, na strop występuje i nareszcie opływa nas zupełnie. Gdzież jesteście, zwycięskie roty? Wodzowie? Gdzie jesteś, potęgo, dla której strumienie krwi lały się lat tyle? Zwycięzcy i Zwyciężeni — Upokorzeni i Tryumfatory znikli jak słońce, co zaszło przed chwilą, jak zniknie świeca, co stoi przede mną. Cóżście po sobie zostawili światu? — Niewiele, niewiele. — A mnie? — Co? — trochę wspomnień, dwa krzyżyki i pedogrę. Ale acz z pedogrą, galopuję nie pomału z Lipska do Moskwy, z Moskwy do Montereau — trzydzieści lat w tył, trzydzieści naprzód — ze śmiechu do płaczu... bo na tym, niestety, Polak musi zawsze swoje wspomnienia zakończyć. Hola więc, ty myślo! i ty łzo!

Wracam do mego sztabu. Było nas tam Polaków już przy końcu podobno dwunastu. Trzymaliśmy się parami, ażeby gdy jeden będzie na misji (tak nazywaliśmy posyłki), drugi miał opiekę nad ludźmi i końmi. Były to małżeństwa koleżeńskie i jak każde małżeństwo miały swoje pogody, miały i burze. Tak zawsze widziałeś pod jednym dachem albo przy jednym ogniu Rejtana z Suchorzewskim, mnie z Henrykiem Milbergiem, Ludwika Jelskiego z Romanem Sołtykiem, a jak ten był wzięty w niewolę, z Niegolewskim, Grabowskiego Józefa ze Stofflem Szwajcarem, pułkownikiem-adiutantem-komendantem, Kościelskiego z Krauzem. Kapitan Szercel, którego do Polaków liczę, bo z polskiego wojska, nie wiem, czy nie z legionów, trzymał się pojedynczo... To jest osobno, ale nie pojedynczo, bo miał przy sobie służącego, a ten służący żonę. Służący zwał się Pular, przeto ona Pulardką. Hrabia Fiufiu ^{98a} mógł być zaśpiewać:

Ze po polsku mówić twardo,
Przeto kurę zwą pulardą.

Wstydziliśmy się nieraz tego suplementu ⁹⁹, ale kapitan Szercel był dla nas zanadto znaczącą osobą, abyśmy nie starali się utrzymać z nim najprzyjaźniejszych stosunków. Raczył on czasem na

^{98a} Z komedioopery Dmuszewskiego-Elsnera *Siedem razy jeden*.

⁹⁹ Dodatku.

usiłne prośby wydobyć jakiego hiszpańskiego numizmata¹⁰⁰ i laskawie pożyczyć. On przyszedł mi w pomoc, kiedy w Metz, przymuszony słabością nie wychodzić z pokoju, nie miałem już za co kupić wiązki chrustu na komin ani dziesięć maronów¹⁰¹ na wieczerzę. Daj mu Boże zdrowie, jeżeli jeszcze żyje, a wieczny odpoczynek, jeżeli już rozstał się z tym światem i Pulardką swoją.

Nie mogę sobie przypomnieć, z jakiego powodu w St. Denis nie z Milbergiem, ale z Rejtanem mieszkałem za miastem u młynika¹⁰², którego wspominam dla dwóch osobliwości. Zwał się bowiem Meurt-de-froid, nie wiem czy dobrze piszę, ale tak się wymawiało — i miał żonę, która raz na tydzień brodę sobie goliła. St. Denis pamiętne miejsce.

Po rozwiązaniu jednego z największych, jeżeli nie największego dramatu historycznego w Fontainebleau¹⁰³, oficerowie sztabowi Polacy udali się z pułkiem polskich ułanów gwardii do St. Denis, gdzie i reszta naszego wojska zgromadziła się pod komendą generała Wincentego Krasińskiego. Tam przeszliśmy z niewymownym wstrętem pod władzę rosyjską. Wielki Książę Konstanty objął naczelne dowództwo wojska polskiego.

Kiedy cesarz Aleksander zjechał z Paryża do St. Denis, aby odbyć rewie¹⁰⁴, a raczej wziąć w faktyczne posiadanie wojsko reprezentujące Polskę, ubraną jeszcze w nazwę Księstwa Warszawskiego, stanęliśmy w liniach cicho i ponuro. Na prawym skrzydle *Les chevaux légers lanciers de la Garde Imperiale*¹⁰⁵, o których można było powiedzieć, że ich łyzy jeszcze nie oschły — tak jest, łyzy. Bo wychodząc z Fontainebleau, kilkanaście dni temu, płakano — a gdzie niegdzie i głośno — w szeregach tych weteranów, co od bitwy pod Sommo-Sierra¹⁰⁶ aż do ostatniej pod Paryżem, *sans peur et sans reproche*¹⁰⁷, utrzymali wobec całego świata sławę polskiego żołnierza. Dalej

¹⁰⁰ Monetę, pieniądź. ¹⁰¹ Kasztanów.

¹⁰² Młynarza, nazwiskiem: Zmarły z zimna.

¹⁰³ 20 IV 1814 w Fontainebleau pod Paryżem Napoleon zrzekł się tronu.

¹⁰⁴ Rewia pod S. Denis odbyła się 24 kwietnia 1814 r.

¹⁰⁵ Jazda lekkokonna gwardii cesarskiej. ¹⁰⁶ 28 listopada 1808 r.

¹⁰⁷ Bez trwogi i skazy.

służbie, ale w marszu zwyczajnym ci, co nie byli na służbie, jechali sobie jak im wypadło... naprzód, z tyłu, wolniej, prędzej, byle na czas stanąć na miejscu oznaczonym. Protôt tego nie lubił, kręcił się jak mucha w ukropie, wołał, gniewał się, oskarżał nawet, ale wszystko nadaremnie. Ciężko mu było oficerów liniowych przeistoczyć w nadskakujących sztabowców. Dobrze jednak ten z nas wyszedł, co się do dworowania dał nakłonić. Dwa razy pan Protôt podwoił mi czas służby za karę, a to nie była fraszka dzień po dniu być na służbie. Zjadł on za to parę milionów polskich diabłów, ale jak pierwsze nie pomogło, tak drugie nie zaszkodziło.

Książę najczęściej stawał w jednym domu z Cesarzem, więc jeżeli tylko miejsce dozwalało, i nasz salon tam bywał. Zawsze jeden pułkownik, *Adjutant-Commandant*¹¹³, był na służbie, a pod jego rozkazami dwóch, czterech oficerów sztabowych, czasem i więcej, podług spodziewanego ruchu. On oznaczał z listy służbowej, który miał być: *premier à marcher, second, troisième*¹¹⁴ itd. Kiedy z misją już przedostatniego wyprawił, wysyłał razem i *Guida*¹¹⁵ po kilku innych oficerów, dając mu kartkę z nazwiskami powołanych. Oficer jadący z misją¹¹⁶ odbierał rozkaz otwarty, podobnej treści: „Kapitan R... uda się na F... G... N... do B... gdzie zostanie marszałka A..., któremu wręczy załączoną ekspedycję“¹¹⁷. Najczęściej sam książę oddawał tę ekspedycję, zwłaszcza kiedy potrzeba było jakiego objaśnienia. Czasem powierzano oficerowi wysłanemu treść listu, czasem wyprawiano dwóch i trzech w pół godziny jednego po drugim z ekspedycją jednej treści i w jedno miejsce, co miało znaczyć, że droga niepewna i że weźmie diabeł dwóch, a czy trzeci dojedzie? Jeżeli w otwartym rozkazie było wyraźnie, że oficer ma pocztą jechać, wtenczas udawał się on do kasjera, ten zaliczył pieniądze, z których wszakże za powrotem trzeba było się wyrachować, podając rachunek na drukowanej kartce, wręczonej wraz z pieniędzmi. Pocztą można było jechać albo jednokonnym wózkiem, albo konno (*à franc étrier*)¹¹⁸.

¹¹³ Adiutant dowodzący. ¹¹⁴ Pierwszy do wymarszu, drugi, trzeci.

¹¹⁵ Posłańca. ¹¹⁶ Poselstwem. ¹¹⁷ Przesyłkę, polecenie.

¹¹⁸ Z luźnymi strzemionami.

Wózki te pocztowe we Francji na dwóch wysokich kołach zwały gminnie, ale bardzo właściwie *Tapecul*¹¹⁹. W St. Denis w owym czasie, kiedy pani Meurt de-froid brodę goliła, a Wielki Książę manewrował, karetki utrzymujące komunikację z Paryżem nazywano *Pot de Chambre*¹²⁰. Ci ugrzeczniejsi Francuzi mają często wyrazy, których my barbarzyńcy nie śmiemy i wymówić. Otóż tych *Tapecul* używaliśmy bardzo rzadko. Raz że strudzonemu trudno nie zatrzymać się czasem, a wtenczas gdyby koń idący między dwoma dyszlami upadł, czego się zawsze po koniu pocztowym spodziewać należy, można było łatwo sięść na niego, lecz *à la Franconi*¹²¹, to jest głową na dół. Po wtóre, że tylko wtenczas można było puszczać się nimi, kiedy droga była dobra i wolna od maszerującego wojska. Inaczej jechałby kurier głównego sztabu Wielkiej Armii, jak jeździł czeski student wiedeńskim landkuczerem¹²² na konceptistę¹²³ do Lwowa. Zawsze więc prawie jeździło się konno. W początkach kampanii były na pocztach we Francji niezłe konie wierzchowe zwane *bidets* i z dobrym okulbaczeniem, ale później łaska boska jeżeli znalazło się na stacji jaką taką niezbyt zmęczoną szkapę z wszystkimi czterema nogami. Postylion jechał naprzód, wytrząskiwał harapem¹²⁴ albo jęczał i krzyczał, kiedy mu przyszło pędzić jak na złamanie karku dzień czy noc, błoto czy lód.

Pierwszy raz w życiu odbyłem szlichtadę po gołoledzi na koniu okutym bez ocelów¹²⁵ przy samym otwarciu kampanii 1814 roku z Châlons do wsi Islettes. Tam to jest owa sławna *position des Islettes*, gdzie nieszczęsny Dillon w pięć tysięcy zatrzymał 1792 r. całą armię księcia brunszwickiego¹²⁶. Stamtąd dogoniłem sztab w Vitry. Te dwa dni zostaną wiecznie w mojej pamięci, lubo z podobnych nie były ostatnie. Noc ciemna powiększała i niebezpieczeństwo, i obawę. Mimo ostrego zimna pot kapał mi z czoła, a każde pośliżnięcie się

¹¹⁹ Tyłkotłuczka. ¹²⁰ Nocnik.

¹²¹ Niezwykłe zręczny jeździec francuski i założyciel słynnego cyrku, zmarł w 1836 r.

¹²² Najętym wozem. ¹²³ Kancelistę. ¹²⁴ Biczem.

¹²⁵ Albo hacel — część podkowy.

¹²⁶ Dillon Teobald, feldmarszałek francuski, zamordowany w 1792 r. przez własnych żołnierzy, posądzających go niesłusznie o zdradę.

tępych podków, grożące zdruzgotaniem ręki lub nogi, uderzało jakby siłą elektryczną mrozem i gorącem od stóp do głowy, od głowy do stóp. I cóż stąd za zaszczyt? — pytałem się nieraz klnąc służbę sztabową. Linia nie lubi sztabu, zazdrości mu tego dachu, pod którym często nocuje, a nie wie, jak on gorzko, bo bez uznania zasługi, opłaca pozorne wygody.

Jeżeli postyliony ¹²⁷ we Francji, gdzie poczta zwykle szybko jeździ, gdzie i w czasie pokoju podróżować konno nie jest nowością, utyskiwały na nasze szalone wyścigi, cóż dopiero w Niemczech, a zwłaszcza w Saksonii. Od dzieciństwa słyszałem zawsze uzalania się na niczym niewzruszoną flegmę saskich postylionów, dlatego następujące zdarzenie było dla mnie wielce ucieśnym.

Posłany byłem do generała Latour- Maubourg. Wyjechałem kolasą, jakiej już w naszym kraju pod denominacją ¹²⁸ Skarbnika trudno gdzie znaleźć. Postylion dobrze wykarmiony, w żółtej kurcie, stosowanym kapeluszu, odpowiadając na wszystko: *Schön!* i jeszcze raz *Schön!* ¹²⁹ usiadł poważnie na koziołku, łokcie do siebie jakby do *steyera* ¹³⁰ zaokrąglił, batożek na bok spuścił, klasnął językiem i ruszył wolnym truchcikiem. Zdziwiło go, gdym mu kazał prędeej jechać, a jeszcze więcej, gdy zniecierpliwiony jego nieposłuszeństwem dałem mu do zrozumienia, aby robił co każę, bo jego grzbiet blisko, a moje buty kończaste. Zamruczał i mruczał ciągle, ale jechał żwawo. Pod wieczór przyjeżdżamy do miasteczka, gdzie spodziewałem się zastać generała, ale zastałem tylko oficera, który mi oświadczył, że forpoczty ¹³¹ swoje w ten moment ściąga na tę stronę miasta. Bliskość niespodziana nieprzyjaciela nie pozwala mi podróżować kolasą, tym bardziej, że trakt trzeba było opuścić i od wsi do wsi szukać tego którego tu nie zastałem. Kazałem więc wyprząc konie, na jednego włożyć kulbakę, którą przezorny Niemiec miał w kolasie, na drugiego zaś wsiąść oklep Jego postylionńskiej Mości, i ruszyłem żwawo w stronę mi wskazaną. Póki jeszcze było dnia trochę, szło jako tako, ale wkrótce nadeszła noc ciemna a z nią: wichur w same oczy.

¹²⁷ Pocztylioni. ¹²⁸ Nazwą. ¹²⁹ „Pięknie”, tzn. dobrze.

¹³⁰ Steyer, sztajer — taniec styryjski, rodzaj walca.

¹³¹ Straże przednie.

Wtenczas mój postylion zaczął powoli i z cicha, a potem coraz prędzej i coraz głośniej jęczeć i zapewne wzywać wszystkich świętych przez dzwoniące zęby. Prawdę mówiąc, nasze obie szkapy, wyniesione niespodzianie i bez najmniejszej, kiedy bądź oświadczonej z ich strony pretensji na wierzchowców, trzęsły bez litości, jak gdyby chciały nas przekonać o niedorzeczności postępków naszego. Niejeden z naszych generałów był takim improwizowanym wierzchowcem, trząśł kaducznie, nareszcie potknął się i upadł. Nie tu wszakże koniec cierpień mojego towarzysza kurierowskiej pogoni. Zaczęły go wkrótce straszyć coraz częstsze: *Qui vive!*¹³², których w szumie wiatru nie zawsze od razu można było dosłyszeć. Wiedział on zapewne, czym pachnie koniec pistoletu straży obozowej, by usłyszawszy parę razy, że odpowiedziałem: *France!*¹³³, krzyczał potem ciągle: *Franz! Franz!*¹³⁴ czy cię kto pytał, czy nie pytał. Nazajutrz wracaliśmy już powoli i w najlepszej komitywie¹³⁵. Ledwie jednak nie płakał, poprawiając się na *schimlu*¹³⁶ z boczek na boczek, że taka plaga, w analach¹³⁷ saskich poczt niezapisana, na niego nieszczęsnego paść musiała.

Czasem udało się odbyć dobę służby na miejscu, ale czasem, wróciwszy z misji wcześniej, trzeba było i raz drugi ruszyć w drogę. I lubo przysłowie mówi: *bis repetita placent*¹³⁸, my nie byliśmy tego zdania, dlatego wracając zwłaszcza w nocy, a mając ustne jakieś zlecenie, choćby najmniejszej wagi, staraliśmy się mówić z samym księciem. Obudzony podniósł głowę kolorowym fularem obwiązaną, wysłuchał, potem zwykł mówić: *C'est bien — allez Vous reposer*¹³⁷. Ten rozkaz, oznajmiwszy pułkownikowi służbowemu, wypełniło się zawsze z największym pośpiechem i wzorową akuracnością.

Z miasta Troyes, które nie wiem czy po polsku można nazwać Troją, byłem wysłany do generała France. Zostałem go na probostwie. Gdy oddałem ekspedycję i powiedziałem co miałem powiedzieć, napiłem się wina i usiadłem przy kominku. Wtenczas pro-

¹³² „Kto tam!“.

¹³³ „Francja“. ¹³⁴ Franciszek! Franciszek!. ¹³⁵ Przyjaźni, zgodzie.

¹³⁶ Koń siwosz. ¹³⁷ Kronikach. ¹³⁸ Rzecz powtórzona podoba się.

¹³⁹ „W porządku — idźcie spocząć“.

boszcz staruszek odezwał się do mnie: „Acian Dobrodzi jesteś Polak?” — Gdyby to nie z księdza, byłbym myślał, że diabeł z niego przemówił. Z dalszej rozmowy po polsku dowiedziałem się, że jako emigrant kilka lat przepędził, nie pamiętam w którym domu, w Poznaniu. Spytałem go się na takiej ustroni nie lęka się rabunku kozaków? Z uśmiechem odpowiedział mi: „Nie boję się kozaków, ja się z nimi rozmówię”. — Francuz zawsze Francuzem, — że umiał kilka słów po polsku, zdawało mu się, że całą Słowiańszczyznę ma w kieszeni. Wkrótce byłem znowu w tej wiosce — z probostwa tylko dwa kominy stały.

Nie wiem dlaczego kozaków wystawiają jako uosobienie¹⁴⁰ rabunku. Bardzo mylnie, moim zdaniem. Kozak bierze tylko to, co mu się zdać może. Francuzi więcej jeszcze niszczą niż biorą lub brać lubią. W domach tłuką co mogą. W stodołach ogień zakładają. Gdzie łan zboża, wjeżdżają w środek, więcej wytłuką niż spasa, niepamiętni, że może za parę godzin ich własne wojsko furazę tam szukać będzie. Prusak znieważy osoby, jak tylko może to bezkarnie uczynić, — zemsta w nim góruje. Prusacy są ludzie, o których mówią: *qu'ils crachent sur le cadavre*¹⁴¹. Byłem w niewoli u Rosjan i to w chwili, gdy do zemsty niemało mieli powodów. Moskwa spalona, część kraju w puszcę zamieniona — a wyjąwszy pierwszego zetknięcia się, na złe, ubliżające obchodzenie żalić się nie mogą. Słowianie pastwić się nie umiały¹⁴², nie znają nieprzyjaciela jak tylko z bronią w ręku. Kozacy, zwłaszcza starsi, obdarłszy pierwiej, to się rozumie, i przeciągnawszy raz nahajem, byli potem dla jeńców z tym poszanowaniem, jakiego nieszczęście głośno się domaga, a którego Niemcy zupełnie nie rozumiały¹⁴³. Kozak uderzył i dwa razy nahajem, jeżeli zdobycz nie odpowiadała jego nadziei. — „Co ty za oficer, kiedy nie masz zegarka!” Ale bili bez litości, jeżeli przy wziętym w niewolę znaleźli co z cerkiewnych rzeczy.

W kilkanaście dni po mojej rozmowie z proboszczem, znowu w Troyes, kiedyśmy aż spod Bar-sur-Ornain forsownym marszem

¹⁴⁰ Uosobienie.

¹⁴¹ „Że plują na trupa”. ¹⁴² Prawidłowo — „nie umieją”.

¹⁴³ Prawidłowo — „nie rozumieją”.

zwracali się ku Paryżowi, wszedłem do salonu służbowego, zrobiwszy jednym ciągiem mil dwanaście. Ledwie rozciągnąłem się, i to, proszę wierzyć, nie na materacu, pułkownika zawołał: *Premier Officier « marcher »*¹⁴⁴ — a nim był pan Fredro. Zerwał się więc pan Fredro, wszedł do drugiego pokoju i stanął przed księciem. Księżę, trzymając list w rękę, spojrział na mnie i odezwał się jeszcze więcej przez nos niż kiedykolwiek: *Comment, Vous n'avez pas encore le ruban rouge?* — *Non, Monseigneur. C'est la seconde campagne, que je fais à l'Etat Major de Votre Altesse etc. etc...* — *Eh bien, je Vous la donne à présent*¹⁴⁵, rzekł, i zaczął dawać mi objaśnienia, gdzie jak i do kogo mam jechać. Uradowany nie miałem przytomności zapytać się, czy mogę krzyż nosić, albo do kogo mam się udać, — później nie śmiałem się naprzykrzać, aż dopiero dany krzyż w Troyes otrzymałem w Fontainebleau. Jeszcze w pułku, a powtórnie w Moguncji po bitwie pod Hanau, byłem do tego krzyża podany. O! źle wychodzi, kto się nie przypomina i nie upomina.

W głównej kwaterze były zawsze dwa stoły, — stół *des grands officiers*¹⁴⁶, to jest sztabu i dworu cesarskiego, i stół księcia de Neufchâtel. Do tego ci z nas siadali, którzy byli na służbie, szef sztabu, adiutanci, sekretarze i przybyli oficerowie w interesie do sztabu. Sam księżę jadał zawsze z Cesarzem. Nie wszyscy i marszałkowie siadali do stołu ze swoim sztabem, ale ich adiutanci robili honory i przyjmowali nas zawsze uprzejmie i gościnnie. Niejedną dobrą chwilę mogę wspomnieć na tych mimowolnych odwiedzinach i nieproszonych obiadach. Przed samym rozpoczęciem kampanii jadę z Châlons do Brienne, — zimno, gruda, noc nastaje, klęę po polsku i po francusku, a nawet podobno i po węgiersku, nareszcie przybywam i wręczam ekspedycję marszałkowi Mortier. Stół długi, dobrze oświetlony, zupa już rozdana, sam czas. Marszałek przeczytałwszy, siada do stołu; na jego zapraszające skinienie ruszyliśmy się wszyscy, każdy

¹⁴⁴ Pierwszy oficer do wymarszu.

¹⁴⁵ „Jako, nie masz Pan jeszcze czerwonej wstążki (tj. Legii Honorowej)? — Nie, Wasza Wysokość. To jest druga wojna, w której biorę udział w sztabie Waszej Księżęcej Mości. — Dobrze, daję ci ją teraz“.

¹⁴⁶ Wyższych oficerów.

chwycił za najbliższe krzesło i w mgnieniu oka stół został jakby opasany wieńcem epolet, achselbandów, faworytów i wąsów. Milczenie spadło na towarzystwo, przerywała je tylko łyżka, co jak wiosło gondoliera na weneckich lagunach¹⁴⁷ głaskała z lekkim pluśnięciem kurzącą się zupę. Gdzie niegdzie zaszumiało studzące dmuchanie, albo i mniej przyzwoite głośnie wciąganie pożywnego płynu. Złe na świecie zdaje się być potrzebnym, ażeby wartość dobra zrobić człowiekowi wydatniejszą. Cóż byłby ten talerz cienkiego rosółu nalanego na bułkę grubo pokrajaną, gdyby nie wiatr, co mnie ziębił dzień cały, gdyby nie gruda, co mi wszystkie zasoby wytrzęsła. Bądź co bądź ta czy owa przyczyna, — zupa zniknęła, jak zniknęła poprzedzająca para. Nalano szklanki, postawiono *les boudins et le gigot de mouton aux haricots* (potrawy *sine qua non*)¹⁴⁸ i rozmowa wzmagać się zaczęła. Marszałek był w dobrym humorze, kazał dać szampana. Korek puknął z powszechnym zadowoleniem obecnych. Dowcip się roił, śmiech nie ustawał. Ja nawet zapomniałem, że wózek pocztowy czeka przed domem, że na nim resztę nocy będę mój obiad trawił, mój los roztrząsał, mój sen wojował.

Niewiele czasu upłynęło od tej poczty w Brienne a inni tam znowu znaleźli się goście i inaczej byli częstowani. Potentaty eskontowali¹⁴⁹ weksle, które po odrzuceniu namiętności i miłości własnej niewiele podobno korzyści świata przyniosły. Mógłbym wam, moi Państwo, obszernie opowiedzieć bitwę pod Brienne, ale sumiennie wołę was odesłać do dzieła pana Thiers¹⁵⁰, — lepiej bez wątpienia na tym wyjdziecie. Muszę bowiem przy tej sposobności ostrzec, że jeżeli jaki oficer subaltern¹⁵¹ zdaje sprawę z ogólnego ruchu jakiej batalii jako naoczny świadek i sędzia, ten kłamie niezawodnie; bo albo powiada to, co później z raportów wyczytał, albo też powtarza to, co mu się udało w górze zasłyszeć. Oficer subaltern liniowy może tylko widzieć, co się dzieje przed nim i na jego często bardzo

¹⁴⁷ Przewoźnika na łodziach (gondolach) w Wenecji.

¹⁴⁸ Kiszki i udziec barani z fasolą (potrawy obowiązkowe).

¹⁴⁹ Moźni płacili.

¹⁵⁰ Autora głośnego dzieła *Historia Konsulatu i Cesarstwa* (wyd. 1845—69).

¹⁵¹ Niższej rangi, podrzędny.

ciasnym horyzoncie. Oficer nawet sztabowy, który z rozkazami przebiega pole boju w różnym kierunku, nie znając pierwotnej pozycji i szyku, o szczególnych tylko zdarzeniach może otrzymać własne naoczne przekonanie. Niech mi wolno jeszcze będzie wspomnieć, że niejeden z szanownych agronomów¹⁵² słuchając o batalii, wystawia ją sobie najczęściej ściśniętą jakby na dziedzińcu, albo na pastwisku za sadem. Zdaje mu się, że zawsze być musi jakiś punkt, z którego całą bitwę przejrzeć można, dla czegożby i Omufry, stojąc na takim punkcie, nie miał powiedzieć, co się działo. Ale jeżeli uwierzy, że linia bojowa czasem i na milę i więcej się rozciąga, wtenczas już wątpić nie będzie, że ten kłamie, co opisuje batalię podług tego, co niby sam widział i sam doświadczył.

¹⁵² Rolników.

Słuchacie mnie a ja plecę trzy po trzy, zwyczajnie jak stary, ale jednak nie będę wam dzisiaj powtarzał, co wczoraj wyczytałem. Nie chcę także wyliczać wam wszystkie moje utarczki, ataki i odwroty, — cięcia w prawo i w lewo, na koniu i pod koniem, muszę jednak wspomnieć dziwne jakby przeznaczenie, że z czterech razy, w których, o ile sobie przypomnieć mogę, śmierć najbliżej mi w oczy zaglądała, rozumie się od kuli armatniej, bo karabinowych któż spamięta, co brzęczą, gwizdzą, szumią jak chrząszcze na wiosnę, że z czterech razy, mówię, wszystkie miały miejsce nie dalej jak pięćdziesiąt kroków od Napoleona, — a jednak w kampaniach 812, 813 i 814 na kulach, granatach, kartaczach nie zbywało wcale.

Pierwszy raz było to 16 października 1813 r. pod Lipskiem. Pędzącemu pod marszałka Marmonta, generał Bertrand, jak wspomniałem, dał mi ustne zlecenie. Zastaję Cesarza chodzącego z w tył założonymi rękoma; opodal za nim stał batalion młodej gwardii, trochę dalej na prawo służbowe szwadrony. Zbliżyłem się do niego i powiedziałem, że mam rozkaz donieść mu, że czoło kolumny czwartego korpusu wchodzi do Lipska. — „Czwartego?“ — więcej powtórzył niż zapytał. — *Qui, Sire, du quatrième corps*¹. Chciałbym był przeciągnąć rozmowę, ale nie było podobieństwa, tym więcej że Najjaśniejszy Pan raczył odwrócić się ode mnie. Wracalem więc do konia, którego puściłem za frontem wspomnianego batalionu, ale zaledwie obszedłem lewe skrzydło, kula armatnia kładzie trupem dwóch żołnierzy. Tak jak stali za sobą w drugim i trzecim szeregu, padli na wznak. Jeden krok dalej a byłbym trzecim.

†Następnego dnia staliśmy w miejscu, 18. byłem znowu na służbie. Posłano mnie uwiadomić Króla Neapolitańskiego, że brygada

¹ „Tak, Najjaśniejszy Panie, czwartego korpusu“.

młodej gwardii wzmocniła księcia Poniatowskiego. No, już to wyznać muszę szczerze, że kto w czasie boju szukał Murata, temu zimno być nie mogło. Ten człowiek lał w ogień i szukał guza *con amore*². Przejechałem poza front artylerii konnej gwardii i jeszcze jakiejś drugiej baterii; z pół godziny stałem przy Królu, kul tam więc różnego rodzaju nie brakło, a jednak dopiero minąwszy Cesarza, stojącego koło wiatraku, i zwracając konia ku memu bratu Sewerynowi, który komenderował służbowymi szwadronami, mało co nie beknąłem. Kula armatnia obrzuciła mnie błotem. Od tego wiatraku do baterii gwardii, od której dopiero co byłem wrócił, był pewnie dobry wystrzał armatni; jakąż więc ogromną przestrzeń, ledwie do uwierzenia, kula ta przelecieć musiała, aby ze trzydzieści kroków za Napoleonem pana Fredrę tylko co nie sprzątnąć. Wyraźnie nie służyło mi sąsiedztwo Wielkiego Człowieka.

22. we Freiburgu, gdzie, mówiąc nawiasem, wsadziliśmy z Milbergiem na konia rannego generała Klickiego i z ciężką biedą przeprowadzili przez ciżbą zatarasowany most, co nieraz potem z wdzięcznością wspomniał, — we Freiburgu więc przeszedłszy Unstrutt³, Cesarz zatrzymał się na małej polance, co od lasu ciągnęła się pochyło na prawo aż w dół do rzeki, zatrzymał się i przez perspektywę⁴ obserwował nieprzyjaciela, który nas z boku kanonował⁵, z boku, z prawej strony dyrekcji naszego marszu. Nie byłem bardzo spokojny postrzegłszy, że mój brat Seweryn ruszył ze swoim szwadronem służbowym za linię bojową. Góra poprzecinana winnicami, obsadzona na szczycie artylerią, niżej piechotą, nie obiecywała zwycięstwa kawalerii. Mówiono wtenczas, że był wysłany dla dostania języka, i w samej rzeczy po kilkugodzinnej pukaninie przywiózł kilku jeńców. Zdaje się, że Cesarz był poznany, bo kule zaczęły gęsto padać koło niego, a kiedy zwrócił konia na lewo i jechał powoli, my stojący pod lasem uczyniliśmy to samo. Między drożyną popod las a polem była spadzistość niiby wysoka miedza: pod tę więc miedzę w pół mego konia pada granat i zaraz pęka. Wiadomo każdemu, że granat padłszy, zakręciwszy się mniej więcej, podskakuje i pryska promieniami w górę. Dlatego artylerzyści kładą się, jak

² Z zamiłowaniem. ³ Nazwa rzeki. ⁴ Lunetę. ⁵ Strzelał z armat.

padnie blisko, dlatego im kto wyżej stoi, tym gorzej. W pozycji więc mojej ówczesnej nie dziesięć ale sto przeciw jednemu powinienem był ja albo mój koń zginąć. A jednak ani jedno, ani drugie. O! los, Panie, to figlarz, nie można nigdy na niego rachować. Kilka chwil minęło, nim uwierzyłem, że jestem — nie mówię żywy, ale cały.

To był raz trzeci, a nareszcie czwarty, kiedy pod Hanau straciłem moją klacz bułaną. Cesarz wtedy był się zwrócił i jechał ku mnie, a minął mnie, nim mantelzak odpiąłem. Wyraźnie, wyraźnie sąsiedztwo Napoleona nie służyło mi wcale.

Kiedy po skończonych wojnach wróciłem w domowe zacisze, wielu, wielu razami uderzone serce, serce zakrwawione, zbolełe, nie dozwalało pamięci rozpowiadać zdarzeń z onego czasu, w którym morze nadziei a sławy kropelka czyniły życie istotnym życiem duszy, — czyniły nas ogniwem, aczkolwiek drobniejszym, niż myśl sobie wystawić może, ale jednak ogniwem łańcucha, który wzruszał zardzewiałe zapory świata. Nieraz w rodzinnym kole stokrotne zapytania zbywałem krótką odpowiedzią. Chciałem jakby zamknąć już zapisaną pierwszą księgę mojej przeszłości, a zwracać tylko całą uwagę na tę drugą, co mi jeszcze białymi błyszczała stronicami.

Przeciwnie zupełnie się dzieje po wielu upłynionych latach. Białych stronic nie dużo, a zapisane ciągną ku sobie. W podróży życia bywa jak i w każdej innej podróży. Póki idzie się rażno, ochoczo, póty rzuca się okiem tylko przed siebie. Każdy przedmiot jest celem nowej dążności; zaledwie się go dojdzie, szuka się drugiego i tak dalej, dalej... „Naprzód!“ hasłem wędrowca. Ale kiedy siły osłabną, kiedy wyszedłszy na wzgórek odetchnąć trzeba... otrzeć znojone czoło, wtedy zwraca się oko na przestrzeń, którą się już przebyło. Odległość przed nami mierzymy podług tej, co za nami. A owe ciemne gaje, wonne łąki, srebrzyste potoki, których nie uważaliśmy w naszym biegu, jakże są piękne, jak lubie w pamięci naszej wtenczas, kiedy droga coraz ostrzejsza, wiatr coraz chłodniejszy, niebo coraz ciemniejsze.

Teraz, zasiadłszy przy kominku, chętnie gwarzę o cesarzu Napoleonie. Młode pokolenie słucha jak o Stefanie Batorym albo Janie Sobieskim, bo przeszłość, której pamięć nie sięga, wąskie ma prze-

działy, stulecia ledwie czasem komat⁶ dzieli. *Alles zerschmilzt in grosse Massen*⁷. Słuchają mnie młodzi, a ja gawędzę i pierwszej drugich niż siebie utrudzę. Nieraz kiedy wracam z polowania, a dojmujące zimno jesienne i dym ścielący się z kartoflanej naci biwak przypomni, — zdaje mi się, że mam jeszcze pałasz przy boku, depeszę w zanadrzu. Mimowoli wyciągam szyję i śledzę okiem, czy droga wolna. Wtenczas władza wspomnienia samą nawet dolegliwość nie tylko znośną, ale i przyjemną robi. Może w części i dlatego, że myślę sobie: Jeszcze to zdołam, com zdołał przed laty trzydziestu. Najmilsze jednak budzi wspomnienie obiad późny, myśliwski. Wszystko jak dawniej, tylko że zamiast marszałka siedzi żona, zamiast oficerów sąsiedzi. Gwar jak tam, tak i tu, ale jeżeli mowa o strzałach, to z dubeltówki, jeżeli o zabitych, to o lisach i zającach. A co najlepsze, że na koniec zamiast wózka pocztowego czeka dobre łóżko, łóżko, którego wartość uczyłem się oceniać i za wcześniej i za długo.

Nie wszystko jednak w przeszłości da się wspomnieć z przyjemnością a nawet i obojętnie. Bolesnym jest wspomnienie nieszczęścia, nie tego, co nas jak rozburzona fala porywa, skręca i o skalę uderza (myśl przebitego niebezpieczeństwa staje się poniekąd pociechą), ale nieszczęścia, co jak stojąca, zatęchła, zielona woda kałuży, podtapia powoli. A takim nieszczęściem jest niewola, to nagłe strącenie z wyższego stanowiska, — to zerwanie nadziei, — to upokorzenie, — to nareszcie położenie nowe, nieznanne, nieprzeczone. Nie pierwsze to chwile niewoli wojennej, aczkolwiek najniebezpieczniejsze, bywają najprzykrzejszymi. Jeżeli w pojedynczej walce zostałem pokonany, zwycięzca staje się moim opiekunem. Jeżeli w szeregu z innymi byłem przemocną siłą ujęty, jestem zawsze samym sobą, jestem wojskiem, któremu tylko broni nie staje, nareszcie mam z żołnierzem do czynienia, a to wiele znaczy. Ale kiedy zapędzony gdzie w głąb obcego kraju, oddany dowolności lada urzędnictwa, zmuszony jestem przyjmować kawałek chleba rzucony jak jałmużnę nawet od tych, którymi gardzę, albo jeżeli w długim przeciągu czasu starła się wszelka powierzchowna cecha wojskowości, a dzwiczny jaki tandetny strój zbiedzoną okryje postać... O! wtenczas

⁶ Przecinek. ⁷ Wszystko roztapia się w wielkie masy.

jeniec wojenny staje się niewolnikiem. Tego doświadczyłem w Wilnie, tego niejednen z wojska polskiego doświadczył 1831 r. w Galicji, tego, niestety, doświadcza jeszcze po największej części emigracja nasza we Francji.

Jeżelim wyszedł z wilgotnego pomieszczenia, gdzie przez całą noc szczyry skakały mi po głowie, jeżelim wstał od stołu, gdzie się pożywiłem ze wstrętem prawie, jeżeli mam na sobie jaką starą kapotę nie w mój stan skrojoną i buty, które zwycięzca nie uznał za godne zająć miejsca w snopku swoich wawrzynów, — jeżeli więc w takich okolicznościach wejść w progi domu, gdzie może niedawno w świetnym mundurze, w odblasku zwycięskiej broni, ufny w niejakie zalety, co mnie nad poziom społeczeństwa nieco wznosiły, gościłem, — już tam teraz tym nie jestem, czym byłem. I ten co mnie tam przyjmuje, mój równy w każdym względzie, nie jest już dla mnie tym, czym był. Wstaje z krzesła, w którego miękkich ramionach czytał romans nowy, i po krótkiej gonitwie za szarlotem⁸, co przy kominku wygrzany rozgniewał się na figurę, która przyniosła z sobą trochę zimnego powietrza, bo przyszła piechotą, w mróz, bez płaszcza... I po krótkiej, mówię, gonitwie, wita mnie serdecznie, sadza na sofie, której poduszki zagięły się więcej niż zwykle pod dotknięciem egzotycznej⁹ kapoty. Sam podaje cygaro, sam nawet zapala, ale on już nie jest dla mnie tym, czym był dawniej. Jego dobre, najlepsze chęci przybierają niejako *vernix*¹⁰ opiekuńczej wyższości. W jego zdaniu jest jakaś oględność, w żartach wstrzeźliwość, w grzeczności zbytek. Ja to czuję i coraz więcej cofam się w siebie jak ślimak w swoją skorupę za pierwszym dotknięciem. Rozmowa między nami idzie na szczudłach. Obydwom nam ciasno, bo jakaś, że się tak wyrażę, obcość zaległa największą część przestworza. Na koniec uściskawszy się po przyjacielsku, rozstajemy się i wolniej oddychamy, on w gabinecie, ja na schodach. Odzież, wydatna część powierzchowności, pociąga gwałtem do stosowniejszego sobie świata; jeżeli w dół, to w dole, w obcym żywiole władze umysłowe drętwieją powoli. Doświadczyłem tego na małą skalę, ale zdaje

⁸ Kotem. ⁹ Obcej, cudzoziemskiej.

¹⁰ Rodzaj polityry. nadającej błyszczącą powłokę; tu — pozór.

mi się, że nędza, a do tego w niewoli, jest rdzą zjadliwą, która najczystsza stal koniec końców zeżreć musi.

Los jeńców wojennych za Niemnem w 1812 r. był wyjątkowym. Niewola nie była internowaniem¹¹ rozbrojonych, ale była nędzą głodu, zimna i choroby, posuniętą, szczególnie w Wilnie, do najokropniejszej ostateczności. Tam odegrała się ostatnia scena długiego i bezprzykładnego dramatu.

Zaczawszy od Mało-Jarostawca aż do Berezyny odwrót nasz był odwrotem wojska, otoczonego wprawdzie zbytnią masą pociągów, rannych i *trainerów*¹², ale ta niesforna masa, acz zatrzymywana, spierająca się, nawet tratująca się w każdym ciasniejszym przejściu, miała jednak przed sobą długą, wolną przestrzeń, którą upływała powoli. Ale Berezyna wszystko to skoncentrowała, co się na cztery, sześć a może i więcej mil szczegółowo rozciągało. Od Berezyny ku Wilnu coraz bardziej szeregi szczuplały, a liczba bezbronych samopas idących wzrastała. Na kilka mil długa ciągnęła się czarna wstęga po śnieżnej przestrzeni. Nie było może tyle spierania się na mostach jak z tamtej strony Smoleńska, bo ubyło wiele artylerii, wozów i wózków, ale za to widziałeś kilkadziesiąt tysięcy ludzi nie chcących, nie mogących już innego pojmować wroga, jak głód i zimno. Zimno wzrastające do dwudziestu stopni nie tylko wytrącało z ręki karabin, ale uderzało już przedśmiertnym uderzeniem. Nie tylko bowiem trzeba było cały dzień maszerować w mundurze okrytym surdudem bez podszewki, ale trzeba było gdzieś i spocząć, zdrzynąć się, choćby na chwilkę. Biada tym, co za wiele zaufali zaświeconemu ognisku. Ogień często gasł, a z nim i życie. Okropnie tam było, okropnie, moi Państwo!

Widziałem padających pod koła, a nikt nie pomyślał, aby koła zatrzymać, łamiących lody, tłukących się w otwartych toniach, a nikt ręki nie podał. Widziałem konie gryzące z bólu skamieniałą ziemię, którym jakiś Szyllok¹³ nowy wykroił z uda parę funtów mięsa, skąpił jednego uderzenia nożem, i to właśnie wtenczas, kiedy

¹¹ Pozbawieniem wolności, uwięzieniem. ¹² Maruderów, łazików.

¹³ Shylock (Szajlok) — główna postać w komedii Szekspira *Kupiec wenecki*, odznaczająca się chciwością i okrucieństwem.

dobrodziejstwem było. Widziałem, jak uporczywie broniono przystępu do ognia nie temu, co w pól zmarznięty chciał ogrzać się na chwilkę... to się rozumie samo przez się... ogień tam był życiem... życiem nikt się nie dzieli — broniono zebrzącemu odrobinę płomienia, który by swoją słomą przeniósł do własnego barłogu. Nie jeden na oświeconym tylko śniegu wlepił oczy w ciepło, do którego nie śmiał się zbliżyć, a poranek zastał go bryłą lodu. Widziałem rannych rzuconych na drogę, bo zdrowszy, silniejszy zapragnął jego szkapy i powózki. Widziałem jeńców strzelanych, jeżeli który osłabł i dalej iść nie mógł. Widziałem budynki podpalane ze złości i zawiści, że inni w nich pierwej znaleźli przytułek. Widziałem... tak, widziałem siebie, kiedy kolega, niby przyjaciel, sprzedał futro ze mnie, które mi był pożyczył, by ich dwa zdobył w Moskwie. I ja głupi myślałem, że cudze oddać trzeba, nie napiętnowałem go przynajmniej hańbą, zmuszając, aby mnie własną obnażył ręką. I teraz nie rzucę jego nazwiska w zgardzie poczciwych ludzi. Nie był zły. Nie wiedział, co czyni. Umarł — niech mu Bóg przebaczy, jak ja mu przebaczam — jak przebaczam z duszy-serca i innym, co mnie odstąpili w ciężkiej potrzebie.

Gdyby ta ogromna masa ludu, bo nie powiem: wojska, nie była w swojej drodze trafiła na rozległe miasto, byłaby przynajmniej w połowie przeszła Niemen, a z tej połowy byłaby może odżyła połowa. Ale wszedłszy do Wilna każdy cisnął się w ogrzane izby, zgłodniały napychał żołądek, a co gorzej, zanadto trunkiem się zasiłał. Ci ludzie z rozmarznięciem swoim, że się tak wyrażę, stracili resztę sił swoich. Co się działo w Wilnie w pierwszych kilku tygodniach po 10 grudnia 1812 roku, łatwiej powiedzieć niż uwierzyć, a i powiedzieć trudno.

Jeńcy, spędzeni po największej części do pustych gmachów, marzli dziesiątkami. Mówią, ale ja tego nie widziałem, że przy każdym rozdawaniu żywności, to jest rzucaniu w ciżbę trochę sucharów, kilku zduszonych zawsze bywało, — trupy wyrzucano przez okna, czasem jeszcze niedoduszone. Szczególnie w jednym klasztorze okrucieństwo miało być bez granic. W pól martwe, poczerniałe mumie snuły się po ulicach od domu do domu, obdarzone czasem kawał-

kiem chleba, ale najczęściej wytrącane bez litości... Bo też prawdę mówiąc, każdy swego mieszkania bronić musiał, ale niejeden z żebrzących za gwałtownie pchnięty padał i konał u progu. Do tego wkrótce tyfus zaczął wielką śmiertelność szerzyć i pomiędzy mieszkańcami, palono gnoje po ulicach, a z dymem zdawało się każdemu że polityka cząstki zarazy. Nie było kupy śniegu, lub stosu śmieci, żeby z niej nie sterczały nogi lub ręce — umundurowane — nikt już i nie obdzierał. Po wąskich ulicach (zaułkami w Wilnie zwanych) przez całą zimę można było widzieć po kilku trupów o ścianę opartych, którym szyderstwo nie szczydziło różnych dodatków. Ten miał wiecheć niby bukiet, ten w rękę drąg niby karabin, a tamten w zębach przełamany patyk niby fajkę. Stali, jak na targach w zimie stoi zamrzła zwierzyna. Na wiosnę dopiero zbierano i wywożono trupy drabinastymi wozami. Mówiono, co mi się zdaje przesadzonym, że w samej gubernii wileńskiej pochowano czterdzieści tysięcy¹⁴.

*La vengeance est un morceau de roi*¹⁵, mówią Francuzi. Trzeba przyznać, że spory jej kawał miała Rosja w 1812 r. Ale go też drogo okupiła. Dziwna rzecz, że po skończonych wojnach więcej było chętności i przechwałek i tryumfatorskiej fomy w niemieckim niż w rosyjskim wojsku. Austria zerwała przymierze, — dobrze, wydała wojnę — dobrze. Ale inne państwa niemieckie, podle, skrytobójczo zdradzały. Zdrada stała się ich siłą i zaletą. Sasy nie tylko że odstępują śród boju, ale i zwracają broń na ufnych w rycerskie słowo wczorajszych swoich towarzyszy. Bawaria ledwie jeszcze nie podlej. Pod Lipskiem szło jeszcze o pokonanie wroga, w bliskości Renu już on był wpół pokonany. Zastąpienie więc drogi pod Hanau można nazwać: *Le coup de pied de l'âne*¹⁶. Szczęściem, że w zapędzie podło bydłę, padło splugawione, a po nim przeszło wojsko wierne sztandarom, których bronić przysięgło.

Spodziewacie się może, że wam teraz powiem coś o sobie, — ale nie, to przechodzi moje siły. Węzeł splątany z tysiąca nitek cierpienia i boleści rośnie, rośnie przede mną jak widmo mangny,

¹⁴ Według urzędowych danych rosyjskich w gubernii wileńskiej pochowano 92.243 trupy.

¹⁵ „Zemsta jest przysmakiem króla“. ¹⁶ Wierzgnięciem osła.

ile razy chcę wążek uchwycić — każde szarpnięcie boli aż w sercu. I na cóż zresztą tych wspomnień? Strumyk, zamacony przy źródle, płynie mętny aż do ujścia w inny stumień, w inne życie.

Wspomnieć tylko muszę, że dużo dobrych ludzi znalazłem w Wilnie. Wspomnienia moje składam jak wianki na ich grobach, grobach, bo o wiele byli starsi ode mnie. Wspomnę ich w porządku chronologicznym moich z nimi stosunków.

Właściciel traktierni S... (ledwie czasem pierwszą literę nazwisk zapamiętam) ofiarował mi stół bezpłatnie. Nie nadużywałem, Bóg widzi, nieograniczonego kredytu do jego kuchni. Gorzki chleb łaski.

Doktor M... dźwignął mnie z ciężkiej choroby. Mówił, że lekarstwa nic nie kosztują, bo doktorom aptekarze darmo je dają. Tak kłamać wolno. Szczęściem, że z takiego kłamstwa serce umie wybrać zdrowe ziarno.

Prezes Łappa zbierał składki i ubrał wszystkich Polaków ~~będących~~ w niewoli w Wilnie.

Jędrzej Szumlański, który jechał za armią rosyjską, podobno jako urzędnik administracji, przysłał potem po mnie powóz aż z Czarnokoniec z Tarnopolskiego Obwodu. Nie mogę przypomnieć sobie, dlaczego nie skorzystałem wtenczas z podanej i łatwej sposobności ujścia z niewoli.

Głowiński czy Gołowiński, dymisjonowany generał rosyjski, był długi czas opiekunem moim. Umieścił mnie w lazarecie Sióstr Miłosierdzia przy ulicy Sawicz. A te Siostry poczciwe! Antoninę i Elżbietę dobrze pamiętam, dziś bym jeszcze poznał, gdyby można cofnąć się w czas ubiegły. Bóg z wami, anioły cichego poświęcenia się cierpiącej ludzkości!

Michał Mineyko, który mnie pokochał miłością ojcowską. Ileż dowodów troskliwej przyjaźni otrzymałem od niego. On skłonił mnie do ucieczki i wyprawił mnie z Wincentym Makomaskim, kapitanem 6 pułku piechoty, do swojej majątności nad Niemnem. Dał mi na drogę zegarek srebrny. Ceniłem go jak relikwię, ale służący w Bautzen zatracił. Michał Mineyko wówczas dziesięcioletniego syna. Może kiedyś do niego dojdzie głos wdzięczności. Do ojca pisałem później,

dowiadywałem się o niego, ale nigdy żadnej nie otrzymywałem wiadomości¹⁷.

W mojej zaś ucieczce z niewoli na Augustów, Siedlce, Puławy, Tarnogród do Galicji, wśród zamieci, nowych cierpień i niebezpieczeństw, świeci mi tylko jedna gwiazdka. Godny, poczciwy, gościnnie szambelan Kujawski, obywatel pod Augustowem. Ach, Polak też to był duszą i ciałem, polskim był i jego dom, jakich już teraz rzadko widzieć. Dom, o którym Pol¹⁸ tak cudnie powiada, że się ściany zdawały rozszerzać w miarę przybywających gości. Cały tydzień tam wypoczywałem, tam rozstałem się z Makomaskim, któremu jako rannemu odstąpiłem miejsca w powozie czy za powozem, bo przybrał tytuł kucharza pułkownika B... jadącego do Warszawy, gdzie i szczęśliwie zajechał. Ja zaś puściłem się już sam w dalszą podróż... Dajmy temu pokój... Ósmego lipca przebyłem granicę, kląkłem, ucałowałem ziemię, na której poczułem się wolnym. Wolnym!... to jest oswobodzonym z więzów niewoli. Wędrując w sukmanie granatowej i słomianym kapeluszu, spotkałem w Przenyślu Ignacego Konarskiego, przyjaciela z lat dziecińczych... Ale kogo wspomnę, już nie żyje... Ot, chodźmy spać. Dobranoc.

*

Byliśmy podobno wczoraj w Montereau. W Montereau więc, a raczej na dziedzińcu pałacu Surville, uwiązawszy konia wszedłem, sam nie wiem po co, przez jakąś bramę do jakiegoś parku czyli sadu, gdzie zgromadzono jeńców, po największej części Austriaków. Od czasu jak doświadczyłem, co to niewola, został w moim sercu udział dla tych, których później zdarzyło mi się spotkać w podobnym położeniu. Pieniądzy nie miałem, aby nimi wesprzeć, ale kawał chleba, łyk z flaszki, a czasem tylko i dobre słowo, którego wartość ten tylko cenić może, co je kiedyś otrzymał, niosłem zawsze tym, których los zdradził. Egoizm Francuzów nie pozwala im czynnego udziału. Żaden nigdy nie znieważy jeńca, ale gotów dać mu unrzeć z głodu. Polacy jedni posuwają dawną szlachetnością rycerską ledwie

¹⁷ List ten z 24 VI 1817 r. z Beńkowej Wiszni zob. w *Bibl. Warsz.* 1892. II 294.

¹⁸ Wincenty Pol (1807—1872), poeta, autor *Pieśni o ziemi naszej*.

nie do zbytku. W ostatnim naszym powstaniu narodowym pamiętano nieraz kosztem własnego wojska o zwyciężonym nieprzyjacielu. Dla Polaka zwyciężony i bezbronny jest świętą, nietykalną osobą. Zaledwie pierwszy zapal ostrygnie, dzieli się żywnością, odzieżą, pieniędzmi, wypiłby z nim „kochajmy się“, byle było czym. Pod Vitry ułany polskie z komendy Tomickiego, dawniej mego szefa szwadronu w 11 pułku, zabrali cały podjazd pruski. W mgnieniu oka złożyliśmy kilkadziesiąt franków. Oficer przyjął je z większym zadziwieniem niż wdzięcznością. Prusak na taką czynność nie ma pojęcia. Ja sam, nie chwając się, dałem w Berg-au-bac majorowi rosyjskich huzarów Gagarin (którego nie wiem dlaczego Fain¹⁰ wspomina) moją czarną, jedwabną szlafmycę, wprawdzie nieco podszarzaną, ale on nie miał co włożyć na głowę. Dałem wspaniale, lubo moja garderoba i ruchomości nie zalecały się wielkimi zasobami, lubo długo potem w nieustannych kursach musiałem mój kapeluszyk na bakier nasuwać na to ucho, w które wicher gorliwie szeptał.

Kiedy wchodziłem do pałacu w Surville, spotkałem na schodach nowoprzybyłego adiutanta księcia, kapitana Bauffremont, w którym poznałem owego porucznika huzarów, co gdzieś między Freibergiem a Altenburgiem na rozkaz generała Belliard, szefa sztabu Króla Neapolitańskiego, dał mi białą szkapę spod trębacza, bo przybyłem pieszo z pilną depeszą. Dlaczego pieszo? Bo konia nie miałem — rzecz jasna. Zastałem tam Suchorzewskiego, który mnie uwiadomił o klęsce i wzięciu Vandamma pod Kulmem.

Białą koń trębaczki zakrawał na kulawego. Gdyby nie jego wiek sędziwy, myślałbym był, że figle, kiedy nie potknąwszy się wywrócił się pode mną jak długi. Nie zeskoczyłem ja wprawdzie, nawet koń już stał, a ja jeszcze w dół głową wisiałem. Ostrogą krzywą zaczępiłem jakby haczykiem za ramię mantelzaka. Szczęściem, że Tezeusz²⁰ nie wezwał Neptuna i Neptun nie podgonił, bo był

¹⁰ Agaton Fain (1778—1836), sekretarz Napoleona I, autor dzieł o wojnach 1812, 1813 i 1814 r.

²⁰ Według wierzeń greckich rycerz ateński Tezeusz przy pomocy boga Neptuna wtrącił niewinnie swego syna, Hipolita, w odmęty morza. Podanie to zużytkował Racine w tragedii *Fedra*.

bym niezawodnie zginął jak Hipolit, lubo równie niewinny jak i on. Przy Królu Neapolitańskim trzeba było mieć dobrego konia, bo kiedy kolumna jazdy jak potok sunęła się drogą, on przenosił się cwałem ²¹ z pagórka na pagórek. Obserwował, p o z o w a ł chętnie, a czasem i nacierał na czele swojej świty na nieprzyjacielskie forpoczty. Nie mogłem w tych okolicznościach jak tylko być jednym z ostatnich. Wtem głos podany z ust do ust aż do mnie dochodzi: *Le Roi demande l'Officier du Prince de Neufchâtel* ²². — Spiąłem konia ostrogą — wyraźnie był kulawy — i zbliżyłem się do Króla.

Spytal mi się, czy marszałek Marmont jest w N. N. „Nie wiem, odpowiedziałem, bo nie byłem w N. N.“. Odpowiedź arcylogiczna, logiczniejsza jak tego Żyda, który zapytany, dlaczego białego psa nazwał Krukiem, odrzekł: „Bo jego ojciec był kasztan“. Na silną moją odpowiedź Król odezwał się: „A!... A!“ — i nic więcej, nic, ani słowa. Cóż u diabła za przeznaczenie, że z żadnym monarchą pogadanki zawiązać nie mogłem. Ale tym razem dobrze się stało, bo byłbym niezawodnie jakie głupstwo powiedział. Jest albowiem rzeczą dowiedzioną, że nikt z kulawego konia nic mądrego powiedzieć, tak jak złym piórem nic dobrego napisać nie może.

Niemniej bolał mnie jednak ten brak szczęścia do królów, a nawet do królewien, tak, do królewien, a przynajmniej do jednej, królowej saskiej. Było to w onym czasie, kiedy ktoś w transparencie napisał ²³: „O, Sasie, w dobrym czasie, drugi raz walisz przez Kalisz“. W onym czasie, kiedy król saski jako wielki ksiączę warszawski jechał z Krakowa do Warszawy. Diabli wiedzą, na co był księciem warszawskim i po co jechał z Krakowa do Warszawy, ale tak było. Jazda nasza, wzdłuż drogi plutonami rozstawiona, eskortowała ²⁴ królewskie powozy. Na mnie padł ten zaszczyt w Lublinie. Pułkownik jechał przy karecie króla, ja przy królowej. Król i królowa zwykli byli rozmawiać z eskortującymi oficerami. Oborski ²⁵

²¹ Cwałem. ²² „Król wzywa oficera księcia Neufchâtel“.

²³ Napis lub rysunek wywieszany na powitanie.

²⁴ Ochraniała, konwojowała.

²⁵ Aleksander Oborski, pułkownik 3 p. ułanów.

powiadał, że galopując ciągle zażywał tabaki z papierka w nadziei, że król to spostrzeże i daruje mu tabakierkę, a tabakierka królewska zawsze złota. Ledwie za miastem królowna wychyla się... ja się nachylam, a wtem bałwan kurzu uderza między nas. Królowna cofnęła się, podniosła taflę²⁶, a ja przygotowane na języku: *Qui, Madame*²⁷, wypaliłem w powietrze. Ale aczkolwiek rozmowa moja z królowną w ciaśniejszej granicy została niż z Królem Neapolitańskim, jednak w czapce ułańskiej, na dzielnym kasztanie, któremu był przepłacił memu kapitanowi Sulimierskiemu, lepszą miałem minę niż na trębackim koniu w stosowanym kapeluszu. Co prawda, to prawda.

Powiedziałem, że pod Altenburgiem przybyłem pieszo z depeszą dlatego, że konia nie miałem; argument silny. Ale dlaczego nie miałem konia, to potrzebuje objaśnienia. Wyjechałem z Drezna na własnym koniu, przyjechałem pocztowym w nocy do Freiburga. W Freiburgu na poczcie nie mogli mi dać tylko wóz chłopski parą ciężkimi końmi. Nad ranem jeden ustał. Wsiadłem na drugiego i tym razem bez wszelkiego przyrzędu. Mogłem służyć za model do jakiego posągu. Posąg zawsze oklep siedzi. Różnica tylko byłaby taka, że rycerz brązowy zawsze w płaszczu i bez spodni, a ja bez płaszcza ale w spodniach, Bogu dzięki. Ale i drugi koń zaczął folgować²⁸ tak dalece, że chwyciłem heroiczne²⁹ przedsięwzięcie kontynuować *per pedes Apostolorum*³⁰ moje poselstwo do Najjaśniejszego Pana.

Oficer sztabowy, *le Juif errant de l'Armée*³¹, musiał strzec się nie tylko nieprzyjaciela, ale, zwłaszcza w saskiej kampanii, i alian-tów³² niemieckich, którzy ulegając swojemu *Heimweh*³³ porzucali nasze szeregi i wędrując lasami zabijali kogo mogli, nie z patriotyzmu, ale *der Reisegelder wegen*³⁴.

Jednakże małe to jeszcze były przykrości, to jest przykrości samotnych wędrowek, w porównaniu nieustających utarczek na każ-

²⁶ Szybę powozu. ²⁷ „Tak, Pani“. ²⁸ Słabnąć. ²⁹ Bohaterskie.

³⁰ Odbywać dalej pieszo (na wzór apostołów).

³¹ Żyd wieczny tułacz armii. ³² Sprzymierzeńców.

³³ Tęsknocie za ojczyzną. ³⁴ Dla rabunku pieniędzy podróżnych.

dym noclegu po wsiach. Z maroderami³⁵ ciągle walka. Ale kiedy już przyszło do starcia się na piękne, pałaszem tylko albo drągiem można było działać. Francuza dobitnym razem trzeba zbić z terminu. Wtenczas dopiero powie: *Tiens!*³⁶ i ustąpi z placu — rozumie się w niesłusznej napaści. Ale i linia, nawet gwardia napa- dała jak szarańcza domy, przed którymi warty nie było. Z bronią w rękę trzeba było bronić swego schronienia wtenczas, kiedy czas było spocząć. Inaczej wyjęli drzwi, okna, gotowi pałace się polana wyciągnąć spod kociołka, a snopek słomy spod ciebie. Cały dom gotowi byli rozebrać, gdyby to tyle pracy nie kosztowało.

Pierwszy marsz z Drezna do Seerhausen; przychodzimy późno, deszcz leje. Na Rejtana kolej odbierać furaz, ale dystrybucji³⁷ nie ma. Jazda gwardii przybyła wraz z nami. Trzeba szturmem zdobywać. Każda sarta najeżona ludźmi, zdaje się ogromnym rozbitym mrowiskiem. Snopy bieleją się w środku jak mrówcze jaja sprzątane przez strwożone matki. Ten ciągnie, ten wrywa tamtemu, ten pada pod ciężarem, a tamten go unosi. Ruch, ścisk, cały kopiec żyje. Do tego dołącz żołnierską wrzawę, ludzką kłótnię, krople deszczowe, kurz zbożowy, a obraz będzie dokładny. Nareszcie Rejtan przybywa; niosą za nim siano i słomę, ale je prawdziwie wywalczył, bo nazajutrz rąbie się z francuskim oficerem.

My tymczasem umieściliśmy się dobrze nad wszelkie spodziewanie. Spoczywaliśmy pod sklepieniem mirtów, granatów i pomarańcz. Śnieżny kwiat padał na kulbaki. Woń godna bogów walczyła zwycięsko z różnorodnym zapachem biwaku³⁸. Byliśmy w obszernej oranżerii³⁹. Ale niedługa rozkosz, a sen jeszcze krótszy. Piesza gwardia nadeszła. Wyjmują okna, nie ma co mówić, my mamy dach, słusznie aby oni mieli okna. Ale od łyczka do rzemyczka. Wyjąwszy okna, ciągną ze środka jaką mogą tarcicę, jaki mogą kawał drzewa. Jeszcze nic. Ale nareszcie zaczynają zbijać obręcze z wazonów, wazonny brać na opał. Padają oleandry, aloesy, kaktusy i agapantusy⁴⁰. Bierz je licho, — nigdy nie byłem miłośnikiem botaniki, a tym mniej wtenczas, ale można jakim wykorzenionym kaktusem albo cyprysem w łeb dostać. Ziemia się sypie, rusztowania trzeszczą. Koniec

³⁵ Włóczęgami, łazikami. ³⁶ „Otóż”. ³⁷ Rozdziału. ³⁸ Obozu.

³⁹ Cieplarni. ⁴⁰ Rośliny południowe, egzotyczne.

końców trzeba było zrejterować⁴¹ się w jeden kąt i tego jeszcze do białego dnia bronić od zupełnego zniszczenia.

Podobne lecz śmieszne dla nas mieliśmy zdarzenie w Perthé, dużej wsi między Vitry a St. Dizier. W nocy otwierają się drzwi z trzaskiem, hałasem. Jeden z kolegów, co zawsze odosabniać się lubił i nad wygodami przemyślał, wpada do naszej izby. Spodnie pod pachą, buty w jednym, pałasz w drugim ręku. Cóż się stało? Co się dzieje? Kozaki czy ogień? — Wcale nie. Nasz kolega wybrał sobie kwaterę na piecu piekarskim, które to piece we Francji opodal od domu przykryte bywają płaskim daszkiem, jak u nas piwnice. Zasnął smacznie, a wtem... trzask! prask! gonty się łamią, krokiew pęka i piechur na kark mu spada. *Excusez!*⁴² Dach rozbierają. Ledwie wyszedł cały, a my musieliśmy pospieszyć, aby resztę rzeczy wyratować z tej zburzonej Troi.

W tej wsi Perthé usłyszałem miejscową anegdotkę, którą pozwolę sobie Państwu powtórzyć. Żył tam przed laty pleban, który tylko wierszami mówił. Razu jednego między nim a biskupem taka nastąpiła rozmowa:

— *Vous êtes le Curé de Perthé?*

— *Certes.*

— *Le fameux rimeur?*

— *Oui, Monseigneur.*

— *Descendez de cheval.*

— *Vous dites mal.*

— *Comment?*

— *C'est une jument*⁴³.

„... i mruga! piękna to piosneczka, nie długa“.

Przykre bywały te utarczki z rzeszą obozową dla oficerów sztabowych, którzy zmęczeni zawsze jak psy gończe, co dzień cały po trzcinach starego lisa gonili, potrzebowali tak dla siebie jak i dla koni kilka godzin odpoczynku, odpoczynku, którego każdy inny

⁴¹ Cofnąć się, uciec. ⁴² Wybaczcie.

⁴³ Czy jesteś plebanem w Perthé? — Niewątpliwie. — Słynnym wierszokletą? — Tak, Wasza Wielmożność. — Zsiądź z konia. — Powiedzieliście mylnie. — Dlaczego? — To jest kobyła.

w jakim takim, ale niekontestowanym biwaku⁴⁴ mniej więcej używał.

Biwakować zaś także trudno nam było. Jeżeli to czasem się trafiło, leżeliśmy na kwiecistym kobiercu ziemi pod gwiaździstym namiotem nieba. Bo nie było komu spać jaką taką barakę⁴⁵, przynieść drzewa, słomy, wody. W pułku jedni drugim pomagają, jedni zostają przy koniach, drudzy przy kociołku, a inni idą na łówkę. Ale oficer sztabowy ze swoim służącym nie rozbierze dachu, ani też wyjmować będzie okien z oranżerii. Na to trzeba stowarzyszenia nie przez akcje⁴⁶, ale przez pięści. Sama epoleta⁴⁷ za słabą w tym razie.

Niemniej przykrymi bywały te noclegi, gdzie gwardia dostawała rozkaz *de se loger militairement*⁴⁸, to jest: jak kto może. Kilku nas ze swoimi i tych kolegów, którzy się na misji znajdowali, służącymi i końmi zajmujemy jaki domek. W parę godzin kłapanie tyśiąca trzewików oznajmia, że piechota przybywa. Wkrótce potwierdza to mniemanie dwukrotne uderzenie kolbą w drzwi — podpierają kto może — rozmowa przez deski — czasem uda się odwrócić ten pierwszy napad, ale niezadługo nastaje drugi, trzeci, a im późniejszy, tym upartszy, bo to ogon kolumny, ten nie ma wyboru ani czasu do stracenia. Drzwi trzeszczą, kapitulować trzeba. — Wielu was? — Trzech. — Dobrze, trzech przyjmiemy. — Otwierasz, wchodzi sześciu. *Pardon Messieurs! mais que voulez-vous... Il faut bien...*⁴⁹ etc. etc... Dobrze, dobrze, tylko cicho — wy tam, a my tu. Ale za ledwie utasowano się jako tako, nowy szturm. — *Briquet! Est-tu par là? — Ah! C'est toi Colicaut! — Allons sacrrr!!... Vous allez faire entrer toute une compagnie! — Dutout!... dutout... un seul, pas plus, notre camarade... Voyons!*⁵⁰ — I wchodzi jeden, za nim wciska się znowu jeden i niby niepuszczany przez tego, co drzwi uchylił, jeszcze je-

⁴⁴ Niewątpliwym obozie. ⁴⁵ Barak. ⁴⁶ Porozumienia.

⁴⁷ Odnaka oficerska. ⁴⁸ Ulokować się po wojskowemu.

⁴⁹ „Przepraszam, Panowie, ale czego chcecie.. Trzeba...“.

⁵⁰ „Briquet, czy jesteś tam? — Ah, to ty, Colicaut! — Idźcie do licha! Wejdzcie was cała kompania! — Wcale nie, wcale nie... jeden jedyny, nie więcej, nasz towarzyszy... Zobaczycie!“

den. — *Fermez donc, sacrrr!... — Oui, Messieurs* ⁵¹. Ale już obrócić się trudno. Otóż to nocleg sztabowych oficerów.

Raz wróciwszy z misji, strudzeni, zziębnięty, oddają konia, wchodzę do wskazanej mi izdebki i rzucam się na łóżko bez wszelkiej przemowy. Zasnąłem twardo jak panna po balu, albo wikary po stypie. Nad ranem, jeszcze ciemno było, wstaję, potykam się na czymś... chwytam się czegoś drugiego... upadam na coś trzeciego... Słowa zagrzmiały, słowa się krzyżują, słowa, których nie ma ani w dykcjonarzu, ani w encyklopedii i których powtórzyć nie mogę. Cóż się to stało w mojej samotnej izdebce podczas mego snu? Oto grenadiery gwardii zaległy ją pokotem. Dziwna rzecz, że żaden nie położył się na mnie. Ale Francuzi tak grzeczni!

W owych szturmach, obronach, walkach o trochę słomy albo kawałek poddasza — kto był Ajaksem? Kto Hektorem? ⁵² Mój Onufry. To przyznać trzeba. O! jak pięknym był, kiedy zwabieni hałasem na podwórze ujrzeliśmy go nad leżącym pod wozem *Garde d'honneur* ⁵³, z ogromnym drągiem w ręku. Stał jak ów słynnego dłuta Canovy ⁵⁴ „Tezeusz nad Minotaurem“. *Garde d'honneur* krzyczał i, nieufny zapewne w siłę pałasza, parował obu nogami grożące mu razy. Wiązka siana obok walczących świadczyła, o co poszło. Krzyknąłem — drąg się spuścił — *Garde d'honneur* wstał, zdjął czako z ziemi mrużąc: *Est-il mal-appris, celui là!* ⁵⁵ I obcierał sobie mundur... nie na piersiach zwalany.

Pułk huzarów w zielonych dołmanach z białymi sznurami i w pąsowych rajtuzach, nazwany *Gardes d'honneur*, był to pułk świeżo uformowany, po największej części z dzieci paryskich. Bili się z honorem i męstwem, tak jak się Francuzi bić zwykli, ale niemało bawili starszych żołnierzy swoją powierzchownością, również jak i swoim zachowaniem w różnych obozowych okolicznościach. Jeden z francuskich generałów powiedział: Nie ma się co dziwić, że Polacy są dobrymi lancjerami, bo Polak jeszcze dzieckiem już z lancą w ręku było pasie. Lubo Francuzi zawsze wszystko najle-

⁵¹ „Zamknijcie wreszcie, do licha!... Tak, panowie“.

⁵² Bohaterzy z wojny trojańskiej. ⁵³ Honorowy wartownik.

⁵⁴ Słynny rzeźbiarz włoski (1757—1822) ⁵⁵ Ależ ten wychowany!

piej wiedzą — teraz nawet w Algierii Arabów uczą po arabsku — ja prawdy twierdzeniu szanownego generała przyznać nie mogę. Po wiem jednak, że nam Słowianom łatwiej niż Francuzom złożyć dobrą jazdę lancjerów czy nie lancjerów, a zwłaszcza złożyć na prędcie. U nas chłopak wzrasta między końmi, dosiada szkapy, pędzi po pastwisku, przepływa rzeki, wtenczas kiedy jeszcze po płocie wydrapał się na nią, kiedy między nim a jej grzbietem płótna nawet nie ma. Nie będzie on zapewne od razu zgrabnym kawalerzystą, ale z koniem poradzi sobie zawsze, a do koczowania nawykł od dzieciństwa.

Każdy nowy kawalerzysta wzbudza śmiech starego żołnierza, a cóż dopiero Francuz prosto od *comptoir*⁵⁶ kawiarni, albo od perukarskiego warsztatu na francuskiego konia wsadzony. Proszę mu się przypatrzeć. Najprzód jego punkt dotknięcia z kulbaką jest w ciągłej z nią niezgodzie... zdaje się, że jakaś odpychająca siła zmusza je do oddzielnej grawitacji⁵⁷. Jego łokcie odparte od ciała jak skrzydła młodego gołąbka, co chciałby a boi się pierwszy lot z gniazda przedsięwziąć. Jego głowa w tył zadarta, a pierś nachylona jak u naszego popa, kiedy o prezentę⁵⁸ prosi, brzuch wypięty jak u spalonego⁵⁹ karczmarza. W jego ruchach, od pięty aż do czubka paryskiego, zgniecionego teraz rycerskim przykryciem, jest coś nerwowego, coś ostrokątne, co go czyni podobnym do telegrafu, nie elektrycznego, ale tego, co za naszych czasów z wieży do wieży łamańce wyprawiał⁶⁰. Bądź przy tym pewny, że oba strzeмиączka, a przynajmniej jedno, urwane, rajtuzy w górę skurczone odkrywają cholewę nie poczernioną, albo część płóciennego ubioru, który nigdy słońca widzieć nie powinien. Ostroga młodego rycerza na dół zgięta nadweręzała obcas; to na pierwszych schodach, z których zstępował jako obrońca ojczyzny, stać się musiało niezawodnie. Czako przestronne ociera uszy, albo za ciasne natęża podpinkę, która koniec końców urwana igrać będzie z wiatrem wzdłuż policzków. Cugle długo trzymane zdają się być lejcami czterech koni w rękę

⁵⁶ Lady. ⁵⁷ Przyciągania, ciężenia.

⁵⁸ Zatwierdzenie na stanowisko proboszcza. ⁵⁹ Właściwie — spalonego.

⁶⁰ Telegraf optyczny podający sygnały z wieży do wieży.

stangreta rozpartego na koźle. Nareszcie zawsze coś niepotrzebnego, rzemyk, tasiemka, sznurek wygląda, skąd mu wyglądać nie wolno.

Ileż to razy jaki stary wiarus rozkuł w nocy konia *Garde d'honneur*owi potrzebując podkowy. Ileż to razy wiozącemu furaz wymknęły się źle związane snopki, a nim konia zatrzymał, nim zlął z niego, już snopków nie było. Jeżeli zaś nauczony w tym względzie doświadczeniem wziął cugle w zęby, a wiązki pod pachę, wtenczas tracił łatwo równowagę i zsuwał się z kulbaki, a nim się z siana wydobył, koń już kawał uszedł. Ileż razy nie śmieliśmy się, patrząc na biednego paryżanina, jak nie mogąc dać sobie rady w trudnej sztuce przypięcia sobie mantelzaka, siadał twarzą do ogona i tak szamotał się z krnąbrnym rzemieniem i zuchwałą sprzączką. *Notabene*⁶¹, w okularach na nosie często, a z kroplą u nosa zawsze. Ta kropla, aczkolwiek mniej ważna niż owa, o której Alba wspomniał Don Karłowski⁶² (z wielkim zgotszeniem ultraklasyków⁶³), godna jednak wspomnienia. Zdaje się nie podpadać wątpliwości, że nosy francuskie drażliwsze od nosów innych narodów, bo zacząwszy, nie od Cesarza, u którego nie zdarzyło mi się nigdy ujrzeć owej perelki, ale zacząwszy od mojego szefa generalnego majora księcia Neufchâtelskiego aż do porucznika Pascalis, którego (*par parenthèse*)⁶⁴ nazywaliśmy *Tête de veau bouillée*⁶⁵, wszyscy Francuzi, gdy chłodny wietrzyk przeciągał, mieli kropelkę u nosa; niebytność tejże była cechą niemylną obcego Gallom⁶⁶ szczepu.

Czasem trafiało się, że w miasteczku, gdzie stanęła główna kwatera a z nią gwardia, miejsca dla wszystkich nie było, natenczas część sztabu zostawała umieszczoną w bliskiej jakiej włości. Mocnymi marszami dążymy ku zagrożonemu Paryżowi. Ostatniego mar-

⁶¹ Nadto (dosłownie — „uważaj dobrze“).

⁶² W tragedii Fryderyka Schillera *Don Carlos* wódz hiszpański Alba mówi do syna króla Filipa II, księcia Don Carlosa: „On (tj. Filip) wie, ile krwawe podboje te i zmagania wymogły na twym ludzie, na całej Hiszpanii wysilonej, krwi, jakie strugi krwi — za tę parę kropel, z których ty, książę, zostałeś zrodzony, by królem zostać“.

⁶³ Skrajnych zwolenników literatury starożytnej, klasycznej.

⁶⁴ Nawiasem mówiąc. ⁶⁵ Gotowaną głową wołu. ⁶⁶ Tj. Francuzem.

ca przybywamy do Pont-sur-Yonne. Kwatera nasza o ćwierć mili na prawo w dużej wsi zwanej (czego do śmierci nie zapomnę) Michery. Poprawiliśmy się na kulbakach i dalej panie koniu, dalej! do stajni jeszcze kawał drogi. To co w zmroku wieczornym widać jak czarną plamę — jest Michery. Dalej naprzód! Już się ściemniło, ba, ciemno było, jak to mówią „oko wykol“ albo *vulgo*⁶⁷ „w pysk daj“, kiedyśmy dojechali światełka, co z okienka krajnej chaty od dawna mrugało na nas przyjemnie.

Ile razy zdarzyło mi się przejeżdżać poprzód porządną chatę, gdzie ogień w kominie jarzący muskał zarazem światłem białe ściany i niski strop, z którego święcone wianki zdają się wieńczyć zgromadzoną rodzinę, zawsze doznawałem jakiegoś błogiego uczucia. Zdawało mi się, że szczęście widzę. Myślałem sobie: Jak im tam dobrze, jak spokojnie, jak mało trzeba! Nigdy pałac oświetlony nie wzbudzał we mnie zazdrości, — chatka z dobrym ogrodzeniem, ze swoim nieodzownym Kruczkiem albo Biłkiem, zawsze prawie. Raz nawet, na kilkudniowym polowaniu w lasach lubartowskich, nocując w domku leśniczego tak byłem zachwycony widokiem rodzinnego, cichego, skromnego życia, że zachwiało się we mnie młodzieńcze przedsięwzięcie wojowania aż do śmierci. Takiego, rzekłem, chcę ustronia... prawda, że wtenczas kochałem się po raz pierwszy... nie, po raz drugi. Prawda, że później poznałem, że nie wszystko grzeje, co się świeci, a jednak wrażenie z wiosny mego życia rozciąga swoją bladą lunę i na jesień, co już niejednym żółtym rzuciła mi listkiem. Dwa małe okienka, ale czyste i proste, spod grubej strzechy świecące w noc daleką, przemawiają jeszcze do serca mojego.

Nie tak przyjemne wspomnienie o chatkach i światełkach zachował zapewne jeden z moich kolegów. Jechaliśmy przy sobie na czele kompanii przez jakąś nędzną wioskę; było to jeszcze w czasie pokoju, ale w noc diablo czarną. Wiatr dął i ryczał, niby gniewał się jak demagog⁶⁸, że nie może wszystkiego obalić, co nad poziom wyższe. Fajka w takich chwilach niby rozwesela, niby rozgrzewa. Mój kolega (Boże mi odpuść, nie pamiętam, jak się zowie, czyli jak się zwał) chciał ognia, ale w bliskich rotach⁶⁹ nikt nie miał. W chatach

⁶⁷ Pospolicie. ⁶⁸ Podżegacz, krzykacz. ⁶⁹ Oddziałach.

ciemno. Na koniec w ostatniej, opodal od drogi migąło światełko, słabe, blade, więcej podobne do promyka księżycy niż do płomienia kagańca albo łuczywa. Tam zatem konia skręcił. Pięć minut zaledwie uszło — słyszę cwał — kolega mnie dopędza, przegania, biały płaszcz wzdęty wichrem wznosi się, płacze, układa różne kształty, raz jeździec zdaje się bez głowy, raz w olbrzyma rośnie, raz zdaje się trzymać w objęciu wiarołomną Leonorę, hop! hop! hop! Puszczam konia za nim. — „Hola! hej! stój! gdzie pędzisz?“ — Wstrzymał się nareszcie, spojrzał na mnie, odetchnął i zawołał: „Mnie się zdaje, że zwariowałem“. — „Nie spodziewam się, odpowiedziałem, ale w świecie wszystko jest podobne“. — „Nie żartuj, rzekł dalej, bo mnie w samej rzeczy kręci się w głowie“. Zrównał swego konia z moim i ujechawszy kawalek, krzyknął: „I fajkę palę!“ To wykrzyknięcie przeraziło mnie cokolwiek, bo zacząłem myśleć, że jego rozum w istocie koziołka wywrócił. Spojrzałem na niego z ukosa, ale prócz dymu puszczonego wielkim kłębem nic więcej nie dojrzałem. „I fajkę palę“, powtórzył jakby do siebie, a potem zwracając się ku mnie, rzekł, zaśmiaawszy się niby: „To jest rzecz dziwna. Wstydzę się trochę, ale powiem. Kiedy zwróciłem konia ku chatce, musiałem go spinać ostrogami, bo szedł trwożnie i z oporem. Zniecierpliwiony zsiadłem z niego i znalazłszy jakiś kół, ostatni zapewne w wyłamanej płocie, zarzuciłem nań cugle i wszedłem do chaty. W sieni ciemno. Macam po ścianie, nareszcie natrafiam na sznurek u drzwi, ciągnę, otwieram i w pierwszym kroku znajduję się przy twarzy, tuż przy twarzy... umarłego. Leżał białym płótnem przykryty, jedna świeczka przy nim świeciła. Jakaś okropność mnie chwyciła, jakiś mróz przejął, martwym wydałem się sam sobie. A wtem... coś się ruszyło — wszystko i nic... Nic, bo tam prócz umarłego nikogo nie było — wszystko, bo nigdzie jednego stałego punktu oko moje znaleźć nie mogło. Nawet ściany nagie przebiegało coś, co ni cień, ni światło. Co się ze mną dalej stało, nie pamiętam. Musiałem fajkę zapalić, bo palę — i dmuchnął, aż cały nabój tyśiącami iskier wyleciał w górę i spadł potem na grzywę. — Jak wyszedłem, nie wiem... jak się znalazłem na kulbace, nie wiem, jak tu przyjechałem, nie wiem. Twój głos mnie obudził. Powiedz mi,

czy nie zwariowałem, bo jużci trupa się nie boję“. I znowu zaczął opowiadać od początku do końca, a gdyśmy się spać pokładli, jeszcze raz powtórzył: „To światełko ciągle świeci mi w oczach. Śmieję się sam z siebie, ale światełko świeci przecie“.

Kiedy byłem poetą, a byłem nim niegdyś, bo pamiętam jeszcze gwiazdy co mi wtenczas świeciły, głosy co mi śpiewały, mgły co swoją wonną gazą łączyły niebo z ziemią, w których pomroku oko gubiło się tak chętnie. Tak jest, pamiętam, byłem poetą, wtenczas więc, kiedy myśl obfita przelewać się zdawała jak woda przez krągłozę przepelnionej czary, obstawiałem się zwykle krzesłami, ażebym chcąc wstać od stolika trącił się o nie i był zmuszony usiąść znowu nad papierem przed kałamarzem. Inaczej zrywałem się jak osą ucięty, chodziłem wzdłuż i wszereż pokoju, prędko, coraz prędeziej... a myśl ze mną, przede mną, prędko, coraz prędeziej, aż na koniec zadychany usiąść musiałem, aż nareszcie myśl zapędzona gdzieś w manowce, jary, szczyty, nie wiedziała, jak trafić do swojego gniazda i czarną łzą zawisła na ostrzu pióra. Otóż jak należałoby postąpić przy opowiadaniu moim. Należałoby otoczyć mnie jakąś poręczą, bo mam brzydki nałóg, a co gorzej, wątpię abym się kiedy poprawił, zbaczać nieustannie z mojej ścieżki za lada bławatkiem, co gdzie zaświeci. Wjeżdżałem do Michery i jużci skoczyłem trzy lata w bok, sześć lat w tył, jak zając kiedy na ponowie zrzuca przed psami. Nieraz psy rączo goniąc...!

„Ale Michery! Michery!“... Prawda, Michery. Wjeżdżamy więc w uliczkę wąską, jedziemy nią dość długo, potem wyjeżdżamy na plac, potem znowu wjeżdżamy w uliczkę, a przejechawszy tak wzdłuż całą wieś, którą u nas nazwanoby dobrym miasteczkiem, skręcamy na prawo i stajemy u bramy przeznaczonej nam kwatery. Był to domek niewielki, murowany, okna kratami opatrzone, drzwi były wąskie i jedne tylko, właśnie prosto bramy i furtki, które także były jedynym otworem w murze wysokim, otaczającym pomieszkanie i stajnię razem, co o kilkadziesiąt kroków na lewym skrzydle formowała z domem kąt prosty. Z tego krótkiego opisu łatwo pojąć, że kto był panem furtki (brama bowiem była zamknięta) był oraz

i panem placu. Nie tylko mógł wzbronić wyjścia z dziedzińca, ale nawet i z domu, przecinał przy tym komunikację ze stajnią. Ci zaś, co byli w domie, stajni lub na dziedzińcu, mieli wysokim murem cały świat zasłonięty.

Zsiedliśmy z koni. W dużej izbie prosto z dworu przywitał nas dobry ogień na kominie, nad ogniem wisiał kociołek, ale na stole stał już dzbanek pełny. Wieczór przeszedł wesoło, nareszcie masztalcerze poszli do stajni, a my rozłożyliśmy się w alkierzu. Nie wiem dlaczego tej nocy byliśmy mniej ostrożni niż kiedykolwiek. Rozebrałiśmy się zupełnie i położyli się spać z wszelką spokojnością umysłu, tak jak się kładzie w Rudkach na nocleg szlachcic z Sanockiego jadący do Lwowa na kontrakty.

Spaliśmy dłużej niż zwykle, a obudziwszy się wstawaliśmy leniwo. Milberg ubrał się najpierwszy i zrzędził, że się nie zbieramy. Suchorzewski poszedł ze swoim koniem do kowala. Grabowski zaczął się ubierać. Rejtan jeszcze drzymał. Ja przy stoliku w oknie, z którego widziałem bramę i furtkę, przypominałem sobie torbeczkę skórzaną, którą pod mundurem na piersiach nosiłem i w którą chowałem tak własne ważniejsze papiery, jak i powierzone mi depecze: Taki był stan rzeczy, kiedy Stefan, służący Rejtana, wpada błąd jak kreda, trzęsący się jak febra *in persona*⁷⁰ i cichym, gasnącym prawie głosem woła: „Kozaki!... Jak Boga kocham, kozaki!“ Jakkolwiek cicho i niekoniecznie wyraźnie wymówił te słowa, głośno wszakże zagrzmiały w uszach naszych. Obudził się kto drzymał, zerwał się kto leżał; kto stał, podskoczył. Nie trzeba było pytać, gdzie? jak? co? Bo rzuciwszy okiem w okno ujrzeliśmy u furki z tamtej strony muru część zielonego płaszcza, połowę białej juki, łeb koński a nad nim kozacką brodę. Niebawem okazała się i druga. Kozak wszedł na dziedziniec; czy to pierwszy czy dziesiąty, nie wiemy. Co się dzieje w stajni, trudno zgadnąć. Bierzemy odzież, chwytamy za broń, ale przy moim boku szpada, pałasz u Onufrego, pistolety, jeżeli który nabity, spoczywają w olstrach, olstra przy siodłach, siodła w stajni. Kiedy w naszym alkierzu alarm, w stajni tymczasem ludzie nasi spokojnie jedni konie chędożą, drudzy kul-

⁷⁰ We własnej osobie.

baczą, pomimo że kozak we drzwiach, ten którego widzieliśmy wstępującego na dziedziniec.

Zdaje się, że św. Balbina, patronka dnia tego, opiekuje się głupimi, bo trudno wierzyć, aby tyle głupstwa, ile wówczas w Michery, mogło skoncentrować się w jeden punkt i w jedną godzinę. Kozak widzi w stajni ze dwadzieścia koni, nie dostrzega popłochu, przemawia kilka słów i cofa się za furtkę. Kozacy pamiętni zawsze przysłowia: „*Quis scit* ⁷¹, co za górą wyje“ — kto wie, co w domu? co za domem? Między murami kulka z bliska uderza, — lepiej postępować powoli a bezpiecznie. Oni przynajmniej rezonowali ⁷²... ale my!... Proszę tylko słuchać.

Za kozakiem na próg furtki wstępuje Milberg. Jeszcze widzę jego mundur, epolety, krzyże odłonięte, szpadę w pochwie, kapełusz na głowie, fajkę w rękę. Staje przed kozakiem i mówi do nich z ruska po polsku. „Co wy tu robicie? Tu dużo Francuzów“. A na to kozak trzymając pistolet w jednym ręku, uchyla drugą ręką kaskiet i z wszelką uprzejmością odpowiada: „My Hrancuzów ne boim sia“. Postrzegłem tę scenę z okna. To uszanowanie kozaka odkrywa mi nagle, co się dzieje za murem. Nie ma ich wiele. ...Boją się nas... pomyślałem, a po tyśnięciu tej myśli uderza piorun czynu. Chwytam jakiś pałasz leżący na stole jeszcze pendentem ⁷³ obwinięty i wypadam z domu krzycząc: „Hurra!“ — „Hurra!“ powtórzyli nasi z wszystkich kątów... Kozaki w nogi. Grabowski w pół ubrany dopadł przecie pistoletu, strzelił za nimi, kulka świsnęła, kozunie jeszcze lepiej... tak dalece, że jeden pikę swoją upuścił. Suchorzewski także narobił hałasu. Uderzono w dzwon (*le tocsin*) ⁷⁴, kilku chłopów wybiegło z widłami. Kozaki zaś zebrawszy się, uformowali się za wsią o wystrzał armatni na pagórku i w nieczynnej stali obserwacji. Od naszej furtki widać ich było, a przez to samo i oni widzieli punkt, przez który trzeba nam było defilować ⁷⁵ wychodząc z opiekuńczych murów.

Ośmielony pomyślnym skutkiem mojej wycieczki, wpadłem w błąd, który zwykle za szczęściem krok w krok idzie. Zostałem

⁷¹ „Kto wie...“ ⁷² Rozprawiali. ⁷³ Pas od pałasza.

⁷⁴ Dzwon alarmowy. ⁷⁵ Przechodzić.

zuchwałym, zarozumiałym, zdało mi się, że ja tu działać muszę, że tylko taktyczna zręczność wyprowadzić nas z niebezpiecznego położenia. Włożywszy zatem kapelusz *à la* Napoleon, to jest rogami nad uszy, rekognoskowałem nieprzyjaciela (nie mając perspektywy ⁷⁶) gołym okiem i tak zacząłem rezonować ⁷⁷: Jeżeli wyjedziemy z bramy w nieładzie, odsłonimy nasze słabe siły i zamiar ucieczki. Potrzeba zatem, rezonowałem dalej, zrobić demonstrację ⁷⁸, która by nieprzyjaciela w błąd wprowadziła, że my jesteśmy tylko częstką wielkiego oddziału rozłożonego po wsi, że nie uciekamy, ale że udajemy się spiesznie na plac zbioru, że nareszcie zebrawszy się, nie myślimy ustąpić z naszego stanowiska.

Aby więc dopiąć tego celu, zdawało mi się być najstosowniejszym krokiem posunąć naprzód korpus obserwacyjny. Że zaś zawsze podług stawu grobla, więc i nasz korpus obserwacyjny musiał objawić się tylko pod postacią skromnej wedety ⁷⁹. Udzieliłem mego planu kolegom i nie czekając ich przyzwolenia, siadłem na konia, wziąłem pałasz w rękę i ruszyłem ku kozakom w zamiarze zatrzymania się i pozostania na brzegu wsi póty, póki w tyle nie uporządkują się rozstrzelone nasze siły. Ruszyłem, stanąłem... dotąd wszystko pięknie, bo w samej rzeczy zdaje się, iż okazanie się moje na linii bojowej zajęło uwagę kozaków i pozbawiło ich przez to potrzebnego czasu do obejścia wsi i przecięcia nam powrotu do Pont-sur-Yonne, dokąd dążność nasza nie mogła być wątpliwą i z najgłupszych najgłupszemu. Ale stanąwszy na miejscu spostrzegam, że droga zaczyna być wąwozem i że wzdłuż tejże po lewej stronie ciągnie się murek na paręset kroków. Skręcam więc konia na prawo z drogi, aby odsunąć się na plac otwartzszy, bo bliskość murów, płotów lub zarośla zawsze kawalerzyście jest niemiłą, oraz aby osiągnąć wyższą pozycję. Tam zacząłem toczyć koniem, jak to zwykle robi się na harcu.

Wtenczas to zapewne duch jakiegoś doświadczonego wojownika, którymi w onym czasie zapełniały się obficie wyższe sfery, zawieszony gdzieś na jakiej chmurze, roześmiał się z mojego przemądrego obrotu. Przez oddalenie się od drogi traciłem możność

⁷⁶ Sledziłem bez lunety. ⁷⁷ Dowodzić, twierdzić.

⁷⁸ Pozorne działanie. ⁷⁹ Placówki strażniczej.

schronienia się między domy, bo jużcić o tyle ja tylko byłem tam groźny, o ile moja szarlataneria⁸⁰ czyniła mnie straszonym. Mogła ona łatwo stracić swój urok, a wtedy jedynie ucieczka ratować mnie mogła. Ale razem, a to najgorzej, pozbawiłem się widoku za siebie ku bramie. Bądź co bądź, mądrze czy głupio, harcowałem śmiało. Jeden tylko kozak, w którym po zielonym płaszczu poznałem Barbarossę⁸¹ od furtki, wyjeżdżał ze swego hufca, złożonego mniej więcej z trzydziestu koni i strzelał do mnie... to jest chciał strzelać, ale ognia mu brakowało, kłapał ciągle. Może ów duch ze swojej chmury litując się nade mną plunął mu na panewkę.

Nareszcie wytrzymawszy czas jakiś, który zdawał mi się dostatecznym, rozpocząłem odwrót. Przybywam do bramy — dziedziniec pusty jak wymiół. Koledzy nie opuścili mnie, wiem z kim mam do czynienia, ale zapewne nie dosłyszeli, nie zrozumieli... niemniej przeto uczułem za nimi głęboką tęsknotę. Nadziei jednak nie tracę. Na placu, rzekłem, czekają mnie pewnie — organizują obronę. Jadę więc wolno aż do zakrętu ulicy, stamtąd rzuciwszy okiem na hufiec nieprzyjacielski posuwałem się jeszcze parę kroków... i nuż w konia!... Rejteruję się⁸² w porządku, ale spiesznie. Czoło mojej kolumny debuszuje⁸³ na plac pożądanym... żywej duszy!... A do stu diabłów!... (tu kłąć wolno). To nie przelewki, ale planu mego odwrotu nie widzę potrzeby zmieniać... Marsz! marsz! pędzę cwałem... za mną się kurzy, a ja pędzę, pędzę przez wieś, przez pole... widzę grenadiera prowadzonego przez dwóch kozaków... Bywaj zdrów! o mojej przyjaźni dobrze mów!... Ja pędzę dalej, aż nareszcie postrzegam oddział naszej jazdy spieszący nam z miasta na pomoc. Odetchnęła moja szkapa, odetchnąłem i ja. I jakkolwiek teraz ten popłoch godniejszy śmiechu niż politowania, ja honorem ręczę, że dla mnie był arcynieprzyjemnym. Dobrze wyciągał się koń pode mną, ale myśl moja jeszcze lepiej. Przebiegła całą nędzę i cierpienie niewoli, z której otrząsałem się zaledwie, a potem prawdę mówiąc, być raz w niewoli jest dla człowieka wiele, nawet bardzo wiele, ale dwa razy, raz po raz, to przeszłoby miarę... to już zbytek, a moje żądania były zawsze nader skromne.

⁸⁰ Oszukiwanie. ⁸¹ Rudobrodego. ⁸² Wycofuję się. ⁸³ Wychodzi.

Nic nie straciliśmy w tej dziwnej przepawie, w tym szczególnym *prima aprilis*⁸⁴. Ale w Pont-sur-Yonne czekało nas drugie, boleśniejsze, niszczące całą przyszłość, zabijające wszystkie nadzieje nasze: — Paryż kapitulował⁸⁵.

⁸⁴ Niespodziance. ⁸⁵ Paryż poddał się 31 marca 1814 r.

Teraz pozwól, szanowny Obywatelu, zapytać się, czy stałeś kiedy dzień cały w polu na wietrze zimowym bez delii, lisiurki albo i płaszcza? — Nie. Tym lepiej dla ciebie, a gorzej dla mnie, bo nie pojmujesz dobroczynnego uczucia, z którym w Montereau, tyśiąć ośmset czternastego po narodzeniu Jezusa Chrystusa, koło szóstej wieczór odpiąłem pałasz, zdjąłem mundur i zasiadłem, gdzie potężny ogień strzelał węglem i lizał płomieniem szerokie podniebienie komina. Już patelnia zaczęła swoją służbę. Już omlet na niej kozła wywracał, tak jest kozła, — i w tym cała sztuka — a ta sztuka właśnie była niedościgniętym dla mnie zadaniem. Kiedy omlet zajmujący całe dno patelni przysmaży się już dostatecznie z jednej strony, trzeba go w górę podrzucić i gdy robi *salto mortale*¹ podłożyć zręcznie patelnię, aby drugim bokiem upadł na skwierczące masło. Ileż to ja omletów nie popsulem! Ileż za to gorzkich nie nasłuchałem się wyrzutów! Mój omlet niezgrabnie zawsze podrzucony albo spadał na ogień i konał w płomieniach jak wdowa Malabaru², albo w pół schwycony zwijał się w haniebną trąbkę. Dlatego pomimo wszelkiej z mojej strony reklamacji³ (bo człowiek najgorliwiej chce to robić, co najmniej umie) zostałem *unanimité*⁴ od patelni odsądzony. Mściłem się krytykując, bo krytykować łatwo, a mścić się przyjemnie, bo zemsta niezdolności bliska krewniaczka.

Podjadłszy nieco i napiwszy się jakiegoś kwaśno-cierpkiego czerwieniaka, rozciągnąłem się na słomie i twardo zasnąłem. Jak długo spałem, nie wiem. Pukanie w okno budzi mnie pierwszego. — *Qui vive?* — *Guide*⁵. — „Zjedźże diabła!“ — Podniosły się głowy

¹ Niebezpieczny skok. ² U dzikich plemion Malabaru w Indiach palono na stosie wdowy zmarłych wojowników. Na tym osnuta treść opery *Lanassa*, czyli *Wdowa Malabaru*, granej przez Bogusławskiego.

³ Zażaleń. ⁴ Jednogłośnie. ⁵ „Kto idzie“ — „Przewodnik“.

spod płaszców jak kacze łebki na jeziorku, kiedy bliski szmer zasłyszą. Biorę złowieszczą kartkę, trącam nogą przygasłą kłodę, a dobywszy z niej trochę blasku, schylam się, by odczytać nazwiska powołanych na służbę. Jedno z pierwszych: *Capitaine Fredro*. — *C'est bien*⁶, rzekłem do *Guida* po francusku, a po polsku dodałem: „Niech cię piorun trzaśnie!“ Trzaśnie czy nie trzaśnie i zapewne nie trzaśnie, bo to luty, ale zbierać się trzeba. Nigdy zając albo jarząbek na czwartkowym obiedzie u króla Poniatowskiego⁷ nie był tak młodą słoniną naszpikowany, jak był diabłami mój monolog ostatniej nocy. Zakończyłem go wykrzyknikiem: „Wolałbym być kundlem, Brysiem albo Kurtą przy młynie albo karczmie gdzie na Podolu, jak oficerem sztabowym. Miałbym albo mniej trudu, albo więcej zasługi“.

Przychodzę do salonu służbowego, melduję się adiutantowi komendantowi, przewracam nie tracąc czasu krzesło, tak aby poręcz mogła mi służyć za poduszkę... i obróciwszy się w kółko jak pies, co sobie legowisko wytłacza w barłogu, kładę się jak długi. — „*Streckt die Glieder, und legt sich nieder*“⁸. Ale wkrótce drzwi się otwierają: *Premier Officier à marcher!* — *Me voilà*⁹. — Wchodzę do gabinetu. Stół długi na środku, na jednym końcu rozłożona mapa, przy drugim sekretarz Dupuis pisze, Salomon pieczętuje listy. Książę jegomość rozłożywszy poły grzeje się przy kominku, a zobaczywszy mnie, powiada przez nos, jak gdyby mu go trzy par babskich okularów ścisnęło: *Ah! c'est Vous!*¹⁰ Ale gdybym był go się zapytał, kto jest ten *Vous*, byłby odpowiedział niezawodnie: Siukoroski — co miało znaczyć Suchorzewski. Nauczył się tego trudnego nazwiska, a raz zrobiwszy *ce tour de force*¹¹, chrzcił nim wszystkich polskich oficerów, będących przy jego sztabie.

Książę przystąpił do stołu i pokazując palcem na mapie rzekł do mnie: „Tu jesteśmy: Montereau — tu jest Moret — a tu Fontainebleau. Weźmiesz Waćpan trzy ekspedycje. Jedną oddasz genera-

⁶ Kapitan Fredro. — „Dobrze“.

⁷ Stanisław August Poniatowski urządzał na Zamku warszawskim słynne obiady czwartkowe, na które zapraszał przedstawicieli nauki, literatury, sztuki itp.

⁸ Wyciąga członki i kładzie się (zwrot z ballady Schillera *Die Hanshub*).

⁹ Pierwszy oficer do wymarszu! — Oto jestem.

¹⁰ A, to Pan! ¹¹ Ten wysiłek.

łowi A*** w Moret, drugą generałowi C*** w Fontainebleau, trzecią tamże *maire*'owi *alias* burmistrzowi. Ale ponieważ lewy brzeg Sekwany między Montereau a Moret jest jeszcze zajęty przez nieprzyjaciela, zatem popłyniesz Waćpan czółnem aż poniżej Moret. Tam doszedłszy, generał A*** ułatwi Waćpanu sposób dostania się dalej. Ten jegomość będzie Waćpanu przewodniczył¹². Rzuciłem okiem w stronę wskazaną i zobaczyłem człowieka wysokiego, grubego, w którym po jego siwym ubiorze łatwo mielnika¹² poznałem. Skłonił on się nisko, nie wiem czy indeksowi¹³ książęcemu, czy mojemu badawczemu wejrzeniu. — „Rozumiesz Waćpan“, mówił dalej Książę do mnie. — „Rozumiem“. — „Powtórz więc co powiedziałem“. — A gdy powtórzyłem: — *C'est bien, partez!*¹⁴ Nie ma lepszej rękojmi, że rozkaz został zrozumiany, jak powtórzenie go dosłownie przez odbierającą osobę. Książę miał ten chwalebny zwyczaj, zachowywał go święcie, zwłaszcza w czasie boju dając ustne zlecenia. Teraz w czasach, kiedy pletę moje trzy po trzy, mój dojeżdżacz powtarza zawsze rozkaz, skąd ma psy puścić i którądy podkładać, a ja mu powiadam: *C'est bien, partez!*

Nie wyszło kwadrans, już kładłem się wzdłuż czółna na skąpo rozścielonej słomie. — *Etes Vous bien, mon Officier?*¹⁵ zapytał grubulo. — *Parfaitement*¹⁶, odpowiedziałem. — *Allons! Vogue la galère*¹⁷. Noc była ciemna, zefir chłodny, spałem głowę na kulaku, pałaszem się przykryłem, a kapelusz wziąłem w rękę... kapelusz stosowany, piękny wynalazek!... szczególnie do nocy i na czółno! O czemuż ciebie nie miałem w objęciu, mój ty płaszczu biały! Treny nad utratą twoją przeszłę kiedyś potomności trzynastosylabowym wierszem! Oby mogły dojść drugiego pokolenia! Mniej żaden poeta nie żąda. Mój przewodnik usiadł w moich nogach, a dwieście pewnie funtów dobrej wagi zachwiało czółnem, ale stało się dla mnie dostatecznym parapetem przeciw frontowemu ewentualnie natar-

¹² Młynarza. ¹³ Palcowi.

¹⁴ „To dobrze, możesz odejść“.

¹⁵ „Czy panu wygodnie, panie oficerze?“.

¹⁶ „Doskonale“.

¹⁷ „Naprzód, niech płynie łódź!“.

ciu¹⁸. Na samym zaś przodzie ukląkł majtek, czyli rybak, czy jak tam nazwać indywiduum¹⁹ dzierżące wiosło.

Odepchnął łódkę, puścił z biegiem wody
Rybak młody etc.

Płynęliśmy. Z mojego stanowiska a raczej położenia, bo nie stałem, ale leżałem do góry brzuchem, mogłem do woli robić astronomiczne postrzeżenia. Patrzałem na gwiazdy. Mrugały. Nie wiem, czy przez to chciały powiedzieć: *Ah! c'est Vous, Siukoroski!* — czyli też może z utrudzenia, że zawsze muszą patrzeć, a nigdy na coś dobrego. Albo też mrugały jak człowiek, który postrzegłszy coś niespodziewanego nie dowierza oczom swoim. — Tak jest, gwiazdy moje, zawołałem w myśli, ja to jestem przy głównym sztabie Wielkiej Armii, ja, który zawsze stroniłem od sztabów, ugrzązłem w najnieznośniejszym. Przy każdym sztabie mniej więcej trzeba nadszkapkiwać, dworować, czapką i papką ujmować, a czasem, mospanie, i buty uszyć komu. Trzeba swoje zalety kłaść w każde ucho, jakie się nastręczy, duże czy małe, pod hełmem czy pod kornetem²⁰, a uszy podadzą pamięci, pamięć rozumowi i rozum uwierzy, bo powie: *Vox populi, vox Dei*²¹. Ja tego wszystkiego nigdy nie umiałem. Moje miejsce było w linii. Los mnie czasem naprzód wypchnął, a jeden Bóg tylko wie, do ilu cierpień duszy bywało nieraz powodem to, co gmin szczęściem nazywał, czego mi nieraz zazdrościł. Ile to goryczy nie wlało w serce moje. I tak wcześniej! I tak późno!

Zostaw, panie Szlachcicu, twoje czoło na domowym zapiecku, kup sobie wstępując w świat inne, miedziane, dobrze wytarte... Wierz mi, nieźle na tym wyjdiesz. Wiem, wielkie słowo, powtarzaj śmiało. Mądry ci uwierzy, bo u niego wiedza nic dziwnego. Głupi nie zaprzeczy, bo sam nic nie wie. A nim okoliczności obnażą cię z cudzych piórek, już wtenczas stać będziesz tak wysoko, że od twojej nagości oczy tylko odwracać będą. Jedni ze wstydu, że się na niej wcześniej nie poznali, drudzy, że z niej korzystać zechcą.

¹⁸ Poręczą przeciw czołowemu na wszelki wypadek natarciu.

¹⁹ Osobnika. ²⁰ Czepcem.

²¹ Głos ludu to głos Boga.

a reszta, że się lękać będzie Akteona²² losu. Możnemu na psich pyskach nigdy nie braknie.

Ale prawda przed wszystkim, moi Państwo, a prawda nieszkodząca nikomu. Nie wszystko ja co do słowa myślałem w czólnie, co teraz przy stoliku. Przebaczenie mi te anachronizmy²³. Trudno przepiłować się na dwoje i dwie ze siebie zrobić połowy, jedną jakim się było, a drugą jakim się jest. Nie ma jednak wątpliwości co do treści rzeczy, że sztabowej służby nienawidziłem, że jej wówczas zlorzeczyłem, i że mi kaducznie²⁴ zimno było.

Po kiegoż diabła wlałeś Pan do niej?... Ach, mój Mości Księżę Proboszczu! Nie zawsze tam się wlaży, gdzie się chce, ani też nie zawsze się nie wlaży tam, gdzie się nie chce.

Na wiosnę 1812 r. los wysunął mnie naprzód. Miałem lat ośmnaście. Zostałem kapitanem adiutantem majorem w 5 pułku strzelców konnych. Nie dość więc że awansowałem, nie dość że mnie zdolnym uznano pełnić obowiązki adiutanta pułkowego, co większej czynności i większej znajomości służby wymagało niż dowództwo kompanii, ale jeszcze do tego awansowałem z nowego do starego pułku. Tu trzeba małego objaśnienia. Muszę nawet dotknąć trochę, bardzo niewiele, i polityki, nie rezonując broń Boże, albo powtarzając co mądrzy ludzie napisali, aby oświecić przyczyny wówczasowego naszego położenia.

Kiedy stanęło zawieszenie broni w Wiedniu 1809 r., Napoleon nie był zdecydowany, co robić z zawojowaną przez wojska polskie pod dowództwem księcia Poniatowskiego częścią Galicji. Niewiele on dbał o nią, wołał był z Niemiec szarpnąć. Austria zaś wołałaby dać więcej z Galicji jak z Niemiec. Napoleon długo nie objawiał swojej woli ze względu na Rosję, która protestowała przeciw powiększeniu Księstwa Warszawskiego, widząc w nim zamaskowaną tylko do pewnego czasu Polskę.

²² Według wierzeń greckich myśliwy zamieniony przez boginię Artemidę w jelenia i rozszarpany przez własne psy.

²³ Błędy w oznaczeniu czasu wydarzeń.

²⁴ Okropnie.

Dlatego podczas wojny zawieszono Orły polskie, formowano Wojsko Polskie¹; po zawieszeniu broni zdejmowaliśmy w zwojowanym, czyli raczej odebranych przez nas kraju, Orły nasze a zawieszali francuskie.

Pozwólcie mi, moi Państwo, przerwać opowiadanie i wspomnieć małe, dość śmieszne zdarzenie, którego byłem świadkiem. Pułkownik Adam Potocki na czele całego swego sztabu i pierwszej kompanii 11 pułku (który wtenczas, jeżeli się nie mylę, miał numer 5²⁶) wyruszył, skąd — nie pamiętam — do Sokala, aby tam solennie zawiesić Orły francuskie. Zastaliśmy już przed urzędem owalną tarczę

¹ W nominacjach oficerów do nowo formujących się pułków unikano wyrazu Wojska Polskiego. Na dowód przytaczam moje nominacje:

- 1) Wojsko sprzymierzone (?). W kwaterze głównej w Trzeźni.
Dnia 8. Czerwca 1809.

Sztab Generalny Do Jmć Pana Aleksandra Fredro.

Uwiedamiam WmPana, iż J. O. Książę, naczelny dowódca Wojska Polskiego, mianował go Podporucznikiem w Pułku Jazdy pod dowództwem Pułkownika Adama Potockiego formującym się. Stosownie więc do tego mianowania udasz się WmPan natychmiast do powyższego pułku, gdzie zameldowawszy się Pułkownikowi onego, pełnić będziesz obowiązki do stopnia swego przywiązane.

Nominacya na ten stopień WmPanu późniet z Ministerium Woyennego wydana zostanie.

Generał Brygady, Szef Sztabu Generalnego, Fiszer.

- 2) Wydział Stanu Wojska. W Trzeźni Dnia 9 Czerwca 1809.

Jozef Xiążę Poniatowski, Minister Woyny,

Generał Dywizji, Naczelny Dowódca Woysk Polskich Xięstwa Warszawskiego, różnych Orderów i Wielkiego Krzyża Woyskowego Polskiego Kawaler.

Do Jmć Pana Aleksandra Fredro.

Uwiedamiam WmPana, iż przychylając się do uczynionego mi przedstawienia z zaletą Jego zdolności i gorliwości w Służbie, mianowałem Go

Podporucznikiem w pułku Dowództwa W. Adama Potockiego Pułkownika.

Stosując się więc do tego mianowania obeymiesz WmPan stopień rzeczony i pełnić będziesz obowiązki onego, oczekując wydania mu w czasie łatwiejszym zwyczajnego Listu służby.

Jozef Xiążę Poniatowski.

(Przypisek autora).

²⁶ Fredro się myli — pułk ten miał numer 4.

z wymalowanym na niej dziwotworem koloru żółtego, ceglatego. Te Orły francuskie były niemałym kłopotem dla parafialnych malarzy. W białym polskim Orle, aczkolwiek częstokroć objawiającym się na tarczy w postaci tucznej gęsi, nie można było jednak przy trochę dobrej woli nie odgadnąć orła. Ale co do francuskich rzecz miała się inaczej — tylko podpis mógł oświecić, co to za dziwotwór, niby kogut, niby sowa. Ale mniejsza z tym. Kazano wierzyć, że to orzeł, i nikt z nas pewnie nie śmiałby powątpiewać.

Trzeba było podług przyjętego zwyczaju zacząć od nabożeństwa. Wchodzimy więc do kościoła (zsiadłszy pierwej z koni, rozumie się) szeregi rozstępują się... w prawo, w lewo front!... I śliczny szpaler proporców rozciągnął się od drzwi aż do wielkiego ołtarza. Pułkownik poprawia sobie okulary i epolety, uszczęśliwiony tą pierwszą paradą swojego pułku. Po długim oczekiwaniu odezwał się nareszcie dzwon przy drzwiach zakrystii i ksiądz wyszedł ze mszą, ale mija wielki ołtarz i do bocznej udaje się kaplicy. Zdziwienie, oburzenie całego sztabu i całej zbrojnej siły, a nawet i cywilnej władzy, — ale z księdzem, i to jeszcze z księdzem w ornacie, trudna sprawa, — zagrzało więc znowu kościelne sklepienie donośną komendą. Manewrujemy i na koniec jakie takie stosowne zajęliśmy stanowisko.

Cóż za powód tego nieprzyzwoitego i zuchwałego wystąpienia proboszcza sokalskiego przeciw woli Napoleona Wielkiego i wojsku galicyjsko-francuskiemu? Oto ten, mały ale ważny: Proboszcz sokalski był kiedyś na probostwie w dobrach Adama Potockiego. Tam wskutek różnych zatargów i kłótni szwagier pana Adama, pan Jan Rostworowski obraził go fizycznie, i to nawet podobno w pewnej liczbie paragrafów. Stąd wynikły proces zmusił był Rostworowskiego kraj opuścić, ale przeto nie odjął księdzu pamięci otrzymanej zniewagi. Teraz zemścił się jak mógł, ale czy w takim usposobieniu duszy powinien był do ołtarza przystępować, to pytanie, na które nie ułanowi odpowiedzieć wypada. Koniec końców śmiał się długo pułk 11 z tego niespodziewanego spotkania. A teraz wracam do wojska galicyjsko-francuskiego w roku 1809.

Wojsko nowo formujące się wzięło kokardy trójkolorowe i nazwę wojska francusko-galicyjskiego, czyli (bo już nie pamiętam)

galicyjsko-francuskiego. Zostawało wprawdzie pod dowództwem księcia Józefa, ale nominacje na oficerów do nowych pułków, które podczas wojny zaczęto wydawać, wstrzymano. Największa część nowych oficerów nosiła epoletę tylko na mocy podania pułkowników. Byli więc i nie byli oficerami. Dopiero po zawarciu pokoju, nie domyślając się, ani będąc w stanie wierzyć, jak nas i nasze zasługi Wielki Napoleon mało cenił, zostaliśmy znowu wojskiem polskim, a część zajętej Galicji została dołączona do Księstwa Warszawskiego, wyjąwszy obwodu tarnopolskiego, który ofiarowano Rosji jako *douceur*²⁶, mało od niej ceniony i z widocznym niezadowoleniem przyjęty. Po złączeniu zaś finalnym²⁷ wojska polskiego pod jedno orły i jedno dowództwo armia dzieliła się *in petto*²⁸ na stare i nowe pułki. Stare, które się uformowały od 1807 do 1809 i odbyły dopiero ukończoną kampanią, nowe zaś, które powstawały już po owej krótkiej, świetnej kampanii 1809 r., więcej w Galicji do tryumfalnego marszu niż do wojny podobnej. Jeden zwyciężał dziesięciu. Kampanii przypominającej owe wyprawy z czasów Ludwika XIV, gdzie panowie w dworskich plumażach²⁹ pędzili pocztą na żniwo chlubnych wawrzynów. Ta różnica w armii, którą wkrótce zniszczyło kilka wystrzałów armat rosyjskich, była wówczas wielkiej wagi. Dęli i zadzierali nosa oficerowie starych pułków, z wyjątkiem legionistów, weterany dwuletnie. Lekceważyli i nie szczydzili ucinów równym sobie w randze, a nieznanym jeszcze zapachu prochu.

Żyłem z oficerami z czasów Kościuszkowskich. Zacząłem służyć 1809 r. Byłem świadkiem powstania 1830 r. i muszę wyznać, że w tych trzech epokach, z małą różnicą, formacje wojska tą samą szły drogą i tym samym podlegały błędom. Zamiast żeby istniejące już pułki rozdymały się i w sobie nowy żywioł umieszczały, o ile tego możność dozwalała, nowe pułki zawiązywały się oddzielnie, ledwie po kilku oficerów dawniejszych przyjmując w swoje szeregi. Nieledwie każdy powiat w pierwszym uniesieniu podejmował się

²⁶ Na mocy układu pokojowego z 1809 r. Napoleon oddał Rosji część Galicji Wschodniej pod nazwą Obwodu Tarnopolskiego. — *Douceur*, słodkie zadosyć uczynienie, lakocie.

²⁷ Ostatecznym. ²⁸ Potajemnie. ²⁹ Pióropuszach.

wystawić pułk a czasem i dwa — jak to w Żółkwi: jeden konny, drugi pieszy. Nie chciano wierzyć wielkości podobnego przedsięwzięcia, nikło też niczym nie zapewnione w samym zawiązku. Byli tacy, których znaczny majątek czynił deklaracją³⁰ z ich strony wystawienia pułku do prawdy podobnym. Ale dając im epolety pułkownikowskie nie żądano od nich złożenia, a przynajmniej zapewnienia potrzebnych funduszków. Dlatego niejeden z nas pytał się potem, dlaczego ten lub ów bez żadnej zasługi, często bez żadnej zdatności otrzymał od razu tak wysoką rangę. Pytał się i nie mógł innej wydobyć odpowiedzi: Bo miał bezczelność jej żądać. Stąd to mnożyły się owe fragmenta³¹ pułków, a każdy z kompletem³² oficerów, stąd mały przybytek na linii bojowej, stąd czas stracony na krawieckich manipulacjach³³, wydatek pieniędzy na niepotrzebne ozdoby i nareszcie brak jedności... Ale potem o tym... a zwłaszcza i szczególnie o roku 1809, o tym ostatnim połysku gasnącej narodowości w Galicji.

A teraz wracam do mego awansu. Zazdroszczono mi go, a jednak to mniemane szczęście stało się dla mnie źródłem niezliczonych przykrości, zahamowało mnie, a potem strąciło z murowanej, prostej drogi, którą sobie zamierzyłem i którą tak raźnie zrazu posunąłem się naprzód. W ówczesnej francuskiej organizacji wojska major (*Gros Major*) był niby drugim pułkownikiem, naczelnikiem administracji pułkowej, ale pułkownicy niechętnie dopuszczali tego podziału swojej władzy. Stąd wieczna wojna. Dążność do samowładztwa z jednej, opozycja z drugiej strony. Kiedy zakłady dwunastu pułków jazdy pod dowództwem majorów stały w Poznaniu, nazwano ten czas panowaniem Dwunastu Majorów. Teraz, kiedy powiem, że mój brat Maksymilian był majorem w pułku, w którym zostałem adiutantem majorem, a więc poniekąd i adiutantem pułkownika, łatwo można pojąć, że byłem palcem między drzwiami. Brat mój był najlepszym, najuprzejmiejszym towarzyszem, zawsze starającym się komuś pomóc, usłużyć, ale z pułkownikiem Kurnatowskim trudno było żyć w zgodzie. Człowiek godny, żołnierz dobry,

³⁰ Zapewnienie, zobowiązanie.

³¹ Części. ³² Z pełnym składem. ³³ Czynnościach.

ale despota z podwładnymi, a niechętny przełożonym. Ciężka praca zachwiała niedościgle jeszcze moje siły młodzieńcze. Przykrości, zmartwienia, sącząc się kropla po kropli, zaćmiły nareszcie ów świeży połysk duszy, w którym świat odbija się tak pięknie a tak nietrwale.

W każdym pułku jazdy było dwóch adiutantów majorów, jeden niby do pióra a drugi do korda³⁴; do tego dwóch albo czasem trzech adiutantów podoficerów. Ja byłem sam jeden. Zaraz na początku kampanii mój kolega, kapitan Mieroszewski, był wzięty w niewolę. Adiutanta podoficera miałem tylko jednego i to pół Niemca. Służba zaś adiutanta majora jest tak rozciąglą i tak rozmaitą, że trzeba się dziwić, jeżeli kto jej wydołał przez kilka miesięcy wojny. Adiutant major komenderuje całą służbą wewnętrznego porządku i zewnętrznego bezpieczeństwa obozu, stawia placówki, wyprawia patrole, dowodzi często flankierami³⁵, rozdziela furaz i żywność, a co najnieznośniejsze, pisze codzienny apel czyli stan pułku, raporta piętnastodniowe i miesięczne, na koniec wszelkie ekspedycje.

Prawdę mówiąc, niedoświadczenie podwajało mi każdą pracę, nade wszystko piśmienną. Całą noc przed dniem bitwy pod Możajskiem (którą Francuzi zowią *de la Moscova*, a Rosjanie pod Borodino) stanęliśmy w przedniej straży, cugle w rękę — równo za dniem wstąpiliśmy do boju — słońce zachodziło, kiedy cisnąc się krzakami uderzyliśmy na lewe skrzydło nieprzyjaciela — a ciemno już było, kiedy zwróciwszy na plac bitwy, zsiadliśmy z koni. Zaświeciły się ognie pomiędzy ciepłymi jeszcze trupami. Spoczął każdy, ja tylko przy świeczce trzymanej pod płaszczem kreśliłem moje raporta. Wtenczas ślubowałem na odległą przyszłość, że wystąpiwszy ze służby przybiję na drzwiach raport i od czasu do czasu strzelać będę do niego i że pióra nigdy w rękę nie wezmę. Nie dotrzymałem i Bóg widzi, żem na tym dobrze nie wyszedł.

Uszedłszy z niewoli przybyłem do Drezna. Nie chciałem wrócić do pułku, gdzie mnie czekało adiutantostwo, pomimo że zastałem krzyż wojskowy *Virtuti Militari* dany mi przez Komisję na wniosek

³⁴ Szabli. ³⁵ Żołnierzami skrzydlowymi, idącymi w rozsypce.

pułkownika i pomimo że mój brat już był awansował i wziął dowództwo 9 pułku lancjerów francuskich. Staralem się w innym jakim pułku umieścić, choćby jako nadliczbowy, ale Wojsko Polskie, znacznie zmniejszone, miało o wiele więcej oficerów niż potrzeba wymagała. Zgromadzono więc oficerów zbywających w jeden oddział pod komendą generała *** i generała Niesiołowskiego. Nie wiem dlaczego ten oddział ochrzczono nazwą *Garde d'honneur*³⁶. Staliśmy, mówiąc nawiasem, w miasteczku w okolicy Görlitz³⁷, którego mieszkańców nazywano *Gelbfüssler*, z powodu, jak niesie ludowe podanie, że niegdyś, dawnymi czasy, gmina owego miasteczka uradziła dać Cesarzowi podarunek. Dać, dobrze, ale co? Wielki kłopot! Rada w radę zgodzono się na beczkę jaj. Jak przyszło do pakowania, gorliwi cesarscy stronnicy chcąc się okazać szczodrymi, nogami tłoczyli jaja w beczkę, przy czym oczywiście poźłócili sobie nogi. Dlatego nazwano ich żółtonogami (*Gelbfüsslerami*). Nie mniej ciekawą jest tradycja z tychże okolic tycząca się wojska saskiego. W roku 1806, jednego dnia na jednym polu padło sześć tysięcy... nie Sasów, ale sześć tysięcy saskich harcapów³⁸ — niby zadatek przymierza z Francuzami. Był to dzień sądny, jak mówi tradycja.

Kampania 1813 i 1814 r. nie wyczerpała tego zasobu polskich oficerów. Znaczna ich liczba udała się potem do Sedan, tam pozostała do końca wojny i dopiero po abdykacji cesarza Napoleona złączyła się ze szczupłym czynnym polskim wojskiem w St. Denis.

Wcielony 14 sierpnia w Zittau do tej szczególnej gwardii, podróżującej po największej części wozami, bo oficerów piechoty było najwięcej, dostałem 20 rozkaz udania się do sztabu księcia de Neufchâtel, a 22 w Löwenberg wszedłem w czynną służbę *d'Officier Adjoint à l'Etat Major de la Grande Armée*³⁹. Francuz mówi: *Le mieux est souvent l'ennemi du bien*⁴⁰. Doświadczyłem tego, niestety. Unikając adiutantostwa pułkowego, wpadłem do

³⁶ Gwardia honorowa.

³⁷ Zgorzelec, główne miasto okręgu lignickiego na Śląsku.

³⁸ Warkoczy noszonych wówczas przez żołnierzy saskich.

³⁹ Oficer przydzielony do sztabu generalnego Wielkiej Armii.

⁴⁰ Lepsze jest często wrogiem dobrego.

Sztabu Głównego, jak z deszczu pod rynną. Otóż to, moi Państwo, przyczyny dla których po bitwie pod Montereau, zamiast dowództwa szwadronu, co byłbym osiągnął niezawodnie, leżałem jak długi w czółnie, lubo nigdy najmniejszej ani chęci, ani zdatności do marynarki nie miałem.

Płynęliśmy z nurtem Sekwany, którą zwaliśmy zwykle po francusku *Seine*, co w błąd wprowadzało niejednego z naszych wiarusów od Przemyśla, że to ten sam *San*, co niegdyś z Nielipkowic nosił polską pszenicę do polskiego Gdańska⁴¹. Służący pana K***, który źle służył, ale pisał dziennik podróży, przyjechawszy do Paryża wciągnął w swoją księgę: „Paryż duże miasto, środkiem płynie *San*“. Pan K*** przeczytawszy to, napisał na marginesie: „*Seine*, durniu, nie *San*“. Przepraszam za wyraz, ale historyczny — styl zaś zwiastował już grzeczność terażniejszych recenzentów. Płynęliśmy więc nie Sanem, ale Sekwaną. Przebiegłem myślą, co tylko można było za sobą i przed sobą. Nucilem (w myśli, rozumie się) ulubione wówczas piosnki, jako to krakowiak, który wtedy robił furorę⁴² w 11 pułku, i który pozwolę sobie powtórzyć:

Jeden mówił z drugim, a jam podслуchała:
 Żeniłbym się z kozą, gdyby posag miała.
 — A ja podслуchałem, żeś rzekła do swaty:
 Poszłabym za capa, byle był bogaty.

Równie jak ten drugi, zawistny miłostek i sławy żołnierskiej:

Płynie łódka, płynie, po głębokiej strudze,
 Ożenię się z tobą jak z wojny powrócę.
 — Nie będę ja czekać, bo kto z wojny wraca
 Nie zawždy wszystkiego w sobie się domaca.

Wszystkie te wspomnienia niewiele pomagały, zacząłem słabnąć widocznie w walce ze snem, co mnie oskrzydlał coraz, coraz ciśniej. Daremnie głowę podnosiłem, oczy otwierałem, głowa spadała, oczy

⁴¹ Nielipkowice, wieś na prawym brzegu Sanu przy drodze z Jarosławia do Sieniawy, niegdyś stacja dla splawu zboża do Gdańska. ⁴² Podziw.

się zamykały. Gwiazdy to mi gasły, to mi błyskały, a zawsze dalej, coraz dalej, coraz ciemniej. Wtem lekkie wstrząśnienie mojej nogi i przeciągnięte: Pst!... wraca mnie w świat, z którem się był już na pół wyśliznął. Podnoszę głowę. Mój przewodnik wyciągnął rękę na lewo, trochę przed siebie, ale milczał jak kamień. Pojął on, w ciemni niebity, że milczenie nam jak kamedułow do zbawienia było koniecznym. Nie mógł zapomnieć i o swoim brzuchu; ten niemało miejsca zajmował, aby mógł być zupełnie bezpieczny, w razie gdyby jaki szelest ściągnął strzały w naszą stronę. Prawda, że w nocy trudno trafić, ale diabeł nie śpi i chybnej kuli można w drogę wjechać. Spojrzałem w stronę wskazaną i postrzegłem w znacznym jeszcze oddaleniu ognie biwaków. Co chwila zmieniało się ich położenie względem nas. To nam się zdawało, że są na lewym, to że na prawym brzegu, to że prosto w sam ich środek płyniemy, to znowu, że nas nie powinny niepokoić, bo to jakiś obóz daleki od naszych brzegów... że nawet już niby za nami. Potem czas jakiś wszystko znikło — ciemno — aż nareszcie skręcając nagle ujrzelśmy rzekę niby słup przed sobą. Lewy brzeg oświetlony, a prawy czarny leżały przed nami, jak dzień i noc, jak życie i śmierć. Niektóre ognie nie były daleko od wody, bo ich odblask padał na rzekę jak poprzeczne szczeble, co się kurczyły albo przeciągały, w miarę jak się płomień wznosił albo opadał. Zbliżyliśmy się jeszcze więcej do prawego brzegu. Wiosła spoczęły. Prąd nas posuwał. Słyszałem oddech grubuła. Nie było wprawdzie podobieństwa, aby nas zasłyszano — tym więcej, że ognie jeszcze świeże, cienie przesuwające się poprzędnie, pluśnięcia wody, nareszcie i szmer dochodzący na nasze spotkanie, wszystko kazało wnosić, że obóz był w pierwszych chwilach roztasowania, a wtenczas każdy jak w młynie własnego głosu nie słyszy. Zbliżyliśmy się — zrównali — w obozie coraz głośniejszym — w czołnie coraz ciszej. Że zaś obóz stał, a my płynęli, musieliśmy najnaturalniejszym sposobem minąć go na koniec. Niknęły za nami powoli światełka, jak owe iskry ze spalonego papieru, na które mówiono mi w dzieciństwie, że to zakonnice spać idą. Kręcą się... biegną... jedna po drugiej gasną... wszystkie zgasły... śpią wszystkie. Ileż to drogich iskerek już nam nie zgasło!... sercu tylko świecą, świecić nie przestaną.

Noc znowu czarna zaległa świat nad nami i przed nami. Cośmy widzieli, snem się zdało. Mój urzędnik pytła⁴³ zaczął głośniejsz sapać, przemówił nawet parę razy, ale jeszcze szepcząc, zapewne przez uszanowanie dla niedawnej przeszłości. Podobny w tym do dworaka, co za zamkniętymi już drzwiami jeszcze się kłania, albo co uśmiech fałszywy aż do domu przynosi. — Jesteś Waćpan pewny, zapytałem go stawiając nogę na lądzie, żeśmy Moret nie minęli? — *Ah, par exemple!*⁴⁴ odrzekł. — No, kiedy *par exemple*, idźmy dalej. Szliśmy obydwaj, on naprzód a ja za nim, nie bardzo spieszenie, bo ślisko i ciemno. Nareszcie światło z okna i chrapliwe: *Qui vive!* uderzyło nas razem w oczy i uszy.

Dla oficera sztabowego, pędzonego ciągle jakby złym duchem po drogach, ścieżkach, manowcach dniem i nocą, zapytanie: *Qui vive!* jest zanadto wielkiej wagi, aby mógł nie znać wszystkich tegoż odcieni. Pędząc z nocnym wichrem jak *Der wilde Jäger*⁴⁵ częstokroć przez niewychłódlę jeszcze pola bitwy, woła: *Qui vive!* do konia, co się o trzech nogach dowlókl do drogi, — woła do drzewa, co się opodał czerni, — woła czasem do niczego. Ciekawość nieustanna, ale do przebaczenia — i lis po kniei goniony pytałby się: *Qui vive!* niezawodnie, gdyby mógł przemówić. Jeżeli nawet wjedzie (oficer rozumie się) na nieprzyjacielską placówkę, jego *Qui vive!* staje mu się chwilową tarczą. Alarmuje nim drugich, kiedy sam tymczasem cofa się podług metody zwanej: W nogi! Dlatego *Qui vive* zawsze ma na języku, dlatego i sposób, w jakim je usłyszy, odkrywa mu wyraźnie, z kim ma do czynienia. I tak: *Qui vive!* głośnie, przeciągle, jakby echa wyzywające, oznacza dobrego żołnierza, — zdaje się mówić: „Stój, bo ci w łeb strzelę“. Wrzaskliwe ale prędko, krótko wyrzucone zdradza rekruta — mówi: „Odpowiadaj czym prędczej, bo mnie tu samemu długo stać nie miło... albo też: Uciekaj! bo ja ucieknę!“ Chrapliwe nareszcie a grubym głosem wyrzeczone, znamionuje indywiduum, które niespodziewanymi okolicznościami zostało pchnięte w zawód rycerski, podobne jest do śpiewu dziecka, kiedy musi przez ciemny pokój przechodzić. Na *Qui vive!* pierwszej

⁴³ W przenośni — młynarz. ⁴⁴ Ah, na przykład.

⁴⁵ Dziki strzelec, postać z baśni ludowej.

kategoriim odpowiesz, możesz zażyć tabaki. Na drugiej zaś i trzeciej odpowiadaj jak najspieszniej, bo gdzie dusza na ramieniu, tam palec na cynglu. Krzyknąłem też: *France!* aż się wzdrygnął, aż się straż cofnęła.

Otwieram drzwi, wchodzę do małej, słabo oświetlonej izdebki i obraz nieraz dawniej na płótnie widziany, przedstawiający jaką scenę z rewolucji francuskiej, stanął mi żywy przed oczy. Kilkunastu chłopów w bluzach, sabotach⁴⁶, ładownice przez plecy, karabiny w rękach, składało malownicze grupy. Gdzie niegdzie i kapelusze stosowany odznaczał się powagą wieku i ogromną trójkolorową kokardą. Nie dostawało tam tylko wyrazu w uśmiechach: *Citoyen*⁴⁷ i napisu na drzwiach: *Ici on se tutoye. — Fermez, s'il Vous plait*⁴⁸. Pikieta czerwieniła się w szklankach i na nosach, a język jak w pantoflach skłonniejszym zdawał się wymówić: *Vive la République!*⁴⁹ jak: *Vive l'Empereur!*⁵⁰ Omyłka wszakże, którą w onym czasie można było drogo przepłacić. Może i nieszczęsny Gonaut omylił się krzycząc w Troyes: *Vive le Roi!*⁵¹, a jednak rozstrzelano go na pięknie. To było za ostro, wyznać trzeba, bo jużćić każdemu wolno życzyć zdrowia komu się podoba, kichnie czy nie kichnie. Jeżeli za słowo zabijać będziemy, jakaż kara za czyn pozostanie. Ten co zabił i ten co o tym wiedział nie są przecie równo karani... dlaczegoż?... Ja tego zrozumieć nie mogę... bo to podobno polityka.

Po krótkiej rozmowie ze siłą zbrojną pożegnałem mego przewodnika i eskortowany przez kilku podpitych obywateli przeszedłem wkrótce warownię i obudziłem generała komenderującego w Moret. Jeszcze komunikacja między Moret a Fontainebleau nie była pewną, dlatego generał uznał potrzebę dać mi pół kompanii piechoty, a na moje zapewnienie, że nigdy w piechocie nie służyłem i że pieszo podróżować ani umiem, ani chcę, konia spod żandarma. Cofnąłem się dwa kroki w tył i zobaczywszy przed frontem mego oddziału dromadera⁵² raczej niż konia przeznaczonego dla mnie,

⁴⁶ Drewnianych trzewikach, używanych przez wieśniaków francuskich.

⁴⁷ Obywatel. ⁴⁸ Tu mówi się po imieniu. — Proszę zamknąć.

⁴⁹ Niech żyje Republika! ⁵⁰ Niech żyje cesarz! ⁵¹ Niech żyje król!

⁵² Wielbłąda.

którego żandarm, na drugim podobnym siedzący, płaszczem granatowym wyżej nosa obwinięty, trzymał na cugle. — *Quelle diable de rosse me donniez-vous là?*⁵³ zawołałem rozgniewany. — *C'est ce qu'il y a de mieux, mon Officier*⁵⁴, odpowiedział żandarm. Stałem nie wiedząc co począć. Ale prędko trzeba działać, gdzie nie ma czasu do namysłu. Westchnąwszy zatem głęboko i wypuściwszy parę słów, które tylko życie obozowe uniewinnić może, rzuciłem się na kulbakę. Obadwa niekontenci z naszego wzajemnego stosunku, nie spieszyliśmy się rozpocząć ruchu nic nam dobrego nie wróżącego i kiedy oficer dowodzący oddziałem piechoty spytał mi się, czy można ruszać, kiwnąłem tylko głową z wysokości mojej jak komandor⁵⁵, kiedy przyjmuje zaproszenie Don Juana⁵⁶. Mój towarzysz podrzędny przyjął pierwszą odezwę mojej ostrogi z wszelką obojętnością. Ale ledwie kilka kroków uszedł, już pot na mnie uderzył. Zdrajca! podkowy miał scheltane, albo może od urodzenia bez ocelów...

Dziwna rzecz, że tak wiele myślą o sposobach niszczenia sił nieprzyjacielskich, a tak mało o zachowaniu swoich własnych; nie mówię w boju, ale w wojnie i szczególnie co do kawalerii. Dla pułkownika jazdy wszystko jedno: stracić człowieka czy konia — strata tak jednego jak drugiego uszczupla szereg. Człowiek z koniem, niby centaur⁵⁷, jest dopiero jednostką w kawalerii. Konie moim zdaniem nie dosyć doznają starania i opieki. Więcej koni ginie w czasie wojny z powodu okulbaczenia i okucia niż od kuli. Jak są rezerwy i lazarety dla ludzi, tak powinny być i dla koni. Koń uszkodzony jakim bądź sposobem z powodu okucia, mógłby ozdrowieć w kilku, a osedniony⁵⁸ w kilkunastu dniach. Zaniedbany zaś, nie usunięty z pracy musi wkrótce stać się nieużytecznym i później marnie zginąć. Po kilku miesiącach kampanii zgroza zajrzeć pod kulbaki. Smród

⁵³ Jaką do diabła daliście mi szkapę?

⁵⁴ To co mieliśmy najlepszego, panie oficerze. ⁵⁵ Pułkownik.

⁵⁶ W operze Mozarta *Don Juan* posąg kamienny na cmentarzu; zaproszony na biesiadę — skinął głową na znak zgody.

⁵⁷ Bajeczny potwór — pół człowieka i pół konia.

⁵⁸ Ze startą skórą.

z jątrzących się pod nieustającym naciskiem ran ciągnie się wzdłuż maszerującej kolumny. Trzeba się tylko dziwić, jak zwierzę może znosić, i to czas długi, takie męczarnie. Ale wszystko ma swoje granice — koń cierpi, chudnie, słabnie i koniec końców ginie. Dostarczają amunicji, dlaczegoż nie dostarczają od czasu do czasu derek i kulbak na miejsce zużytych i popsutych. Trafia się niedbały żołnierz i nie wie, że terlica⁵⁹ pękła, a przeto konia naciska. Terlice powinny być ze stosownego i suchego materiału, równie jak i umiejętności zrobione. Przy nowych formacjach, gdzie dawnych terlic magazyny dostarczyć nie mogą, lepsze są siodła. Oficerowie mało zwracają uwagi na okulbaczenie. W wojsku polskim w 1812 r. było niedobre.

Niemniej ważną jest rzeczą okucie. Im więcej koń strudzony, tym lepszego wymaga okucia. Im słabszy, tym łatwiej się ślizga, tym ciężiej upada. Widziałem konie grenadierów konnych Gwardii Cesarskiej karmione lepiej i więcej szanowane niż konie jazdy liniowej, które padłszy jakby piorunem uderzone już więcej nie wstały. Podkowsy z hufnalami⁶⁰ powinny być mieć swój osobny wóz, zawsze być pod ręką. Prócz tego każdy żołnierz jedną podkowę w torbie trzeba aby zawsze miał. Każdy powinien umieć przymocować podkowę. W czasie pokoju byłoby bardzo łatwo pomnożyć liczbę, nie mówię dobrych kowali, ale umiejących w potrzebie róg wybrać i podkowę przybić. Doświadczaliśmy, jaki był zawsze ścisk przed miejscowymi równie jak i wojskowymi kuźniami. Złotem trzeba było czasem opłacić podkowę, która naprędce sklejona, naprędce przybita, długo trwać nie mogła, a zwłaszcza wtenczas, kiedy była najpotrzebniejszą, bo na kamienistej albo grudzistej drodze. Parę dni przed bitwą pod Hanau jestem posłany do generała Bertrand. Dojeżdżam do ariergardy, do ostatnich jej tyralierów, nikt o nim nic nie wie. Znaleźć go nie mogę. Nareszcie po całodziennej gonitwie za łada białym dymem wracam na kulawej klaczy — podkowę zgubiła. Nie dość, okuć nie mogę aż w Frankfurcie. Róg obłamany kowal zagwałdza. W kilka tygodni później, wychodząc z Moguncji, musiałem tę klacz, ową szpakowatą chimeryczkę⁶¹, ale

⁵⁹ Kulbaka. ⁶⁰ Gwoździami.

⁶¹ Dziwaczkę, kapryśnicę.

zresztą bardzo dobrą, zostawić w opiece oficera Polaka będącego przy sztabie marszałka Kellermana. Tyle też widziałem moją klacz i mego kolegę.

Wszystkie te uwagi na moim żandarmskim dromadzerze nie wiele mi pomagały. Jak na łyżwach wsuwałem się coraz głębiej w rozciągly bór między Moret a Fontainebleau. Wiatr grał po żebrach a zęby dzwoniły. Ani pomyślałem, gdzie byłem. Szum drzew nie przynosił fantazji mojej ani lubieżnych westchnień dworzanek królów francuskich, ani odgłosu myśliwskiego rogu, ani radosnego halali ⁶², którymi niegdyś żyły te sławne lasy, miejsca ulubione królewskich łowów. Kłąłem tylko i nie ma się czemu dziwić. Wojna czyni prozaicznym. Przeszłość jest to pole, po którym żołnierz nie lubi harcować, i przyszłość — prawdę mówiąc, niechętnie zmierza: kortyna ⁶³ za blisko — jutro nie jego — trzeba się czasem i z diabłem podzielić. Czas więc obecny żywiłem żołnierzem, jak ryba, co się w ziemię nie spuszcza, ani wznosi w powietrze, ale płąsa po wodzie, w nim on się zwija i w nim żyje. Co mam, trzymam, czego nie mam, biorę — co było, to było — co będzie, to będzie... A ty ruszaj, szkapo, bo mi zimno kaducznie, bo już noc na schyłku, bo już widzę i cel mojej podróży.

Generał komenderujący już nie spał — może wyszedł ze szkoły mojego niegdyś pułkownika Kurnatowskiego, który mi mawiał: „Ech! adiutant-major nigdy spać nie powinien“. Przyjął mnie uprzejmie, poczęstował winem i prędko wyprawił. Potem obudziłem burmistrza. Zerwał się od żony szczękiem pałasza przestraszony, a mnie niegodne uczucie głasnęło po sercu, że mogłem kogo z wygodnego wyciągnąć łóżka. Wyszedł do kancelarii, otworzył ekspedycję, którą mu wręczyłem, włożył okulary i cicho, a potem głośno przeczytał: *L'ennemi a été culbuté... douze canons... cinq mille prisonniers...* ⁶⁴ etc. etc...

O, czcigodny burmistrzu! Jak pięknym byłeś w tej chwili! Pa-

⁶² Sygnał myśliwski na trąbce.

⁶³ Kurtyna — zasłona, przy umocnieniach wojennych linia łącząca dwa forty, uzbrojona.

⁶⁴ Wróg rozbity... dwanaście armat... pięć tysięcy jeńców.

miętam twój nos, pamiętam kwiaty twego szlafroka. Widzę cię, kiedy sparty jedną ręką na urzędowym stole, spuściłeś drugą z listem aż do kolana i wzniosłszy oczy ponad okulary zapłakałeś z radości. Aktuariusz⁶⁵ także zaczął mrugać, a czy tam czego nie wyciśnie, a ja, rozparty w wolterowskim krześle⁶⁶, twardo zasnąłem.

⁶⁵ Urzędnik kancelarii. ⁶⁶ Bujającym krześle.

Już to zapewne domyśliliście się, łaskawi moi słuchacze, z niejednego miejsca mego opowiadania, że spać lubiłem. Tak jest, nie zaprzeczam, lubiłem. Głód i pragnienie były dla mnie mniej przykre jak bezsenność. Proszę jednak nie wnosić z tego, że byłem ospałym, — wcale nie. Ja byłem w tym względzie podobny do pijaka, co lubi pić dużo, ale się nie zapija. Dwa razy tylko przekroczyłem granicę i ciężko skarany zostałem. Pierwszy raz kiedy straciłem mój płaszcz biały, o którym już wspomniałem i którego utrata ściągnęła na mnie najdotkliwsze cierpienia, cierpienia zimna. Drugi raz (który właściwie powinienem nazwać pierwszym, bo ma chronologiczne pierwszeństwo), kiedy w samych początkach mojej służby wojskowejjechałem kurierem z Krystynopola do głównej kwatery księcia Poniatowskiego.

O płaszczu muszę zacząć z samego początku, podobnie jak się zaczyna śpiew o Krzywoustym: „Jeszcze Bolesław był małym dziećciem“¹. Ale nie Bolesław, ani też płaszcz, ale ja byłem jeszcze dziećciem, kiedy do mojej ciotki Ruckiej², mieszkającej w Mały, przyjechał pan Bogusz, gwardzista galicyjski, będący na urlopie w sąsiedztwie. Przyjechał konno w stosowanym kapeluszu z kitką i w kolistym płaszczu. Od tego czasu kapelusz z kitką i płaszcz kolisty uczepliły się mojej głowie i stały się celem gorących życzeń. Po wszystkich kopertach i na każdym świstku rysowałem siebie jako wojskowego — ale czy to atakującego, czy tryumfującego, zawsze z kitką, zawsze w płaszczu. Z dzieciństwa więc uniosłem miłość do

¹ Początkowy wiersz w śpiewie historycznym Niemcewicza o Bolesławie Krzywoustym.

² W tym miejscu Fredro dodał w brulionie następujące objaśnienie: „Amelia z Dembińskich, siostra rodzona mojej matki, córka Jana Nepomucena Dembińskiego, cześnika krakowskiego“.

kolistego płaszcza i zachowałem ją po części i w późniejszym wieku. Zbliżyłem się wprawdzie do ideału mego wstępując do 5 pułku strzelców konnych, ale przecie nie osiągnąłem. Przyniosłem ze sobą z pułku ułanów płaszcz granatowy z długim kołnierzem, który przemienić na biały kolisty — stan finansów nie dozwolił. Dopiero wróciwszy z niewoli sprawiłem sobie we Lwowie płaszcz biały, kolisty, z zielonym stojącym kołnierzem i pomarańczową podszewką z przodu. Został on dla mnie zupełnie niestosownym, kiedy przeszedłem do sztabu, ale nie miałem serca rozstać się z nim, tak był ciepłym, tak wygodnym. A teraz katastrofa. W odwoicie wojsk francuskich po bitwie pod Lipskiem przybywam do Gotha. Jestem na służbie, zdejmuję płaszcz, składam w salonie służbowym i idę zobaczyć, co się dzieje z moimi końmi, gdzie umieszczone i czy mają wygodę. Wracając spotykam kapitana Jankowskiego ze szwadronu służbowego *chevaux-legerów* gwardii, komenderowanego przez mego brata Seweryna.

Jankowski był wówczas (lubo to nic nie ma do rzeczy, ale o Jankowskim przemilczeć nie mogę) jednym z najdzielniejszych subalternów pułku. Przy końcu ostatniej kampanii 1814 r. został szefem szwadronu razem z Zielonką w uformowanym polskim pułku pod nazwiskiem *Eclaireurs de la Vieille Garde*³. Po abdykacji cesarza Napoleona i kiedy szczątki wojska polskiego pod opieką cesarza Aleksandra odeszły z Francji, Jankowski pozostał w Paryżu, aby wszystkich Polaków rozrzuconych po pułkach i lazaretach francuskich zebrać i do kraju odprowadzić. Powrót Napoleona z Elby przerwał to zlecenie i jak nie miał przerwać, kiedy i Kongres Wiedeński placu nie dotrzymał. Polacy ubóstwiali Napoleona. Żaden nie pomyślał nawet, aby można nie wstąpić w nowo zbierające się hufce pod odrodzonym cesarskim orłem, orłem, do którego zawsze mieli tyle pociągu, ile wstrętu do obcej opieki. Jankowski jeden wymawiał się słowem danym cesarzowi Aleksandrowi i sam żądał paszportu do Polski. Nie odmówił mu go Napoleon, ale mniemał, że może zaufać oficerowi swojej gwardii i Polakowi — powierzył mu więc list do Marii Ludwiki⁴. Jankowski przyjął list i oddał...

³ Wywiadowcy Starej Gwardii.

⁴ Druga żona Napoleona, córka cesarza austriackiego Franciszka.

cesarzowi Aleksandrowi. Czy to prawda, ręczyć nie mogę, ale takie było wówczas ogólne mniemanie. Założył sobie tym czynem silny szczebel do przyszłych awansów. Dostał wkrótce pułk jazdy, ale stracił w szacunku współkolegów. Wojna powstania narodowego 1831 r. zastała go generałem brygady. Osłabiony jego stan zdrowia, a może niezdolność do znacznieszego dowództwa, spowodowały błędy, które zniweczyły wyprawę przeciw Rüdigerowi, a które, niesłusznie za zdradę poczytane, stały się przyczyną okropnej jego śmierci z rąk rozuzdanego motłochu 15 sierpnia w Warszawie⁶.

Nim więc Napoleon abdykował⁶, nim monarchowie derneli z Kongresu⁷, nim Jankowski umęczony skonał, spotkałem go w Gotha na ulicy i taka rozmowa wszczęła się między nami: „Jak się masz?“ — „Jak się masz“. — Dziwne też to polskie powitanie, złożone z dwóch pytań a żadnej odpowiedzi. Jest ono podobne do rozmowy na królewskich pokojach. Najjaśniejszy Pan robi parękroć sto tysięcy zapytań nie dbając i o jedną odpowiedź. A jednak lud polski tak piękne ma wyrażenie przy powitaniu: „Daj Wam Boże dobry dzień“; albo: „Bóg z Wami“. I czyż może być piękniejsze, czyliż nie zawiera w sobie wszystkiego, czego życzyć można. Ale my wolimy formę bez duszy, poczwarkę z motyla, albo cudzoziemskie *bonjour*⁸. Po przywitaniu się z Jankowskim mówiliśmy dalej. — „Gdzie idziesz?“ zapytał. — „Na służbę“, odrzekłem, „a ty?“ — „Ja do obozu, ale twój brat, mówił, lepszej niż my użyje wygody — rozciągnął się jak połoźnica pod zieloną kotarą na szerokim łożu“. Westchnąłem głęboko na ten obraz, a on, jakby zły duch kusiciel wstąpił w niego, wskazał mi bliski dom i dodał: „Jest tam i drugie łóżko, jakby dla ciebie“. — „Pójdę przynajmniej popatrzeć się“, rzekłem. — „Bądź zdrow“. — W istocie poszedłem, pomacałem posłanie, tak jak głodny kiedy pieczeń wacha, i nie mogąc oprzeć się pokusie biegnę czym prędzej do salonu, melduję adiutantowi komenderującemu, że mi koń uciekł, że go szukać muszę, i idę, lecz nie szukać, bo znalazłem, i nie konia, ale łóżko takie, jakiego od kilku

⁶ Jankowski poniósł klęskę w starciu z Rüdigerem pod Łysobykami 19 VI 1831 r., zabity w czasie rozruchów ulicznych 15 VIII 1831 r.

⁷ Zrzekł się tronu. ⁸ Uciekli, czmychnęli z Kongresu w Wiedniu w 1815 r.

⁸ Dzień dobry.

tygodni nawet widzieć mi się nie zdarzyło. Zanurzyłem się wkrótce w puchu, nos mi tylko spłynął. Śpij zdrow, panie kapitanie, a my tymczasem powiemy, jaką była pod ten czas ogólna postać rzeczy.

*

Zgon księcia Poniatowskiego pod Lipskiem osierocił wojsko polskie w całym znaczeniu tego słowa. Zarzucają Polakom, że są niesforni, że trudno nimi rządzić. Mnie się zdaje, że bardzo łatwo, byle rządzić z konia i z szablą w rękę. Więcej natchnienia niż rozważgi zwykliśmy słuchać. Zgromadzamy w jedną osobę wszystkie nasze wymagania, całe nadzieje nasze, w niej zamykamy całą sprawę, czynimy ją poniekąd fatum⁹ naszym. Nim był Kościuszko, Poniatowski i charakteru tylko Chłopicickiemu a talentu Skrzyneckiemu niedostawało, aby się utrzymać na szczycie, na które ich barkami narodu parło przeznaczenie. Dlatego to każdy upadek podobnej gwiazdy roztapia do razu łączący nas cement, ogół rozkłada się w części, rozumowania wyradzają się w zatargi i trwają, póki jaka nowa iskra nowego entuzjazmu nie zapali i na nowo nie zacznie lutować. Nie mamy w sobie wielkiej wzajemnie przyciągającej się siły, — przeciwnie, antyłączone usposobienie jest główną naszą wadą. Każdy chce robić swoją głowę, pracuje często w krwawym pocie czoła, ale póki sam. Zaledwie jaka zawiąże się asocjacja¹⁰, już więdnie w zawiązku. Jeden spuszcza się na drugiego, a co więcej, jego zapal stygnie w miarę wzmagającej się gorliwości drugiego. Dlatego gwałtowny tylko wir może łączyć rozstrzelone siły. Ale natenczas neutralizuje się indywidualna działalność¹¹, energia. Duch władzy ubóstwionej porywa nas, ale nas nie przenika wskrós, stoi poniekąd zawsze osobno. Raz w prądzie, niech nas prąd niesie, my ręce zakładamy. Nie przegrana pod Maciejowicami, ale wzięcie Kościuszki, pomimo że on nie miał znakomitych zdolności wodza, zadało śmiertelny cios ówczesnej sprawie. Książę Józef byłby na koniec świata szedł za Napoleonem a wojsko polskie za nim, Zginął, a z nim i duch jego. Każdy wrócił do siebie samego

⁹ Losem, przeznaczeniem. ¹⁰ Stowarzyszenie.

¹¹ Obezwładnia się osobista działalność.

i nie mógł się zrozumieć. W ostatniej walce niepodległości narodowej zamknęliśmy cały byt Ojczyzny w Warszawie. Warszawa upadła, a wojsko niezwyciężone rozchodzić się zaczęło. Bo nie z własnego przekonania przedziemy istotę rzeczy, ducha sprawy, ale przyjmujemy go za pomocą chwilowego uniesienia, za pomocą jednej indywidualności albo przedmiotu, którym to uniesienie zaufać kazało.

Książę Antoni Sułkowski objął tymczasowo dowództwo wojska polskiego. Nie posiadał on ani ufności, ani przywiązania podkomendnych. Nie miał przymiotów ani na wodza, ani na Naczelnika Narodu. Te dwie władze zlewały się już bowiem po trosze w jedną. Na ostrzu szabli unosili już wtenczas Polacy po raz drugi byt swojej Ojczyzny. W roku 1806 został Sułkowski pułkownikiem 9 pułku piechoty, czyli raczej dozwolono mu go formować, bo się nazywał Sułkowski, tak jak adiutant Napoleona poległy w Egipcie. Pod Ocana w Hiszpanii¹², kiedy przełamane linie francuskie ustępowały w nieładzie, młody Sułkowski chwycił sztandar 4 pułku polskiej piechoty, zawołał: „Kto Polak — za mną!“ I tak dzielnie natarł na czele zgromadzonego oddziału, że odzyskał stracone stanowisko i w bitwie tego dnia wyjednał zwycięstwo. Opromieniony sławą tego świetnego czynu, dostał w 1812 r. dowództwo brygady jazdy, złożonej z 5 pułku strzelców konnych Kurnatowskiego i 13. huzarów Tolińskiego. Ta brygada z drugą pod komendą generała Tyżkiewicza, złożoną z 4. strzelców konnych Dulfusa i 12. ułanów Rzyszczewskiego, składały dywizję jazdy 5 korpusu. Komenderował nią z początku generał Kamiński, później generał Sebastiani, a na koniec generał Lefèbvre-Desnouettes.

Sułkowski, jakkolwiek uprzejmy, pelen honoru, odznaczającej się odwagi, nie umiał pozyskać ufności podwładnych jako dowódca brygady. Oficer piechoty — zapominał często, że jazdą dowodzi. Nieraz płaciliśmy krwawo infanteryjskie¹³ jego obroty. Kiedy zaś, już generałem dywizji, otrzymał tymczasowo dowództwo szczątków ósmego korpusu z ubliżeniem starszeństwa wielu generałów, nie pojął, jak świetną drogę szczęście mu otwierało. Cement w szeregach topił się coraz to bardziej. Wojsko sejmikować zaczęło... Gdzie

¹² W bitwie 19 listopada 1809 r. ¹³ Stosowane w piechocie.

idziemy? Po co? Król saski jest naszym księciem, któż nas upoważnił iść z Francuzami, z Francuzami, którzy, wtenczas jeszcze kiedy mogli, okazali się tak skąpymi nawet w udzielaniu nadziei Polsce?... Czy znowu będziemy formować legiony, aby potem od ręki do ręki jak najemnicy przechodzić? Czy znowu w St. Domingo szukać będziemy Ojczyzny naszej?¹⁴ Zawsze opuszczani przez Francuzów, zawsze jednak ciśniemy się do nich. Księstwo nasze istnieć przestanie samo przez się, jeżeli jego wojsko pod obcym niebem, za obcą sprawę, wyginie do szczętu. Takie były zdania, rezonowania, a wielu, nie czekając na co się ogół zgodzi, zostało po drodze... dali się brać w niewolę.

Najboleśniejszym razem dla dobrze myślących, a najgorszym przykładem dla chwiejących się było rozejście się (by właściwiej nie powiedzieć) batalionu piechoty, który w Dreźnie z wojska polskiego wybrany — został wcielony do Starej Gwardii. Komenderował nim pułkownik Kurcysz, i jeden z pierwszych z adiutantem batalionu Łęckim czy Łackim dostali się w niewolę. W 1811 r. Kurcysz był szefem batalionu 3 pułku piechoty Żółtowskiego a Łacki ze złamanym nosem adiutantem Stasia Potockiego. Sułkowski, chcąc jak się zdaje powściągnąć cząstkowe uszczuplanie się szeregów, zachęcał jeszcze do wytrwałości przyrzekając, że za Ren nie przejdzie, i w samej rzeczy podał dymisję i został w Gotha. Co Sułkowski chciał osiągnąć tym swoim czynem, trudno zgadnąć, ale można z pewnością powiedzieć, że jeżeli zblądził, to pewnie nie z osobistego interesu. Mówiono nam, że miał pierwaj długą rozmowę z Cesarzem i że Cesarz zniecierpliwiony niewczesnymi uwagami pożegnał go słowami, za które i ukłon był zbytciem grzeczności. Po rozmowie ze Sułkowskim Napoleon zgromadził oficerów korpusu polskiego i następującej mniej więcej treści miał do nich przemowę:

„Nie idzie mi o waszą pomoc. Kilka tysięcy Polaków nie przeżyły szali losów. Nie myślćcie, że sprawa Francji stracona. Fortuna jest to frajerka...¹⁵ dziś temu, jutro tamtemu użycza swoich pieaszcot.

¹⁴ Fredro przypomina tu tragiczny los resztek Legionów polskich, wysłanych przez Napoleona na wyspę St. Domingo w 1803 r.

¹⁵ Powodzenie, los jest to ladacznica.

Czy mnie widzicie zmienionego? Czy nie jestem mężczyzną? Jeżeli mnie odstąpicie, rozwiążecie przez to od razu sprawę Polski i może na zawsze. Jeżeli zaś zostaniecie wierni orłom francuskim, natenczas przy zawieraniu pokoju obecność wasza zmuszać będzie, aby was nie zapomniano¹⁶.

Jakkolwiek dla wojska polskiego rzadkim była zjawieniem przemowa ubóstwianego bohatera, trzeba przyznać, że tym razem przyjętą została dość ozięble. Może dlatego, że Napoleon używał wyrazów wylęgłych w najbrudniejszej kordegardzie¹⁷. Zdawało się, jak gdyby chciał zniżyć do najgłębszego poziomu, aby być zrozumianym. Dlatego nie zostaliśmy ani zaszczyceni, ani rozweseleni i niebardzo przekonani, ale po największej części upokorzeni. Cesarz nie mówił do wojska, ale do narodu, o tym zapomniał. Nie porywcze więc zapewnienie Sułkowskiego, które wszakże za poświęcenie się policzyć mu trzeba, ani też Napoleona arcyrubaszna mowa, ale li instynkt honoru wkorzeniony w serce polskie nie dozwalał opuszczać sprzymierzeńców w złej dobie i utrzymał pod sztandarem szczątki naszego wojska.

Księżę Józef Poniatowski nie miał wprawdzie znamienitych zdolności jako wódz, — wiedzieliśmy o tym, a jednak pociągał ku sobie silnie serce żołnierza. Może w części i dlatego, że to, co Polaka zawsze zachwyca: odwaga, postawa, ruch, sposób wyrażania się, były czysto narodowe, przeciągnięte wszakże polyskiem zachodniego rycerstwa. Na dzielnym koniu, dzielny jeździec, nieugiętego męstwa, świetnego honoru, pięknej postaci, wąs czarny, czapka na bakier, był ideałem polskiego wodza. Gdyby był nad brzegiem piekła krzyknął: „Za mną, dzieci!“ — w piekło skoczonoby za nim. W innych zaś chwilach życia urzeczywistniał wyobrażenie wyniosłych, czystych i pięknych cnót rycerstwa. Kwileckiemu, który paszkwil¹⁸ napisał na całe towarzystwo warszawskie, rzekł: „Masz szczęście, żeś mnie w nim umieścił, bo bym tej niegodnej czynności pewnie nie

¹⁶ Przemowa Napoleona do Polaków była wygłoszona pod Hanau 27 października 1813 r.; dokładną jej treść podaje Gembarzewski w dziele *Wojsko Ks. Warszawskiego* (Warszawa 1912), 26.

¹⁷ Odwachu. ¹⁸ Pismo zjadliw., cszczercze.

przebaczył“. Wejrzenie jego było nad wszelkie pojęcie ujmującym, głos przyjemny, uśmiech pełen duszy, pełen wymowy, ten, kogo nim obdarzył, zdawał się słyszeć słowa pociechy i zachęty: „Znam cię... dobrze, bracie... Honor i Ojczyzna!“ — Poznałem go w Trześni pod Sandomierzem.

*

Granatowy półfraczek na jeden rząd płaskimi metalowymi guziczkami zapięty. Płaszcz na czarnym rzemieniu przez plecy przewieszony. Łeb rudy, a na łbie kapelusz stosowany składany, zwany *claque*, z ogromną białą kokardą... Takim byłem, tak mnie maluj, kiedy 1809 r. pierwszych dni czerwca wysłano mnie ze Lwowa, abym zamawiał konie dla deputacji galicyjskiej jadącej do księcia Józefa, którego główna kwatera była podówczas w Trześni pod Sandomierzem. Figura moja musiała być ucieśzną, trudno temu zaprzeczyć, zwłaszcza ten przekłety kapelusz balowy dotychczas jak zgryzota sumienia mąci sny moje swobodne. Z tym wszystkim — honorem mogę zaręczyć, że z wielu kurierów, posłów, ambasadorów, których w późniejszym życiu widzieć mi się zdarzyło, żaden nie miał tak buńczucznej, tak szeroko tryumfalnej miny, jak ja, aspirant¹⁹ podporucznikowstwa na chłopskim wózku rozparty. Żaden nie gromił wejrzeniem wszystkiego, co niemięcczyną trąciło. Żaden tak głośno jak ja nie przemawiał, powtarzając co mil kilka rozkaz, aby dwanaście koni stało w pogotowiu dla deputacji galicyjskiej... Pod karą śmierci... rozumie się... (formułka naonczas w modzie). Wójci, burmistrze, ekonomowie słuchali w pokorze, ale nie wszyscy dany rozkaz wykonali, a przez to żyli potem długie lata, mieli dużo dzieci i dobrze im się działo.

Było też to wtenczas i z czego rosnać... czym puszyć. Była to wiosna roku, wiosna mego życia, wiosna chlubnego zawodu, wiosna odradzającej się Ojczyzny. Jechałem po trzaskach dwuźbistych orłów²⁰. W Jarosławiu nawet ujrzałem już nad odwachem naprędce wymalowanego Orła białego. Mógł być wprawdzie i za gęś być wziętym, — ale któż na to zważa. Sercem a nie oczyma patrzyłem na ten obraz, droższy, miłszy niż wszystkie dzieła Rafała²¹. Jecha-

¹⁹ Ubiegający się. ²⁰ Tj. austriackich. ²¹ Znakomity malarz włoski.

łem, wszędzie szlachta patriotyzmem rozgorzała. Żydzi: *Vivat!* krzyczący — spodziewali się świeczkowego²² nie płacić. Chłoptwo obojętne. Wszędzie Niemcy pochowali czerwone krymki²³ i po polsku witali, po polsku żegnali, a co trzecie słowo: „Moczi Doprodżeju“. W żadnym wieku Germany tyle słów słowiańskich nie wyekspensowali²⁴, ile w kilku miesiącach 1809 roku. Polacy byli za szczęśliwi, aby mogli myśleć o zemście, lubo nie brakło powodów za doznane uciski i zniewagi. Najwięcej, jeżeli który kazał Szwabowi kańczug powąchać. Tylko Szumlański, były major polski, kazał w Tarnopolu wykroić z tarcic konia i na grzbiet dwucalowy wsadzał urzędników cyrkularnych, a Żydzi zbiegali się z sianem „dla kobyłki pana Kreiskomisera²⁵, aby pan Kreiskomiser zdrów jechał“.

Za przywróceniem rządów austriackich Niemcy galicyjscy domagali się zemsty. Między innymi niejaki Weintroter krzyczał na sesji gubernialnej, aby dla przykładu choć jednego Polaka powieszono. A na zapytanie, kogo wybrać z tylu winnych — „*Den ersten besten*, rzekł: *Zum Beispiel...*“²⁶ i wzniosłszy się na krześle, spojrzął w okno... „*Zum Beispiel den Antoniewicz*“, bo właśnie Antoniewicz przed okna przechodził.

Nie mścili się Polacy, bo byli wówczas szczęśliwi obecnością, a nadzieją bogaci. Nie mścili się, bo dla Polaka nieprzyjaciel zwyciężony, rozbrojony, bezsilny, przestaje być nieprzyjacielem. Nie mścili się i Niemcy galicyjscy...

(Nota: Niemiec galicyjski zajmuje wprawdzie w historii naturalnej miejsce jak wyłączna rasa czyli zawód, jak to na przykład rasa pudłów albo tybetańskich capów, ale właściwie jest to rasa zwiedziona. Nienawiść do Słowiańszczyzny, do krajów, których sokami żyją, daje prędszy bieg ich krwi i przemienia *ur-flegmę* teutońską²⁷ w innego rodzaju męty. Koniec Noty).

²² Żydzi galicyjscy byli obciążeni opłatami na rzecz skarbu austriackiego, zwłaszcza dotkliwym podatkiem koszerno-świecowym, ściągany przez osobny urząd noszący nazwę: „K. k. Koscherfleischverzehrungsundlichterzündungsaufschlagsgefälladministration“.

²³ Rodzaj czapek bez daszków. ²⁴ Zużyli.

²⁵ Kreiskomisar — komisarz powiatowy.

²⁶ Pierwszego lepszego. Na przykład.. ²⁷ Odwieczną powolność germańską.

Nie mścili się mówię i Niemcy galicyjscy, bo wiedeńscy stali jeszcze pod wpływem europejskiego Oberprofesora i Arcybatożnika²⁸. Austriacy nie lubili i nie lubią Francuzów... bo za cóż by ich lubili? Boją ich się, i bardzo słusznie, a jednak ich narodowość przyjęła odcisk znieawidzonej francuszczyzny. Mieszczanie uczą dzieci po francusku, mody francuskie wyrugowały *die goldene Haube*²⁹. Co francuskie, to dobre, to piękne, to poszukiwane tak od wyższych jak i średnich klas towarzystwa. Po szynkach wiedeńskich tańczą kadryle francuskie, teatru przedstawiają najczęściej powykrzywane francuskie wodewile.

Kiedy w pięć lat po ostatnich odwiedzinach Francuzów jechałem przez Austrię, spytałem postyliona, dlaczego nie trąbi. Odpowiedział: *Die Franzosen haben es nicht gerne*³⁰. — I teraz, zwłaszcza w Styrii, trzaskanie z biczów zastąpiło urzędowe trąbienie z niemłą dolegliwością podróżnych. Na koźle trudno usiedzieć i ledwie z pistoletem w ręku trzeba bronić twarzy od francuskiej, a niezgrabnie naśladowanej trzaskomanii.

Bali się Austriacy Francuzów, ale zdaje mi się, że nie tyle, ile się teraz Moskali boją, — a co najgorzej, że najwięcej boi się wojsko.

Burza 1809 r. przeszła Galicję bez wielkiego wstrząśnienia dawnego stanu rzeczy. Kilka tylko krwawych śladów zostawiła po sobie. Siedliski, obywatel w Przemyskiem, chciał w swoim domu stawić opór wracającemu nieprzyjacielowi. Zamknął bramę, spoza płotu strzelił do huzarów. Ale że brama zamknięta nie zmienia — dlatego iż w Polsce zwykle bywa otwartą — domek szlachecki w nieprzystępny Gibraltar...³¹, że jeden wystrzał choćby z kremlińskiego moździerza³², w którym sypiali francuscy grenadierowie z bronią, bermycą i harcapem razem, nie może zabić i pogrzebać wszystkich nieprzyjaciół, otworzono bramę i zbyt zuchwałego patriotę rozsiekano na miejscu. Na Podolu zaś Kopystyński, brat

²⁸ Tak nazywa Fredro Napoleona. ²⁹ Złotą czapkę.

³⁰ Francuzi tego nie lubią.

³¹ Nieprzystępna forteca angielska na południu Hiszpanii.

³² Słynna, niezwyklej wielkości armata znajdująca się na Kremlu w Moskwie.

Wincentego, tłumacza *Fedry* i *Andromaki*³³, wzięty z bronią w rękę, jako dawniejszy oficer w służbie austriackiej został przez sąd wojenny skazany i rozstrzelany. Oficerowie bowiem austriaccy występując ze służby podpisują zobowiązanie się, że nigdy przeciw Austrii służyć nie będą. Te więzy dożywotnie włożone na człowieka za to, że z własnej woli wstąpiwszy w szeregi zasłużył stopień oficera, są nie do pojęcia. Jest to nawet bezskutecznym nadużyciem władzy.

Był także na śmierć skazany Kajetan Horodyski, otrzymał jednak ulaskawienie, ale na miejscu egzekucji. Wzruszenie jednak doznane spowodowało później obłąkanie, w którym życia dokonał. Żona jego, z domu Krasieńska, zaślubiła potem mego brata Juliana i wkrótce owdowiała powtórnie. Dziwnym na tym świecie zjawiskiem jej dusza, w którą los przez pół wieku sączył najzjadliwsze gorycze, nie zachowała ich ani kropli. Żyje tylko dla drugich, niezmordowana w udzielaniu pomocy, nie pojmuje nawet, aby to mogło być zaletą. Za tyle cnoty a tak skromnej, a tak cichej, tak pełnej, Bóg tylko jeden może mieć w ręku stosowną nagrodę.

Co spotkało Horodyskiego, mogło być i mnie spotkać w moim balowym kapeluszu, wszystkich nas bowiem łączących się z wojskiem polskim uważano za powstańców i jako takich karać miano przedsięwzięcie. Ale któż o tym myślał?! A ja najmniej między Rozwadowem a Sandomierzem.

Jednego poranku „nie pił Zefir rosę z rumianku“ — jak powiada Pajgert³⁴, ale ja, pan Fredro, strudzony pierwszą bezsennością na wózku, folgowałem³⁵ w obrazach bojów, sławy, wolności i niepodległości Ojczyzny, które myśl wywijiała z nieskończonego kłębka. Cisza lasów otaczająca mnie wkoło i ruch kurierskiego pośpiechu dwóch szkap brnących w piasku ulułały nareszcie wrzące moje nadzieje w spokojny i głęboki sen szesnastoletniego młodzieńca. Sparłem głowę na półdrabku, a nogi, zbrojne w srebrne przypinane ostrogi, wzięte z Beńkowo-Wiszniańskiego lamusu i które pewnie zdobyły niegdyś szeroką piętę jakiego rotmistrza kawalerii narodo-

³³ Wincenty Kopystyński (1763—1839) tłumaczył tragedie Racine'a (m. in. *Fedre* i *Andromachę*), znakomitego poety francuskiego XVII w.

³⁴ Józef Kalasanty Pajgert — wierszopis. ³⁵ Odpoczywałem.

wej, wyglądały spod łokci mojego woźnicy. Spałem, spaliśmy nawet oba, jak się później wykazało. I kto wie, czy sny nasze wyparte z przeciwnego, a przynajmniej z nierównego usposobienia duszy, z tak odległych od siebie uczuć nie spływały w świecie uludy w jaki jeden wspólny zakres. Może mnie się śniło, że sparłem się na chłopku jak na bracie. Może on marzył, że jął mnie w objęcia jak brata, że z ufnością w łączne siły spoglądaliśmy spokojnie na jutrzeńkę, co ponad odłogi, zwaliska, cmentarze ozłaca nowe, nowego kształtu budowy. Może to był sen, a może kiedyś stanie się rzeczywistością, a ja tymczasem jak dziecko, gdy piastunka zadrzymie i kolebka stanie, jak mielnik, kiedy pytel zamilczy, przebudziłem się nagle ustaniem wszelkiego ruchu. Otworzyłem jedno, potem drugie oko, wyciągnąłem w górę prawicę z moim ukokardowanym kapeluszem, jak gdybym chciał krzyczeć: *Vivat!* i spojrzałem po sobie i wkoło siebie. Mój *auriga*³⁶ leżał na moich kolanach wygodniej niż ja na półdrabku. Szkapę w kurierskiej pogoni zeszły z prawej drogi i, nim losy Ojczyzny rozstrzygną się pod Sandomierzem, pasły się spokojnie nad rowem.

— „A no!“ — krzyknąłem ja. — „Wio!“ krzyknął on i ruszyliśmy, nie powiem z kopyta, ale rozsądnym truchtem.

Jedziemy, jedziemy... Wtem dalekie armat wystrzały szybko powtórzone i po kilku minutach ciszy znowu powtórzone... i znowu i znowu, obwionęły mnie jakby świeżym życiem.

Jakie ten odgłos sprawił na mnie wrażenie, jakie obudził uczucia, trudno lepiej jak gminnym wyrazem wysłować, to jest, że urosłem na trzy piędzi. Jakkolwiek strzały głos mi tylko przesyłały, były to jednak strzały śmierć niosące i jako takie pierwszy raz przeze mnie słyszane. Stawały się poniekąd pierwszym chrztem studenta na żołnierza. Wkrótce i białe bałwany dymu pod miastem, w którym łatwo było odgadnąć Sandomierz, powtórzyły oczom, co już słuch wiedział — Jestem na wojnie!

Wojnę więc mając przed sobą, trochę na prawo dojechałem do Trześni i stanąłem tam, gdzie prosto wyrżnięta droga w prawo pod pagórek wiodła ze sandomierskiego gościńca do niewielkiego,

³⁶ Woźnica.

białego, dużymi drzewami otoczonego dworka. Na dziedzińcu koczował pułk drugi piechoty Stasia Potockiego.

Stanisław Potocki, starościc halicki, w młodości swojej stał się wzorem Bogusławskiemu do Studenta w *Krakowiakach*³⁷. Nie był inaczej znanym w Warszawie jak pod nazwiskiem Stasia. Dobry Polak, dobry żołnierz, dobry kolega był powszechnie lubianym. Śmierć jego 29 listopada 1830 r. okropna, bo z rąk tych, których od lat tyłu zwykł swymi dziećmi nazywać, jeśli była koniecznością, to niemniej bolesno dotknęła jego kolegów³⁸. Był wzrostu małego, trochę łysy, twarzy ładnej, a zwłaszcza bardzo przyjemnej. Ostatni raz widząc się ze mną w Warszawie, mówił: „Mam honory, krzyże, pieniądze, ale diabli z tego, kiedym już stary“.

Dzień był pogodny. Strój grenadierów świeży i czysty. Ich rozmowy, śpiewki, nawet swawolne gonitwy czyniły obraz tak wesołym, tak powabnym, że trzeba było widoku kilkunastu jeńców z piechoty węgierskiej, na których twarzach krew ledwie w ranach zaskrzepła, aby mieć przekonanie, że jestem na wojnie. Wskoczyłem w nią jak młody sarniuk na kwicistą łąkę.

Cała kampania 1809 r. w porównaniu z późniejszymi była kwicistą, była tryumfalną przechadzką dzieci wracających w rodzinne zagrody. Była łatwym żniwem wawrzynów, epolet i krzyżów.

Pułk 2 piechoty należał do dywizji księcia Józefa, miał przeto u granatowych mundurów pąsowe kołnierze a żółte wyłogi. Dywizja zaś Dąbrowskiego miała amarantowe, a Zajączka kołnierze amarantowe a wyłogi białe. Polska armia wówczas składała się z trzech rzeczonych dywizji, razem z 8 pułków piechoty a siedmiu jazdy. Moi bracia zaczęli służbę swoją w tym 2 pułku piechoty.

Pamiętam dobrze, późna jesień była (1806). W niebieskim gabinecziku ogień szemrał na kominku. Mój ojciec i Biegański grali w lombra³⁹; Ludwisia haftowała. Ja jako najstarszy, już nie dziecko, jeszcze nie młokos, komenderowałem w sali zielonej zabawą młod-

³⁷ Wojciech Bogusławski (1757—1829), aktor i komediopisarz, nazywany „ojcem teatru polskiego“, autor sztuki pt. *Krakowiacy i górale*.

³⁸ Stanisław Potocki, nieświadomy działań rewolucyjnych, nie chciał wziąć w nich udziału i został zabity przez powstańców.

³⁹ Rodzaj gry w karty.

szego rodzeństwa: Cesi, Julcia, Henryczka i Edwarda...⁴⁰. Wtem drzwi otwierają się nagle i wchodzi Józef Szumlański z moimi braćmi Maksymilianem i Sewerynem. Pierwszy od dawna bawił w Puławach, drugi od śmierci naszej matki, więc jeszcze niespełna roku. Maksymilian oddał list ojcu. Starsi długo półgłosem rozmawiali. Dzieci poszły spać. Nazajutrz zaprzągnięto do brodzkiej bryki cztery konie srokate, Szumlański kupił od słowa, a w południe już naszych gości nie było. Znowu cisza osiadła na jednostajnych dniach, na wlokących się jesiennych wieczorach. Nikt w domu nie zgadywał przyczyny tych krótkich odwiedzin. Dopiero w kilka miesięcy później powierzono mi w największym sekrecie, że bracia są w Warszawie... w polskim wojsku... oficerami...

Maksymilian równie jak i Seweryn zaczęli służyć w 2 pułku piechoty Stasia Potockiego. Seweryn przeszedł wkrótce do pułku Gwardii Cesarskiej, pułku *des chevaux-légers*, formujących się pod dowództwem Wincentego Krasińskiego. W tym pułku dosłużył się stopnia szefa szwadronu⁴¹ i trzech krzyżów. Odbył wszystkie ówczesne kampanie hiszpańskie i niemieckie. Wystąpił ze służby w 1814 roku. Wielce ceniony jako oficer, kochany jako kolega.

Maksymilian został adiutantem księcia Józefa. Będąc potem szefem szwadronu 2 pułku ułanów Tyszkiewicza, robił kampanię 1809 r. Później został majorem (*Gros-Major*) w 5 pułku strzelców konnych Kurnatowskiego. Że zaś ja awansowałem na kapitana adiutanta-majora do tegoż samego pułku, odbyliśmy razem obok siebie kampanię 1812 r.

W 1813 roku dano Maksymilianowi 9 pułk lancjerów francuskich. Pod Kulmem kilka razy ranny dostał się do rosyjskiej niewoli. Po skończonych wojnach został fliegel-adiutantem cesarza Aleksandra, potem generałem majorem przy głównym sztabie.

⁴⁰ Ludwika, później hr. Rozwadowska. Cecylia hr. Jabłonowska. Julian ożeniony z hr. Krasińską, młodo umarł. Henryk, porucznik 1 pułku ułanów, adiutant generała Umińskiego. Edward, rotmistrz 6 pułku ułanów (Dzieci Warszawskich), ciężko ranny pod Kałuszynem. Obydwa ozdobieni złotym krzyżem *Virtuti Militari*. (*Przypisek autora*).

⁴¹ Stopień szefa szwadronu czyli majora w Gwardii cesarza Napoleona odpowiadał randze pułkownika w linii. (*Przypisek autora*).

1824 r. wystąpił ze służby. W 1807 ozdobiony krzyżem kawalerskim *Virtuti Militari*, pod Smoleńskiem krzyżem Legii honorowej, w 1820 r. wielką wstęgą Św. Stanisława.

Uciekwszy z Wilna z niewoli, przybyłem 10 sierpnia 1813 r. do Drezna, zostałem, jak to już wspomniałem, przyłączony do głównego sztabu Wielkiej Armii. Że zaś mój brat Seweryn komenderował służbowymi szwadronami, odbyłem z nim razem, tak jak z Maksymilianem 1812, kampanię 1813 r. Pod Peterswaldem na czele swego szwadronu rozbił pułk jazdy pruskiej i swoją ręką schwycił dowódcę, syna generała Blüchera.

O, bracia moi! Maksymilianie, opiekunie pierwszych w świat kroków moich — towarzyszu broni — kolego na tym krótkim i wąskim polu autorstwa, któreśmy bez zawiści przebiegli razem...⁴². I ty Sewerynie, z którym uczyłem się, kolegowałem i nareszcie w sąsiedztwie przeszło lat trzydzieści nieodstępnie prawie przeżyłem, jakże mi was niedostaje!... Jak trudno samemu w przeszłość spoglądać!... Nie mam już do kogo powiedzieć: *Te souviens-tu?*⁴³ Bo większa część przeszłości była wyłącznie naszą, obcą młodszemu rodzeństwu. Kiedy was wspomniałem, pytam się sam siebie, po co puszczam pióro za błakającą się pamięcią. Na co rozpowiadam o sobie, o stosunkach rodzinnych? O osobach, co nas otaczały w dzieciństwie? Osoby, co nic po sobie nie zostawiły prócz mego wspomnienia, jak kwiaty rozwinięte na wiosnę a rozwiane bez śladu wiatrem jesiennym! Po co?... Na co?... Dla kogo? — Zacząłem pisać myśląc, że się kiedyś zejdziemy, że wam czytać będę, co dobrze wiecie, tak jak to zwykło się mówić: Pamiętasz?... A dawno znajomy dobrze pamięta, jednak słucha chętnie jakie wspomnienie z lat młodych, z lat dalekich, słucha jakby własnego serca.

Kiedy teraz wstąpię do tej oficyny, gdzie rodzice mieszkali, gdzie teraz z bawialnego pokoju spiżarnia, ze sypialnego kuchnia — kiedy ujrzę gdzie jaki koniuszek arabesku⁴⁴, co się pod późniejszym obiciem przechował — kiedy spojrzę na ów piec, niegdyś w złocone rzeźby, dziś gliną polepiony, serce mi się ścisza. Obok obrazu prze-

⁴² Maksymilian Fredro pisał również wiersze i dramaty.

⁴³ Pamiętasz? ⁴⁴ Ozdoby.

szłości widzę razem jej oddalenie... Czas ubiegły objawia mi się znieszczeniem. Szczęśliwy, kto zamieszka komnaty, co pierwszym jego były światem, gdzie te same obicia, malowidła, sprzęty, a nade wszystko ciemne zakątki, co to się tak silnie wyciskają w umyśle dziecinnym. Gdzie jednym słowem wszystko zatrzymało jeszcze jakby dotknięcie kochanych Rodziców, jakby cząstkę ich drogiego życia. Wtenczas zdaje nam się, że wszystko niedawno. Nie ma szorstkiego przedziału między tym co było, a tym co jest. Gdybym do Was mówił, bracia moi, nie potrzebowalibyśmy objaśniać każdego szczegółu. Jeżelibym wspomniał gabinet, stanąłby wam zaraz przed oczyma pokój niebieski, zajęty prawie w połowie dwiema sofami w białe i karmazynowe atlasowe pasy, biureczko wysadzone naszej matki. Na jednej ścianie w mahoniowych ramach landszafty⁴⁵ podług Ruisdaela⁴⁶, na drugiej widoki Tivoli⁴⁷ i fontanny Egerii⁴⁸. I ten kominek w kącie, dzieło architektury Aignera⁴⁹, którego gzymsy i gzymsiki stały się nigdy niedościgniętym wzorem dla wszystkich kominków w sąsiedztwie. Spozreglibyście zaraz na szczycie tegoż statwę gipsową Wenery de Medicis⁵⁰, — niżej między złożonymi filizankami na marmurowych podstawach brązowe popiersie Henryka IV i Sully'ego⁵¹. Wazon porfirowy, świeczniki alabastrowe i tysiąc jeszcze fraszek, które byłyby dla mnie dzisiaj nieoszacowanym skarbem, a które może leżą gdzie na strychu jako staroświeckie graty. Gdybym wam wspomniał altankę, nazwaną Szopką, uczulibyście zapach róż i nasturcji, co się wily po brzożowych ganeczkach aż pod strzechę. A taż oficynka, której ja już jeden podobno tylko miejsce pamiętam (tam gdzie teraz skrzydło pałacu), gdzieśmy nad książką

⁴⁵ Krajobrazy.

⁴⁶ Słynny malarz holenderski w XVII w.

⁴⁷ Starożytna miejscowość pod Rzymem.

⁴⁸ Bogini rzymska zamieniona w źródło wytryskujące w Rzymie.

⁴⁹ Aigner Piotr (1746—1841), architekt, z pochodzenia Włoch, wybudował w Polsce wiele pałaców i kościołów.

⁵⁰ Posąg Wenery Medycejskiej, dzieło znakomitego rzeźbiarza greckiego Kleomenesa, znaleziony w Rzymie, pomieszczony był początkowo tamże w willi Medici (stąd nazwa), od 1770 r. znajduje się w galerii sztuki we Florencji.

⁵¹ Henryk IV, król francuski (1553—1610). Maksymilian Sully, znakomity wódz i wpływowy minister za Henryka IV.

łby smażyli, ale niestety nie dosmażyli, gdzieśmy się wyśmiali na całe życie i tak szczerze i tak bez końca i tak sztucznie, aby pan Trawiński z drugiego nie zasłyszał pokoju. A owe zwaliska pałacu, wybudowanego podług powieści starego Jakuba mularza przez referendarza Siemieńskiego, z ich czarnymi sterczącymi kominami, z ich piwnicami, skarbem, lamusem, gdzie echo po sklepieniach brzęcząco biło. Wszystko, wszystko przypominalibyście sobie, bracia moi, — przypomnieli z rozkoszą... Ale was już nie ma, a ja nie mam do kogo powiedzieć: Czy pamiętasz?

*

Dam więc spokój tym wspomnieniom... Wróćmy do Trześni. I tam nie wiem, po co... ale kto siwieje, bajdurzy chętnie.

Wszedłem na dziedziniec... Wszak prawda? A że szedłem, przeszedłem go prędko i znalazłem się u progu dworka między kilkunastoma oficerami w zielonych frakach mundurowych z pąsowymi kołnierzami, złotymi szlifami i akselbantami⁵², w bermycach⁵³ na głowie. Były to *Guidy*. Oddział formujący się, niby przybocznej straży naczelnego dowódcy. Każdy miał rangę podporucznika i w tej po skończonej kampanii wszyscy zostali umieszczeni w nowych pułkach.

Spytałem się o Józefa Szumlańskiego, adiutanta Księcia. Obudzono go śpiącego w sieni. Wyciągnął się, ziewnął, uściskał mnie i wziął pod swoją opiekę, tak że wkrótce jakby w kole krewnych lub sąsiadów odpowiadałem na tysiączne zapytania o tym, co się dzieje we Lwowie.

Zdaje mi się, że w dniach, o których tu wspominał, Sandomierz był w naszym ręku. Wystrzały, które rano słyszałem, musiały być do nieprzyjacielskiego rozpoznania (*reconnaissance*), bo ledwie siedliśmy do stołu, przybył generał Sokolnicki komenderujący na linii bojowej i Żółtowski, pułkownik 3 pułku piechoty.

Wieczorem nadjechała zwyż wspomniana Deputacja galicyjska: Ludwik książę Jabłonowski, którego jedynym wyskokiem

⁵² Splecione sznurki przy mundurze wojskowym.

⁵³ Wojskowe kołpaki z niedźwiedziego futra.

patriotyzmu, i to nb. mimowolnym, było to poselstwo. Nielepiej mu się i na późniejszych powiodło. Adam Potocki, który starał się o pozwolenie formowania pułku, i Kajetan Uruski, który... który miał pieniądze i nos duży, ale i odrętwiałe serce w sprawie Ojczyzny. I ranga bez zasługi i nos duży, wszystko to są boskie dary i muszą mieć swoją przyczynę. Wiara w konieczność przyczyny jest to jedna z najmocniejszych podpór w podróży życia.

Deputacja złożyła Księżciu mnóstwo komplementów i kilka tureckich sztandarów znalezionych w arsenale lwowskim...

Przed stodółką, koło mostu na rzeczce płynącej do Wisły, stał wóz długi przykryty, zielono malowany, z dużym wzdłuż wieka napisem: „Furgon 2 pułku piechoty“. Furgon w obozie jest zawsze celem zazdrości, bo staje się domem, pałacem. Pod nim między kołami obszerna sypialnia, bezpieczna od słońca i gorąca, przy boku sala jadalna, ale że z nią razem i kuchnia, przeto raz z jednej, a raz z drugiej strony, podług wiatru. Z tyłu lada derka w górze wiekiem przyciśnięta, a w dole dwoma patykami podparta, wygodną staje się komnatą. Pod dyszlem zaś, ile na nim rozwieszonych płaszców i koców, tyle gabinetów, w których siedła, juki, sakwy służą za stoły, sofy i wezglowia. O kilka kroków naprzód, przed karabinami złożonymi w kozły, grenadier na straży brał za broń przed przechodzącymi oficerami, albo sparty na niej odzywał się do rozmowy, przerywanej głośnym śmiechem, co się dobywała z różnych punktów furgonu, jakby z trojańskiego konia.

W tej stodole była kwatery pułkownika Stasia Potockiego. Tam w kole wojskowych, z których każdego uważałem za *Vice-Napoleona*, słuchałem całą duszą świetnych czynów naszej armii. Słuchałem i różnych dykteryjek garnizonowych i obozowych zupełnie dla mnie nowej treści, a jeszcze nowszego sposobu wysłowienia. Słuchałem z wielkim upodobaniem, jak gdybym pisał noty w pamięci: Do naśladowania. Do powtórzenia. Do przerobienia.

Nie spuszczałem przy tym z oka Artura Potockiego. Artur był to człowiek pełen honoru, dowcipu i dobroci, a przy tym zajmującej piękności. Ale dość było spojrzeć na jego rozpięty mundur, chustkę lekko zawiązaną, ładownicę przekręconą, pendent nie na miejscu,

aby w nim poznać popsute dziecko towarzystwa warszawskiego, a razem i armii, bo Wódz naczelny był członkiem tego towarzystwa. Zachował on był w postawie i ruchu ową angłomanie⁵⁴, co wówczas ustępowała przed rubasnością obozową. 1809 r. był adiutantem Roźnieckiego. W 1812 szefem saperów, w 1813 adiutantem księcia Józefa. Parę godzin przed tegoż zgonem wysłany do Cesarza, uniknął podobnego losu. Nareszcie z moim bratem Maksymilianem był fliegel-adiutantem cesarza Aleksandra. Nie spuszczałem, powiadam, z oka Artura, który dla nieznośnego upału rozciągnął się jak długi na wiązce słomy, ale całkiem nagi.

Wzgarda wszelkiej osłony, tak w czynnościach jak i mowie, tam nawet gdzie ta zdawała się być nieoddzieloną częścią samej rzeczy, jakiś, by się tak wyrazić, cynizm⁵⁵ fizyczny, były *conditio sine qua non*⁵⁶ do osiągnięcia nazwy: birbanta⁵⁷. Kto nim nie był w istocie, musiał udawać, inaczej trącił cywilistą⁵⁸. Taku mógł być wprawdzie szanowanym, ale nigdy lubianym. Patrzałem więc z zadziwieniem na te *sans-façons*⁵⁹ Artura wobec nawet całej Deputacji galicyjskiej i zapisałem w notach: Do naśladowania. Ten strój Ojca Adama, bez liścia figowego nb., nazwaliśmy potem szlafrokiem i często w upały po mustrze był w używaniu.

Wszedł do stodółki wysoki, piękny mężczyzna, szef szwadronu 2 pułku ułanów. Mundur granatowy, kołnierz pąsowy, wyłogi żółte. Na głowie kołpak z czarnego baranka, w górze szerszy, z tyłu jak cholewa palonego buta wykrojony, z pąsowym płomieniem naprzód wywieszonym i złotym kordonem przyciśniętym, oznaczał, że był szefem pierwszego szwadronu, a przeto i kompanii wyborczej, czyli grenadierów.

Kompania pierwsza od prawego w każdym pułku jazdy, a w każdym batalionie piechoty, była kompanią wyborczą, odznaczała się pąsowymi szlifami i niedźwiedziami lub innego rodzaju kołpakami od innych kompanii.

Wszedł więc szef szwadronu, a wszystkie oczy zwróciły się od

⁵⁴ Zamiłowanie do angielszczyzny. ⁵⁵ Bezwstyd.

⁵⁶ Nieodzownym warunkiem. ⁵⁷ Hulaki. ⁵⁸ Postacią niewojskową.

⁵⁹ Bezceremonialność, swobodę.

niego na mnie i wykrzykniki z różnych stron zdawały się chcieć obudzić naszą wzajemną uwagę. Bracia stali przed sobą nie poznając się wcale. Ja od trzech lat urosłem, Maksymiliana zaś, eleganta puławskiego, zawsze wypudrowanego, wystrojonego, pachnidłami tchnącego, nie mogłem odgadnąć w tej opalonej twarzy, zakrytej do połowy rudymi wąsami i faworytami... w tej postawie żołnierskiej, okrytej znojem i kurzem bojowym.

Maksymilian chciał mnie przedstawić Księżciu, poszliśmy więc do białego dworku. Na dziedzińcu, w sieni, w pierwszych pokojach prezentował mnie w prawo i lewo. Szastałem się jak cywilista, dzwoniłem ostrogami jak rycerz, byłem grzeczny i wspaniały. Tam poznałem żółtego Rautenstraucha w żółtej peruce. Trudno być szpetniejszym. Był to człowiek wielkich biurowych zdolności. Sługa każdej władzy, skończył na komendzie warszawskiego baletu. Był on synem garbarza, dlatego Kwilecki w paszkwilowym swoim katalogu napisał był: *L'Etat-Major, relié en maroquin jaune par Mr Rautenstrauch*⁶⁰. Poznałem generała Fiszera, byłego adiutanta Kościuszki, teraz szefa sztabu. Był on osobistym przyjacielem i prawą ręką księcia Józefa. Naśladował Księcia jak Berthier Napoleona. Mały, ułomny, w czapce ułańskiej, z krótką fajką w ustach, na dużej bułanej kobyle, był zanadto dziwaczną kopią obok pięknego oryginału, aby nie wzbudzał często szyderskiego śmiechu. Zginął pod Tarutinem w 1812 r.

Nareszcie weszliśmy do Księcia. Siedział sam na ganeczku, z którego widok na Sandomierz, i palił tytoń ze stambułki⁶¹ oprawionej na krótkim, prostym bukszpanowym cybuszku. Miał na sobie kurtkę granatową z wyłogami tegoż koloru, z francuska na przodzie wyciętą, haft generalski u kołnierza. Na piersiach gwiazda krzyża wojskowego polskiego i krzyż Legii Honorowej (jej Wielką Wstęgę otrzymał dopiero po kampanii 1809 r.). Chustka czarna, grubo na szyi zawiązana, z białą wypustką, kamizelka biała, spodnie granatowe opięte i buty węgierskie z czarnymi kutasikami i srebrnymi ostrogami uzupełniały strój, który zarywał trochę munduru ułanów

⁶⁰ Sztab generalny, oprawiony w żółty safian przez pana Rautenstraucha.

⁶¹ Fajka turecka.

austriackich z czasów, kiedy ksiązę u nich Bóg wie po co służył⁶², który przechodził nieco w francuszczyznę i który teraz niezawodnie wydałby się arcyśmiesznym.

Widywałem później w 1812 roku księcia Józefa czasem w mundurowym fraku, ale zawsze w czapce ułańskiej. Frak z czapką nie bardzo się zgadzał i w całej armii on jeden i drugi Fiszer pozwalał sobie tego stroju. Wielki zaś mundur generalski był: ułańskim krojem granatowa kurtka, amarantowe wyłogi i rajtuzy, srebrny haft, szlify i lampasy.

Wojsko polskie Księstwa Warszawskiego od 1806 do 1812 r. było w ciągłej formacji. Na oficerów przybywała ciągle młodzież majątna. Dlatego oficerowie, acz niepłatni po kilka miesięcy, zbytkowali nie tylko w przepisowych mundurach, ale i w fantazyjnych półmundurach, których sobie każdy pułk jazdy mnożył bez liku. Tak na przykład weźmy pułk 2 ułanów. Pierwsze ubranie: Wielki mundur, kurtka granatowa, kołnierz pąsowy, żółte wyłogi, rajtuzy granatowe obcisłe z żółtym podwójnym lampasem. Drugie ubranie: Taż sama kurtka z zapiętymi wyłogami, rajtuzy szerokie sieraczkowe ze skórą. Trzecie ubranie: Kurtka z wyłogami granatowymi z francuska z przodu wykrojona do białej kamizelki. Czwarte ubranie: Frak granatowy albo z francuska jak powyż wspomniana kurtka do kamizelki wykrojony, albo na jeden rząd guzików zapinany, spodnie opięte granatowe, buty węgierskie ze złotym u góry obszyciem i złotym kutasikiem. Do tego ubrania stosowany kapelusz.

Na jednym balu w Warszawie widziałem pułkownika Tyszkiewicza i mego brata w granatowych frakach z żółtymi wypustkami z francuska wyciętych, kamizelka żółta, pokryta pętlcami złotymi, spodnie opięte pąsowe, suto z huzarska szamerowane, buty kozłowe.

W pułku 11 ułanów oficer musiał mieć kurtkę granatową z amarantowym kołnierzem i białymi wyłogami, u kołnierza biała a u wyłogów amarantowa wypustka. Kurtkę z granatowymi wyłogami tylko z wypustką albo spencer, frak, czamarkę, kurtkę balową na przodzie wyciętą do amarantowej, złotymi pętlcami okrytej kamizelki. Rajtuzy granatowe obcisłe z białym podwójnym lampasem,

⁶² Ksiązę Józef Poniatowski służył w armii austriackiej w l. 1786—1789

granatowe i sieraczkowe szersze z jednym amarantowym lampasem. Sieraczkowe rajtuzy z guzikami półokrągłymi od dołu do góry, sieraczkowe szerokie ze skórą, spodnie granatowe do fraka, białe ze złotym obszyciem i kutasikiem, a do balowego stroju czerwone. W zimie, kogo stać było, surdut z wykładem siwych baranków, na piersiach w ziobierka z złotego galonu. Tak czasem przesadzano galonami, że Oborski o kapitanie Bie... powiedział: „Bie... ma i w kieszeni parę sztuczek galonu“. Do tego wszystkiego i cywilny frak, a przynajmniej surdut, był ledwie nieodzownie potrzebnym, zwłaszcza dla oficerów garnizonujących po większych miastach. Brano do cywilnego fraka wojskowe spodnie, kamizelkę, buty, czapczkę lub kapelusz stosowany. Ten strój *semi-cywilny*⁶³ uwalniał od pałasza i upoważniał poniekąd do wejścia tam, gdzie mundurowi nie zawsze przystoi.

„Co kraj to obyczaj“, mówią, ale gdyby nie rym, częściej jeszcze możnaby powtarzać: co czas to obyczaj. A nowszy zawsze piękniejszy, zawsze mędrszy, ale za to dawne czasy były od początku świata zawsze wiekiem złotym, wiekiem prostoty i cnoty. I ja teraz muszę powiedzieć: Był to wiek złoty ten czas, kiedy byłem młody, kiedy stanąłem przed księciem Józefem w trzeciej pozycji, jak do menueta albo raczej do matelota, tańca, którym robiłem zaszczyt memu nauczycielowi Kurcowi, a Kurc był z baletu króla Stanisława, a król Stanisław znał się lepiej na tańcu niż na sztuce rządzenia. Księżę przyjął mnie uprzejmie. Rozmawialiśmy pięknie a nie długo. Nazajutrz, 8 czerwca, dostałem nominację na podporucznika.

Jedynie zapewne przez grzeczność nie pytacie mi się, szanowni Państwo, za co zostałem oficerem. A ja na to odpowiem, niech was to nie dziwi, bo nowe formując pułki, niedostatek oficerów przymusza nominować i nowo w szeregi przybyłych, odznaczających się trochę lepszym wychowaniem. W owym czasie wyrastały podporuczniki jak grzyby i nie do jednego można było powiedzieć z Plautem: „A więc panie oficerze, co nie jesteś żołnierzem“ etc.⁶⁴.

⁶³ Na wpół cywilny.

⁶⁴ Słowa w jednej z komedii Plauta, znakomitego komediopisarza w starożytnym Rzymie.

Nie to było moim szczęściem, że zostałem podporucznikiem, ale to, że miałem w rękę nominację. Moje słowa trącą niby zagadką, sam to wiem... zatem aby być zrozumianym, muszę trochę obszerniej opowiedzieć, co się działo w Galicji 1809 roku.

*

Byłbym wprawdzie uniknął wielu niezrozumiałości, gdybym był zaczął, jak Bóg przykazał, od początku. Na przykład: Był to Pan i Pani... mieli syna, nazwali go Aleksandrem... Albo też: Urodziłem się w Surochowie w Ziemi Przemyskiej, z Jacka z Pleszowic i Marii z Dembińskich Fredrów małżonków. Kiedy? — Nie wiem dokładnie, bo w owym czasie proboszcze na mokro oficjowali⁶⁵, a na sucho pisali. Metryki więc odszukać nie mogłem, może i dlatego, że plebania w Jarosławiu zgorzała. Uczyłem się krótko i nie tego, a w szesnastym roku życia, podług rachuby mojej piastunki, wstąpiłem do wojska etc. etc. etc..

Tak pewnie byłoby było najlepiej, ale tak się nie stało, czego bardzo żałuję. Aby więc trafić jako tako do końca, pozwólcie, bym pierwaj skończył com już zaczął, abym, mówiąc kwiecistym stylem gubernialnym, wyrobił moje restancje⁶⁶, a potem wrócimy do pamiętnego roku 1809.

Byłem więc, *nisi fallor*⁶⁷ w Lipsku — nie, myślę się, dalej, w Moguncji, i to nie, bo bliżej, w Gotha. Tak jest, w Gotha byłem na służbie w niemieckim zanurzony łożu. Budzimy się, dzień jasny! Seweryn woła... (a jak Seweryn wołał, szyby brzęczały), ordynans się zrywa, wychodzi, wraca i przestrasza nas nie po trosze wiadomością, że Cesarz już dawno wyjechał, że już nikogo z naszych w mieście nie widać.

Proszę teraz przypomnieć sobie, jaki był stan rzeczy, jak niektórzy oficerowie, zostając po drodze, dali się brać w niewolę, proszę przypomnieć sobie (bo ja nie powtórzę) i wystawić sobie razem, jaką szef szwadronu, komenderujący szwadronem służbowym niczym dotąd nie zachwianego korpusu, byłby na siebie, a nawet na

⁶⁵ Urzędowali („na mokro“ tj. po pijanemu). ⁶⁶ Zaległości.

⁶⁷ Jeżeli się nie myślę.

pułk cały ściągnął płamę, gdyby był wpadł w ręce nieprzyjaciela. A że to z winy ordynansa, który zbudzony przez podoficera wysłanego ze szwadronu zasnął sobie był na nowo — któż byłby dał wiarę? Któż by kiedy chciał i wysłuchać uniewinnienia?... Kto mógł zawyrokować? Zerwaliśmy się, jak to mówią, ptaszkiem. Seweryn dopadł konia i cwałem pogonił. Ja zaś, jako indywiduum nic nie znaczące w europejskiej równowadze, uważałem zdarzenie z własnego tylko stanowiska, a którym tym razem było błoto przed progiem zakłętego domu o zielonych kotarach, błoto sięgające wyżej ostróg. Myślałem, co począć, bo jak nie myśleć, i podniósłszy głowę patrzyłem w górę jak gracz wistowy⁶⁸, który chce przypomnieć sobie, czy siódemka jest *carte-fortą*⁶⁹ albo nie. A że ile razy spojrzę w niebo, tyle razy kichnąć muszę, więc kichnąłem raz jeden i drugi, i wpadając w odwrotną ostateczność wlepiłem oczy w ziemię... Nie powiem: jak gdybym chciał ziarnka piasku przeliczyć, bo było błoto, ale raczej jak gdybym, niby ów Narcyz⁷⁰ zakochany w sobie, przeglądał się w kałuży. Wtem połysk nadziei budzi mnie z odrętwienia: Może Onufry czeka z końmi! Pędzę szukać koni i tym razem naprawdę... O, jakże bolesna i bliska kara za moje kłamstwo!... Szukam i nie znajduję... nie było się więc dłużej czego wahać — przechodzę bez zwłoki i awansu do piechoty i ruszam w drogę.

Kto by mnie był widział, jak pałasz pod lewym ramieniem, kapelusz na bakier, skakałem zrazu z kamyka na kamyk, byłby mógł myśleć, że ja w Lublinie idę na wieczór do generałowej Kamienieckiej, gdzie mnie czekał przyjazny uśmiech panny Anieli i pantofel... Nie pantofel turecki, a mniej jeszcze żydowski, ani też figurycznie wzięty jako matrymonialne jarzmo, ale pantofel, gra w karty, niezbyt dowcipna, ale nieoceniona dla zakochanych, lepsza nawet niż mruczek, ba, i talarek. U nas w Samborskiem, między Gródkiem a Rudkami, zwano dawniej tę grę gapiem albo kasztelanem, co było niezawodnie dla kasztelanów arcyubliżającym i zapewne senat postanowił niewinną nazwę: pantofel.

⁶⁸ Wist — rodzaj gry w karty. ⁶⁹ Silną kartą.

⁷⁰ Narcyz — według wierzeń greckich urodziwy młodzieniec, który zakochał się w swoim odbiciu w wodzie.

Były to dobre czasy w tym Lublinie. General Kamieniecki komenderował dywizją, miał miłą, godną żonę i miłe, lube pasierbice, pannę Pelagię i pannę Anielę Trębickie. Pułkownik Nowicki, który potem został zastrzelony w karecie owej pamiętnej nocy 29 listopada ⁷¹ w Warszawie. Jąkał on się. Będąc zatrzymany, niewyraźnie wymówił swoje nazwisko, usłyszano zamiast Nowicki — Lewicki, i tak zginął niewinnie za znienawidzonego komendanta miasta Lewickiego. Pułkownik więc Nowicki, szef sztabu, przyjaciel domu i wesołego życia, nominował do sądów wojskowych po największej części oficerów, których towarzystwo mogło warszawiankom znosnymi uczynić zimowe lubelskie wieczory. Zostałem reporterem ⁷² sądu wtórego, bo dobrze tańcowałem. Bardzo dobrze. Później mazurem podbiłem serce panny Benigny, ale to inna historia. Nie śmiecie się, moje panny, patrząc na moje sukienne buty. Gdybym był i najstarszym z galicyjskich Landstandów ⁷³, młodość kiedyś miałem, tak jak wy, drogie kwiateczki, starość mieć będziecie. Dzieci najczęściej nie słuchają rozsądku rodziców, bo mówią: „to starych widzi mi się“, a zapominają, że ten rozsądek zebrany z doświadczenia wieku młodego. Zdaje im się, że ojciec zawsze był siwy i pochylony, dlatego dobrze, aby każdy miał swój portret malowany w wiosennych chwilach życia, wtenczas będzie mógł powiedzieć: „Oto ten młody człowiek przez moje usta daje wam przestrogi“.

Zostałem więc reporterem, ale w sądzie wtórym, zatem w jedyniej sprawie, którą sąd po karnawale osądził, powtarzałem tylko pytania sądu pierwszego. Może ktoś mędrszy byłby umiał dać inny obrót rzeczy, ale jeżeli nie byłem mądry, mniej jeszcze bez wątpienia był nim ten, co siedemnastoletniego chłopca nominował reporterem. Prawda, żem zasięgnął rady, ale to wszystko było malej wartości. Nasze sądy w owym czasie były prawdziwie zgrozą. Prawa francuskie wykute dla długimi wojnami rozhukanego żołnierstwa nie mogły być stosowne dla młodej, na paskach jeszcze prawie postępującej armii.

Był w 11 pułku jazdy, w samych początkach formacji tegoż,

⁷¹ 1830 r. ⁷² Referent w sądzie wojskowym.

⁷³ Krajowy sejm stanowy w Galicji pod rządami austriackimi.

jakiś, jeżeli się nie mylę, pan Imański. Więcej zarywał na syndyka niż na ułana. Śpiewał tenorem i lubił kminkówkę. Kiedy mu kazano jechać na placówkę, krzyknął: „Ja przyszedłem bronić Ojczyzny, a nie na placówki jeździć!“ Pan Imański nie był więc ani bardzo posłusznym, ani miłym kolegą. Razu jednego rozciągnął się w stajni na derce, głowę przykrył czerwoną chustką w kraty i zasnął twardo, jak to się śpi w upał po obiedzie. Sierżant budzi go raz i drugi, narreszcie zniecierpliwiony uderza nogą tam, gdzie się zwykle nogą bije — pozycja tylko stosowna mogła go do tego gwałtownego aktu pociągnąć. Pan Imański zaś, jak ów sztuczny diabełek w tabakierce, jednym szusem stał na derce. Zbudzony nagle ze snu, który go może na sto koni wsadzał, zapomniawszy Ojczyznę, ułaństwo i artykuły trzykroć mu czytane, pamiętny tylko klejnotu swego szlachectwa i bolącej części swojej osoby... odwinął się... machnął... kłaso! Sierżant dostał policzka... Zbrodnia!... A więc i sąd niezwłoczny. Pan Adam Potocki, nowy pułkownik nowego pułku, poprawia sobie to szlify ⁷⁴, to okulary, co u niego było oznaką nadzwyczajnego wzruszenia... Nie wiedzieć jednak, czy się smuci zgorzeniem, czy się cieszy wyprawieniem solennego aktu, który powiększy anale ⁷⁵ i pułku i jego dowództwa.

Nota. Pan Adam Potocki był szlafmycą ⁷⁶. Koniec Noty.

Sąd zwołany — ale co tu sądzić — przestępstwo jawne — prawo jasne: „Za targnięcie się na przełożonego — kara śmierci“. Piszą dekret... Imańsiu, oddaj się Bogu! Działo się to w Tyszowcach... Znacie Państwo Tyszowce?... Nie.. I lepiej! Jest to ni duże, ni piękne miasteczko w Bełzkim. Cały pułk występuje, ale dla równości pie-szo, bo tylko jedna kompania miała konie, z lancami, bo pałaszy niedostawało. Na prawym skrzydle stanęła kompania wyborcza w szlifach i akselbantach pąsowych, a przy niej, w drugiej kompanii nazwanej ptaszników, w drugim szeregu wielu było i bez ostróg, bo butów nie miało. Ta druga kompania była złożona z samych dzieci lwowskich, po największej części latarników. Starsi żołnierze, nie służbą ale wiekiem, przewali ich ptasznikami, co później dziennym

⁷⁴ Naramienniki oficerskie, epolety. ⁷⁵ Kroniki.

⁷⁶ W znaczeniu — niedolega.

rozkazem zostało zakazanym. Dalej stały kompanie rekrutów, czapeczki tylko granatowe z paskiem pąsowym świadczyły, że będą kiedyś wojskiem. Przed frontem stał jako pryncypalny⁷⁷ aktor kapitan Żurawski z komendą swoją, to jest z kilkunastoma tak zwanymi żandarmami samborskimi czy sanockimi, w zielonych mundurach z czarnymi wyłogami. Karabiny nabite (przynajmniej powinny były być nabite). Wyprowadzono delikwenta⁷⁸, i gdy mu dekret przeczytano, gdy się jeszcze ceremoniował zająć miejsce honorowe... wypada spoza stodoły niby zadychany adiutant... kiwa chustką... woła, krzyczy: „*Pardon! pardon!*“⁷⁹ Ile sobie przypominam, pan Imański, miarkując z jego twarzy, nie zdawał się wierzyć w prawdę tej sceny, jednak wkrótce potem wystąpił z wojska.

W rok później sądziliśmy podobnie jakieś wojskowe przestępstwo w Krasnymstawie. Pułk już był starszy, miał kilku dawniejszych oficerów, jednym słowem, był już pułkiem. Szef szwadronu Tomicki prezydował. Między innymi zasiadał kapitan Orzelski, legionista. Dopiero co był przyjechał ze starą żoną i dwoma mułami, co było zjawiskiem ucielnym wówczas dla wszystkich, tak w Krasnymstawie, jak i w całej Lubelskiej ziemi. Zasiadł także pięćdziesięciokilkoletni Brzozowski, porucznik Kościuszkowski; tego nie zdołał zmusić pułkownik z całą radą gospodarczą do podcięcia pól kurtki i do podniesienia stanu. Zamiast pasa z klamrą, ledwie nie pod pachą, jakeśmy wtenczas nosili, nosił go niżej brzucha... zamiast pałasza spuszczonego aż do kolana, nosił swój tak krótko, że w tył podany ledwie ostróg sięgał. Przedrwiwano z Kościuszkowskich, że się nie dość francuszczyli, przedrwiwano później Napoleonczyków, że nie mieli dość Konstanynowskiej lalkowatości⁸⁰ — *mutantur tempora* etc.⁸¹

Feliks Boznański był reporterem, a kiedy Orzelski na swojej karteczce, skurczywszy indeks⁸² na piórze jak Turek nogę na kulbace, zaczął pisać z zadziwieniem i rozweseleniem razem czytających

⁷⁷ Główny. ⁷⁸ Skazańca. ⁷⁹ Ułaskawienie.

⁸⁰ W. ks. Konstanty, wódz naczelny armii Królestwa Polskiego (1815—1830), przesadnie dbał o zewnętrzny wygląd i o strojne umundurowanie wojska.

⁸¹ Zmieniają się czasy. ⁸² Palec wskazujący.

mu przez ramię: „Kara śmierci“, Boznański zwrócił ku niemu krucyfiks i rzekł: „Na rany Tego — pisz lepiej!“ Wtenczas powstał śmiech, jak pewnie nigdy w żadnym sądzie nie słyszano, a winowajcy nie otrzymali i połowy kary, na którą zasłużyli.

Nie tak ucieszenie skończyła się sprawa w Lublinie, o której moim zwyczajem zacząłem mówić i nie skończyłem.

Jako reporter nie wotowałem⁸³ w sądzie, Bogu dzięki, a jednak przykre to dla mnie przypomnienie.

Kapral 13 pułku piechoty stojącego w Zamościu wyszedł w nocy z ośmiu żołnierzami na łówkę kartofli. Wracając koło karczmy, pociągnięci wonią anyżu, pukają do drzwi, a gdy Żyd niegłupi otworzyć nie chciał, odbijają okiennicę siekierą, włączają przez okno, piją do woli, a na końcu (tu sęk!) żądają pieniędzy. Dostało się każdemu, dobrze pamiętam, po 5 zł. gr. kilka.

Oskarżeni o kradzież z wyłamaniem zamknięcia, czyli mówiąc po polsku o rabunek, stanęli przed sądem. Winę kaprała powiększała ta okoliczność, że był zbiegiem rosyjskim, nie można go było za nowego żołnierza uważać, że podkomendnych namówił do marnoty⁸⁴, że nareszcie postawił jednego na straży, nim się do karczmy zbliżył, co dowodziło wcześniej z namysłem chwycone przedsięwzięcie. Na jego zaś niewinność można było powiedzieć, że wyszedł z wojska rosyjskiego, gdzie złodziejstwo mniej surowo traktowano, że był przesiąknięty, żeby się tak wyrazić, innym pojęciem cudzej własności, zwłaszcza kartofli, niż to, jakiego teraz od niego wymagano, że nareszcie on, kapral, pamiętny słów Hipolita do Tezeusza⁸⁵:

*Ainsi que la Vertu — le Crime a ses degrès*⁸⁶.

(co, *par parenthèse*⁸⁷, z przeproszeniem pana Rasyna, jest nonsensem⁸⁸, bo występek kroczy po szczeblach, ale nie cnota), mógł był wnioskować z niej jaką pewnością, że i kara *a ses degrès*⁸⁹, a nie widząc

⁸³ Głosowałem.

⁸⁴ Rabunku. ⁸⁵ Osoby występujące w tragedii Racine'a *Fedra*.

⁸⁶ Podobnie jak cnota, tak samo i występek ma swoje szczeble (tj. może być większy lub mniejszy).

⁸⁷ Nawiasem mówiąc. ⁸⁸ Niedorzecznością.

⁸⁹ Ma swoje szczeble (może być różna).

w wojsku polskim pałek, nie mógł wierzyć słuchając o karze śmierci, *que la Charte soit une vérité*⁹⁰.

Mniej jeszcze winnymi byli współoskarżeni, młodzi ludzie, nowi żołnierze, z równie pustym najczęściej żołądkiem jak i kieszenią, bo płaca rzadko kiedy kapnęła. Dlatego też nielegalne wycieczki za żywnością bywały karane tylko na zaskarżenie uszkodzonego. Patrzano przez szpary, a każdy, jak ów dzban, nosił wodę póki ucha stało.

Książę Józef potwierdził wyrok pierwszego i wtórego sądu. Miał on wiele powodów do rozwinięcia całej surowości prawa. Wojkowość panowała w Księstwie Warszawskim żelaznym berłem. Mało znaczył obywatel, a jego własność jeszcze mniej. Pod rządem militarnym — jeżeli obywatel więcej znaczy od konia szeregowego, za to o wiele mniej od każdego szeregowca. Niedosć kwaterunek napełniający dwory i zajezdne domy nieproszonymi gośćmi, niedosć rekwizycje⁹¹ otwierające spichlerze, a czasem obory i stajnie, jeszcze nikt nie był w stanie ustrzec od napaści swoich owoców w sadzie, swoich stert w polu. Do wszystkiego współka, częstokroć nawet i do... Pani zgadujesz, więc zamilczę. Po wsiach oficerowie, chcąc koncentrować⁹² swoje oddziały, wyłamywać kazali ściany, przerabiali na stajnie chłopskie stodoły. Ja sam w Soleckiej Woli cieszyłem się z moich rozporządzeń i przeistoczeń, nie pomyślawszy ani razu, czy nie niszcę gospodarza zajmując całe jego obejście. Wina to była właściwie starszych. Żołnierz rolnikowi zaglądał głęboko do garnka i do brogu, a wszelki opór pociągał za sobą niebezpieczeństwo osobiste. Ekscesa⁹³ żołnierskie powtarzały się często, coraz częściej. W Hrubieszowie obywatel z sąsiedztwa, Guzowski, dostał od ułanów obszerną etymologią⁹⁴ swojego nazwiska... Natenczas pan Guzowski, jak ów leśniczy... ale to inna historia... że zaś niedługa, więc powiem.

Oto tak było: Pewien leśniczy, przedwczesnym pochwycony patriotyzmem, w zielonej kurcie z siwymi barankami i w czapce

⁹⁰ Aby było w zgodzie z prawem.

⁹¹ Przymusowe świadczenia dla wojska. ⁹² Skupić.

⁹³ Wybryki, nadużycia. ⁹⁴ Pochodzenie (Guzowski od „guza“).

z kutasem dosiadł żrebnej kobyły i widząc harcujących ułanów 5 pułku przyłączył się do nich. Kiedy się zwiżał jak mógł najlepiej, jeden z wiarusów, czy krótkiego wzroku, czy podpity, czy nie mogąc wstrzymać zamachu, czyli też nareszcie biorąc patriotę w nieznanym stroju za jakiego wicehuzara, wałnął go w łeb drzewcem, a grottem... w udo ugodził... Wtenczas leśniczy, z tym uczuciem, z jakim Brutus pod Filipami⁹⁵ wyrzekł: „Cnoto, jesteś niczym!“ — zawołał chwytając się za część uszkodzoną: „A niech diabli biorą z taką Ojczyzną!...

Otóż i pan Guzowski mógł być wykrzyknąć to samo... i pewnie wykrzyknął, kiedy ściągnięty z bryczki wziął w skórę za to, że przed paru dniami złapał w swoim grochu kilku żołnierzy. Okropna zniewaga, straszna swawola, a jednak prawdę mówiąc, lubo winni zostali ukarani, nie wzbudzał ich występki między oficerami należącego oburzenia.

Pod Warszawą zaś Kuszell, kapitan huzarów, pijany, przeczuł metodę Prischnitza⁹⁶, kiedy szlachcica, jadącego w dzień ciepły w futrze, kazał z futrem wciągnąć do Wisły, aby się z nim razem kąpał.

W Chełmie wobec oficera, a co więcej jednego z mnichów, kapral Czekierski kapralowi Bilińskiemu dał ślub w zakrystii.

Inni pułkownicy, żyjąc w przyjaznych stosunkach z obywatelami, przytłumiali na miejscu zdarzające się wybryki swoich podkomendnych, ale pan Adam Potocki, jak to wyżej w historycznej nocie miałem honor powiedzieć, był szlafmycą⁹⁷. Miał żonę, a żona siostry... *suprême bon ton!*⁹⁸ Elegancja wielka, fuma wielka, większe nawet niż dochody. Te damy otoczone najświetniejszą młodzieżą ich towarzystwa lwowskiego, przemienioną nagle w korpus oficerów 11 pułku, nie dbały o parafiańskie znajomości. Traktowały z góry i cięły bez litości, co się nawinęło, do czego im nie brakło na ostrych żądełkach. Obywatelki zatem, jeżeli lubiły korpus oficerów, nie lubiły sztabu, obywatele zaś nie lubili ani sztabu, ani zbyt czasem

⁹⁵ M. Brutus, morderca Cezara, w bitwie pod Filippi 42 r. poniósł klęskę.

⁹⁶ Wincenty Priessnitz (1799—1851) wynalazca leczenia zimną wodą.

⁹⁷ Niedołęga. ⁹⁸ Najlepszego towarzystwa.

grzecznych oficerów. Każda więc skarga szła prosto do ministra wojny, księcia Józefa.

W kilka dni po zawieszeniu broni oddawszy depezę generałowi Fiszer w Krakowie, usłyszałem od niego ogromną burę. Łajał we mnie, skromnym podporuczniku, pułkownika i pułk cały. Ślusarz przewinił a kowala powieszono. Zbity z terminu niespodziewaną, a mniej jeszcze zasłużoną naganą, zostałem potem wniwecz obrócony przycinkami oficerów w głównej kwaterze względem mniemanego dowództwa pani pułkownikowej, tak dalece, że już wtenczas chciałem z pułku wystąpić. Za wstawieniem się mego brata, którego zastałem w Krakowie, ofiarowano mi miejsce w mającym formować się pułku kirasjerów Stanisława Małachowskiego, ale wróciwszy do pułku, zakochałem się i zostałem na miejscu. Przestałem już jednak lubić swój mundur, co jest bardzo źle, i dlatego też później przeszedłem chętnie do 5 pułku strzelców konnych.

Idąc po nitce do kłębka, owa bura Fiszera była więc pierwszym powodem wszystkich nieprzyjemności, a raczej przykrości, których w dalszej mojej służbie wojskowej doznałem, a przeto i powodem do tej goryczy, co tak wcześniej zaczęła wsiąkać w duszę moją.

Prawdę mówiąc, nie brakło w moim pułkowym sztabie dworujących intrygantów i kobiecego wpływu, ale by miała pani Adamowa rządzić pułkiem samowładnie, aby wydawała bony na poziomki, kurczęta albo śmietankę, to bajki wierutne, bezczelne. A jednak te bajki obiegały całą armię i pułk 11, po części może przez zawiść, bo żaden pułk tak świetnego nie miał korpusu oficerów, był powszechnie nielubionym⁹⁹.

⁹⁹ Oficerowie pułku 11: Pułkownik Adam Potocki, major Tański. Szefowie: książę Wincenty Woroniecki i Tomicki. Kapitanowie: Starzeński, Wesołowski, Komorowski Franciszek, Korn, Sulimierski Anastazy, Kraśnicki. Porucznicy i podporucznicy: Aleksander Stadnicki z Boratyna, Jan i Seweryn Drohojowscy z Krukienic, Józef Baworowski z Smolanki, Modest Dulski, Ignacy Szumlański, Roman Załuski, Potulicki, Mossakowski, Boznańscy, Pietruski Józef, Henryk Zielonka, Maksymilian Chojecki, Augustyn Drohojewski, Dąbrowski, Zagórski, Wincenty Nowicki, Jan Boski, Czarnek, Koźmiński. Kapitan-adiutant-major Twardowski, a po nim Smoliński. Kapitan-płatnik Zwierzyński. Z samego początku Szef Adam Bierzyński. Kapitan Aleksander Błęadowski. (*Przypisek autora*).

Wojsko polskie wówczas było piękne, świetne, pełne honoru i odwagi, ale jego życie młode, za obfite, za wiele fermentujących¹⁰⁰ cząstek zawierające, występowało często z krawędzi obywatelskiego porządku. Nie brakło praw surowych, nie brakło i na zastosowaniu tychże, ale brakowało, że się tak wyrażę, policyjnej karności w szwadronach (zbyt trudnej wprawdzie, gdzie żołnierz niepłatny). Nie było szczebli kary i szczebli zastosowanych do ówczesnych okoliczności. Kara ociągała się często, aby w końcu uderzyć surowo, nad miarę. Bądź co bądź, przykład stawał się potrzebnym. Książę Józef potwierdził wyrok sądów wojskowych lubelskich w sprawie żołnierzy pułku piechoty.

Nie spałem noc całą, trawiony dreszczem i gorączką naprzemian. Rano wzięłem na siebie wielki mundur, na głowę czapkę z kitą i udałem się z wyrokiem do uwięzionych winowajców.

Więzienie, gdzie musiałem wstąpić, było takie, jakie sobie młodzież czytająca romanse zwykle wystawia. W części zachowanej opustoszałego jezuickiego klasztoru, po ciemnych schodach, a raczej szczątkach schodów, między murami czarnymi wiekiem a mokrymi wilgocią, wszedłem do korytarza, gdzie ni okien, ni stropu, a światło wciskało się tylko dziurami o dwa piętra wyższego dachu. W głębi korytarza w izbie sklepionej, silnymi kratami opatrzonej, stał na środku stół, na stole krucyfiks. Przy drzwiach dwóch grenadierów cicho usunęło w krzyż sparte karabiny, bo i ja cicho postępowałem ku nim, jak gdybym się bał kogo obudzić, jak gdybym chciał stłumić złowieszczy odgłos mych kroków. W alkierzu na lewo pacierze mówiono.

Dopiero po przeczytaniu wyroku przeprowadzają więźnia w inne miejsce i księdza przywołują. Ja jednak tak zastałem, jak powiadam. Może z niedoświadczenia uchybiono zwykłym formalnościom.

W alkierzu na tapczanie siedział więzień, głowa na piersi zwieszona, ręce na kolanach złożone, obok niego kapucyn. Wstali obadwa. Mnie głosu zabrakło, ale i w całym gmachu jakby wszelki ruch zastygł, życie cofnęło się w serca, postawy były jak z kamienia. „Przy-

¹⁰⁰ Burzliwych.

noszę ci wyrok sądu“, odezwałem się nareszcie i lubo cicho przemówiłem, głos mój tak przykro się rozległ, że groźnie wkoło spojrziałem, jak gdybym chciał milczenie nakazać. „Przynoszę ci wyrok sądu“, powtórzyłem. — „Wiem, wiem, panie poruczniku... ale cóż ja tak wielkiego zrobiłem. Zlituj się nade mną. Ratuj mnie“. — Ukląkł, objął moje kolano i zaczął głośno płakać. — „Nie lękaj się, rzekłem, wiem, że dostaniesz pardon na placu... Jesteś na śmierć skazany“. — Potem rozwinąłem długi wyrok i tylko potwierdzenie ministra wojny przeczytałem. Bo każdy podobny słuchacz może powiedzieć jak Książę Moskwy: „Na co tych frazesów, Michał Ney i garść prochu“¹⁰¹. Przeczytałem więc prędko i kazałem mu przynieść wódki. Stamtąd poszedłem do wąskiej, długiej izby na drugim końcu korytarza, gdzie od kilku miesięcy reszta winowajców czekała wyroku. Tam z wybladłych i zarośniętych twarzy wytrzeszczone oczy wlepiły się we mnie, jakby własny słuch wyprzedzić chciały. Przeczytałem: „Osiem lat więzienia w kajdanach“. Jeden tylko jęk odpowiedział, jęk głęboki, przeciągły, którego nie zapomnę póki żyć będę.

Nazajutrz na placu pod Kapucynami, tam gdzie teraz pałac komisji wojewódzkiej, czyli raczej, niestety, gubernialnej, odczytałem raz jeszcze wyrok z konia wobec oddziałów z różnych pułków zgromadzonych na tę okropną uroczystość. A gdy konia zwróciłem, huknęły wystrzały jakby jeden. Wyrok został spełniony.

Głodny za kartofle... biedny za pięć złotych!... Śmierć! Więzienie!... Konieczność! Konieczność konieczna, wyparta zbiegiem okoliczności. Okoliczności zatem jak kostki... jak padną, taka liczba.... Ale kostkami gracz ciska, a okolicznościami niewidoma ręka... i dopiero wtedy dowiadujemy się o grze, kiedy już za nią płacić trzeba.

Drugiego dnia po tej przeprawie byłem blady, nic nie jadłem... trzeciego byłem smutny, nic nie jadłem, a czwartego wieczór grałem u generałowej Kamienieckiej w pantofla, jakubka i ciuciubabkę.

¹⁰¹ Michał Ney, książę Moskwy (1769—1815), dzielny wódz w armii napoleońskiej; po klęsce Napoleona pod Waterloo został uznany za zdrajcę i rozstrzelany 7 grudnia 1815 r. w Paryżu.

Ach ciuciubabka! Któż z nas nie grał w ciuciubabkę? Bo któż nie był młodym? Ileż to w niej wspomnień, od kolebki prawie, swawoli, guzów, śmiechu i płaczu! W ciuciubabce byłem biegleszy niż niegdyś w gramatyce, niż potem w reporterstwie... i to o bardzo wiele. Ale ta biegłość wzbudzała oklaski, oklaski miłość własną, miłość własna zuchwalstwo, a zuchwalstwo ściągnęło katastrofę, o której przemilczeć nie mogę.

Co prawda to prawda, byłem wspaniały, kiedy na środku salonu, z zawiązanymi oczyma, rozciągnąłem ramiona jak orzeł zawieszony w powietrzu, nim na poziome ptactwo uderzy... Cisza wołała... ani mru mru... puszczam się nareszcie jak z procy... Smer, krzyk, pisk przede mną i za mną — krzesła się wała, a ja pędzę, gonię i chwytam... piec. Nic nie szkodzi, — śmieście się!... Zwracam się niby na łyżwach, posuwisto, pochyło a szeroko ruszam w inną stronę. — „Okno!“ krzyczą,... ja na prawo. — „Świece!“ wołają,... ja na lewo. Potem nagle, niespodzianie, bo w tym sztuka, skręcam od prawego ku lewemu i jak gdybym kosę w trawie zapuszczając, macham w półkola, garnę spłoszoną zgrają... od kąta, do kąta... bliżej, coraz bliżej... aż nareszcie uchwycę w objęcia jaką kitajeczkę, jaki muszlinek ¹⁰², uchwycę i uściskę, im słabsze tym silniej...

Ale nie tu jeszcze mój tryumf. Ściganym będąc wyzywać, dopuścić niebezpieczeństwo do samej ostateczności, a dopiero wtedy śmiałym skokiem albo zwrotem wymknąć się gładko, to było moim zadaniem, to zaletą posuniętą oklaskami, a nade wszystko uśmiechem panny Anieli, do najwyższego szczytu chwały.

Widok pomyślności jest przyjemnym, pomaga do strawności, jeżeli zawiść nie zawieje. Widok walki człowieka z przeciwnościami, czyli jak mówią poeci: z nieprzyjaznym losem, jest podług tychże widokiem godnym bogów. Byłem tym widokiem jeśli nie bogów godnym, to godnym generała Kamienieckiego w peruce i nieco kulającego i nieco jękającego się szefa sztabu. Ale każda walka ma, jak kij, dwa końce. Ślisko zawsze pod nogami. Im wyżej się stoi, tym ciężiej się pada. Tak się ze mną stało.

¹⁰² Materiały używane na suknie kobiece; tu w przenośni — kobiety, panienci.

Razu jednego ścigany od zawziętego przeciwnika, mego rywala, któremu nos ogromny wznosił na oczach przepaskę, byłem przyciśnięty, zamknięty w kącie, jak księżna Berry w kominie¹⁰³. Już czuję nie dym, lecz oddech wroga na mojej twarzy... Już poddać się trzeba... Ale nie... Schylam się, zginam w kłębek i horyzontalny ponad ziemię biorąc zapęd szalony, wysuwam się na środek. Bravo! bravo! zagrzało wkoło, ale jeszcze nie przegrzało, kiedy tracąc równowagę... nie powiem padam... bo to wyraz za słaby, ale rzucam, ciskam sobą pod fortepian, aż mi sto świeczek zaświeciło! Leżę jak długi,... leżę i nie wstaję... bo czuję, że na lewym kolanie, nie ciało, nie kość, ale sukno pękło.

W istocie rzeczy, przypadek ten względem świata był mało znaczącym i nie krzywdzącym mnie bynajmniej... i Salomon jeżeli go nigdy nie doświadczył, to nie dlatego, że był mądry, ale dlatego, że spodni nie nosił. Nie nosił pewnie, i znane przysłowie¹⁰⁴ jest jednym z najzuchwalszych anachronizmów¹⁰⁵. Względem świata nic nie szkodziło, ale względem mojej osoby nad miarę wiele, bo to były moje jedne i jedyne spodnie do wicmunduru, to jest do fraka.

Powinienbym może przeprosić, że używam wyrazu będącego pod klątwą w naszych salonach, jednak nie przeproszę, bo kasty¹⁰⁶ uważam za śmieszność wszędzie, a tym bardziej w odzieży. Dlaczego suknie wierzchnie mają być coś szlachetniejszego od sukni spodnich? Dlaczego w rodzinie tych ostatnich rodzaj żeński cały honor pod siebie garnie? Mówię o spodnicach. Dlaczego nazwę jednej najpotrzebniejszej rzeczy wypędzać z języka, a w koniecznym razie szukać figur bez sensu, aby ją oznaczyć. Jak gdyby nazwa zmieniała istotę wspomnianego przedmiotu, jak gdyby na migi nie można wskazać coś nieprzyzwoitego. Zapewne, spodni nie wezmę za przedmiot ballady,

¹⁰³ Maria Karolina (1798—1870) żona Karola Ferdynanda ks. Berry, zamordowanego w 1820 r.; po rewolucji 1830 r. we Francji usiłowała wprowadzić na tron francuski swego syna, Henryka; prześladowana przez przeciwników przez pięć miesięcy przebywała w kryjówce, do której wejście prowadziło przez komin.

¹⁰⁴ Mądry jak Salomonowe portki.

¹⁰⁵ Błąd w oznaczeniu czasu wydarzenia.

¹⁰⁶ Zamknięte, odrębne grupy ludzi.

ani też je jak Napoleon swoje N wcielę w porządek architektoniczny¹⁰⁷, ani je umieszczę w pierścionku lub medalionie z napisem: *Souvenir*¹⁰⁸, ale mówiąc z francuskim satyrykiem:

*Je ne puis rien nommer si ce n'est par son nom,
J'appelle un chat — un chat et Rolet un fripon*¹⁰⁹.

A zatem spodnie nazywać będę spodnie... Ach! fi! Nieprzyzwoitość! — krzykną kongregatki¹¹⁰, za którymi wszelkie wspomnienie daleko już leży. Ależ moje Szanowne Panie, chciejcie się zastanowić, że tam gdzie absencja^{110a} jest nieprzyzwoitością, tam obecność musi być przyzwoitością i nazwać ją — hańbą być nie może.

Po tej krótkiej rozprawie, która aczkolwiek za rozprawami Towarzystwa Rolniczego Lwowskiego i trzewików nosić niegodna, ma jednak swoją zaletę, bo oczyścić usiłuje język z niepotrzebnych minoderii¹¹¹, wracam do mojej szkody.

Naprawił ją wprowadzie misternym ścięciem krawiec Majorco tak dalece, że strój rzeczony służył mi jeszcze czas jakiś na wieczory niezbyt jaskrawo oświetlone, zwłaszcza że mój giermek zawsze świeżo atramentem bliznę zapuszczał, że pamiętałem pałasz trzymać wzdłuż nogi i że zawsze tyłem do światła starałem się stawać, ale rozerwane a sklejone nie trzyma się długo... nawet małżeństwo, a cóż dopiero!... Folgować¹¹² więc zaczęły na piękne, tak że koniec końców, obliczywszy i długi, musiałem konia sprzedać... bo łatwiej się obejść bez jednego konia jak bez jednych spodni, a nie wiem czy już powiedziałem, że byłem zawsze goły jak święty turecki.

W pułku jazdy zbyt ubranym, a rzadko kiedy płatnym, miałem z domu wszystkiego sto dwadzieścia dukatów rocznie. Kiedy nadeszła półroczna rata, spłaciwszy z niej dłużki, pożyczony nieco kolegom i potraktowawszy trochę, niewiele się zostawało. Było to

¹⁰⁷ Za czasów Napoleona umieszczano często pierwszą literę jego imienia na gmachach publicznych.

¹⁰⁸ Pamiątka.

¹⁰⁹ „Nazywam wszystko właściwą nazwą, — kota nazywam kotem, Roleta nicponiem“. Jest to wiersz Boileau'a, poety francuskiego z XVII i początków XVIII w. Rolet — prokurator francuski w XVII w., znany ze skąpstwa i chciwości.

¹¹⁰ Zakonnice, mniszki. ^{110a} Nieobecność. ¹¹¹ Mizdrzenia. ¹¹² Popuszczać.

właściwością owych czasów prawdziwego koleżañstwa, że nikt się nie troszczył, jeżeli grosza nie miał w kieszeni. Nikomu na myśl nie przyszło odmówić koledze obiadu, sukni, nawet butów w nagłej potrzebie.

O dwóch złotych przyjechałem do Lublina jako członek sądu wtórego, ale ledwitem wyszedł na miasto, spotkałem kolegę, który po zwykłym przywitaniu zaraz zapytał: „A ty pewnie goły?” — „A jużci“, odpowiedziałem. — „Przychodźże do mnie na obiad“. — „Dobrze“. — Tym kolegą był Franciszek Komorowski, najlepszy człowiek, ale najgorszy żołnierz. Będąc wujem pani Adamowej, został kapitanem od razu w pułku jej męża. Kiedy się rozgniewał na żołnierza, co się rzadko zdarzało, nazywał go Gamułą, nazwano go też i jego samego Gamułą. Żadnej komendy nigdy nie mógł pojąć. Stojąc odwrócony do frontu swojej kompanii, komenderował podług swojej ręki w prawo albo w lewo, dlatego kiedy zwrócił konia, kompania maszerowała prosto na dom, a on drogą w przeciwną stronę. Śmiano z Gamuły, ale go lubiano, bo wszystkim się podzielił. Daj ci Boże niebo, poczciwy Komorowski, za twoje dobre serce, za twój barszcz i pieczeń, które lepiej smakowały niż później przysmaki Verego albo Beauvillego¹¹³. Ale i Gamuła nie spoczywał na pieniądzach i był znacznie niższy ode mnie, nie mógł więc pokryć mego deficytu¹¹⁴. Zatem, obliczywszy nieodzowne potrzeby, konia trzeba było sprzedać.

Kapitan Lemański z 3 pułku piechoty dobijał targu u Kowalewskiej przy kiełbaskach z kwaśnym sosem. Chytry piechur czytał w mojej myśli, a raczej kieszeni, bo zaciął się w cenie jak się w mowie zacinał i kupił tanio. Wątpię jednak, aby miał pociechę, bo to był koń dziwnego charakteru. Szpakowaty, duży, niezgrabny, szedł zwykle jako tako, ale czasem, kiedy, jak mówił Rusin, *prystupyło do neho*¹¹⁵, zadzierał głowę, jakby chciał gwiazdy na niebie liczyć śród południa, i z największą flegmą kroczył przed siebie, niebaczny na wszelkie szarpanie albo razy swojego jeźdźca, szedł stępą póty,

¹¹³ Vero i Antoni Beauvilliers — słynni restauratorzy w Paryżu w końcu XVIII i w początkach XIX wieku.

¹¹⁴ Niedoboru. ¹¹⁵ Naszło na niego.

póki nie wałnął łbem w mur lub jakie drzewo, albo póki się nie potknął na rowie lub płocie i pyskiem ziemi nie uderzył. Znałem ja i ludzi podobnego charakteru. Nie zbłąkani ani pędzeni namiętnością, ale z wszelką zimną krwią, rozumiejąc jak najpiękniej a działając inaczej, idą pomimo napomnień przyjaciół drogą niewłaściwą, aż póki kozła nie wywrócą. Trzeba przyznać, że mnóstwo skłonności narowów końskich napotykamy w ludziach. Nie jest że ten podobny do płochliwego konia, zwanego po niemiecku *Bodenschen*?¹¹⁰ Wszystkiego się lęka, własnego cienia, ciągle w zimnym pocie trwogi, rzuca się często w bok z dobrej ścieżki w kałużę, i nie dość że sam się zabłoci, jeszcze drugich obryzga. Albo ten, co jak narowista szkapa nie chce z miejsca kroku zrobić, sam nie wie dlaczego. Albo ten, co zbyt drażliwy na najmniejsze dotknięcie, cofa się, cofa i cofa, choćby za nim i przepaść była. Ten, co wierzga i gryzie, i dlatego tylko, aby gryzł i wierzgał, więcej wprawdzie do osła albo do muła niż do konia podobny. Ten, co ledwie uczuje łagodną rękę, już ci na kief bierze. Ten, który póty dobry, póki batog nad nim. Albo nareszcie i ten co, nie hamując swoich dobrych chęci potrzebną rozważą, ciągnie, dźwiga ciężar nad siły, co się nie ogląda na drugich, bo nie zgaduje, nie pojmuje innej natury jak tę, którą czuje w sobie. Szlachetny szaleńcze! Smutny twój zawód, smutny koniec! Idącego naprzód ścigać będą kamienie zawiści, ustającego — drwiny chłopcza, upadłego — oszczerstwo pogrzebie.

Ale kiedy mowa o koniach, powiedz, Księżę Proboszczu, albo ty kochany Doktorze, czy nosił was kiedy wierzchowiec, wziąwszy na kief? Nie tak jak ów szpakowaty kapitana Lemańskiego, ale na piękne, co się zowie, cwałem, co może wyskoczyć? — Nie? — nigdy? — Szkoda, bo przyznalibyście mi niezawodnie, że gdyby najgenialniejszy człowiek dawniejszych albo nowszych czasów, Aleksander Wielki czy Napoleon, Mojżesz czy Marcin Luter siedział na unoszącym koniu, musiałby mieć arcygłupią minę, tak jak nieraz miałem, a szczególnie razu jednego w Warszawie. A to tak się stało.

Księżna Generałowa Czartoryska wyjeżdżała z Warszawy do Puław. Całe jej towarzystwo odprowadzało ją do Wilanowa. Męż-

¹¹⁰ Płochliwy (dosłownie „lękający się ziemi“).

czyżni, po największej części wojskowi, konno. Staś i Artur Potoccy, Franciszek Morawski, Skrzynecki, Krukowiecki, książę Konstanty Czartoryski, Raczyński Edward i Atanazy, Kicki, książę Sułkowski, Roźniecki, mój brat Maksymilian i wielu innych. Byłem wówczas w Warszawie na urlopie, swoich koni nie miałem. Maksymilian dał mi więc swoją klacz angielską, — bodajby była nigdy polskiego owsa nie jadła! Nim jeszcze pojazdy ruszyły, ja a raczej klacz moja już wpadła między przekupki pod Świętym Krzyżem. Gracko rozbiłem babski czworobok, nie ma co mówić. Krzyk, gwałt, kozły na prawo i na lewo, ale byłbym w końcu i siebie rozbił, gdyby jakiś przechodzący ułan nie był wariatką zatrzymał. Złowieszczy był to znak, trzeba było w domu zostać, jednak pojechałem. Przez Łazienki aż do Szolca ¹¹⁷ szło nie bardzo gładko, ale przynajmniej uczciwie. Mojej angielski grzbiet zgarbiony, uszy po sobie położone, szyja ciągle pracująca, jak gdyby przydłużyć się chciała, oznajmiały niejaką wewnętrzną niespokojność, która powoli i mnie udzielać się zaczęła. A wtem... ni z tego, ni z owego, jak się nie kopnie!... Strzała, wiatr! Pędzi jak gdyby zły duch przydujący na wszystkich łamikarkach angielskich ćwiczył jej boki. Trzymam, ciągnę, szarpię, a widzę, że wszystko nadaremnie, pochylam się napród i puszczam jej cugle. Udaję, że to nic... że ja tak chcę.. że się spieszę. Ale próżne udawanie! Nikt, kogo koń unosi, nie zwiedzie drugich, że dobrowolnie pędzi. Jeno się spojrzysz na jego w tył podaną głowę, w tył podane łokcie, ruch ciała nierówny, oczy ciekawie patrzące, co tam będzie na drodze, czego spodziewać się należy: skoku albo dwakroć niebezpieczniejszego zatrzymania w miejscu, — jeno się spojrzysz mówię, a łatwo poznasz, że bezwładne indywiduum ¹¹⁸ jest igrzyskiem szalonego losu, *alias* ¹¹⁹ szkapy. Poznano pewnie i moje mimowolne wyścigi, ale cóż robić... Pędzę, Farys ¹²⁰ nowy... Konnica z drogi... karety z drogi... a kiedy już wyminąłem wszystko, co się ruszało, moja Lady ¹²¹ zatrzymała się i ja na niej. Jechałem kawał drogi napród całego konwoju, jak kozak, co niegdyś w nie-

¹¹⁷ Szolec, albo Solec — dzielnica w Warszawie nad Wisłą.

¹¹⁸ Osobnik. ¹¹⁹ Czyli. ¹²⁰ Jeździec arabski. Tu aluzja do poematu Mickiewicza. ¹²¹ Pani (po angielsku), tu nazwisko klaczy.

bieskim kontusiku przodował sześciokonnej karecie Siemianowskiego, starosty korabiowskiego, z Koniuszek na sumę do Rudek. Jechałem powoli i po trosze kłąłem a po trosze poprawiałem, co mi się narużyło w mym nagłym marszu. Ale nie tu koniec. Ledwie pierwszy pojazd równał się ze mną, moja angielfka znowu w nogi i znowu stanęła. Tak pędząc i stając, jakby przy kalwaryjskich stacjach, dojechałem przecie Wilanowa, gdzie zsiadłem czym prędzej, aby do Puław nie zajechać. Generał Roźniecki, inspektor kawalerii, którego baliśmy się podówczas, jak się później bano Wielkiego Księcia¹²², albo jak się boi diabeł święconej wody, zbliżył się do mnie i zapytał: „Cóż to Wać Pan za sztuki pokazywałeś?“ — „Nie mogłem konia zatrzymać“, odrzekłem cienkim głosem. — „Nie trzeba tego mówić“, zawołał generał i postawił marsa, w którym był mocniejszym niż w czymkolwiek innym, „oficer kawalerii powinien być zawsze panem swego konia, inaczej koń oficerem, a oficer staje się koniem“. Na ten komplement pomyślałem sobie i niejedno, ale nic nie powiedziałem. „Bo inne myśleć, a inne mówić“, rzekłby ś. p. Wojewoda Podolski¹²³, mój antenat¹²⁴.

Roźniecki był generałem inspektorem kawalerii, która tylko tradycyjny miała regulamin. Zachodziły więc czasem małe różnice między pułkami, tak w komendzie jak i pomniejszych obrotach. Miał zatem zawsze pan inspektor, sam doskonały kawalerzysta, obszerne pole do poprawy i do nagany. Sadził się on na koncepta, z których nieraz i ten co był napominany musiał się roześmiać. Najwięcej to się zdarzało, kiedy kazał wystąpić oficerom w szereg do pokonnych obrotów. Konie dzielne, przyzwyczajone do ostrego zażycia, nie zawsze odpowiadały wymaganej dokładności. Powtarzane więc były w całej kawalerii koncepta¹²⁵ Roźnieckiego i nie-mało śmiechu wbudzały, bo przyznać trzeba, że były równie trafne jak dowcipne, a wyrzeczone zawsze z najsurowszym marszem na

¹²² W. ks. Konstantego, wodza naczelnego armii Królestwa Polskiego.

¹²³ Andrzej Maksymilian Fredro, głośny w XVII w. pisarz polityczny, ogłosił m. in. *Przysłowia mów potocznych*.

¹²⁴ Przodek. Przodkiem naszego pisarza wszelako nie był on w linii bezpośredniej. ¹²⁵ Dówcipy.

czole. Nikt pewnie w armii nie byłby wówczas przeczuł jego hańbieńnego końca ¹²⁶.

Wróciłem do Warszawy z dłuższym nosem niż wyjechałem. Dlaczego? — Bo mnie koń nosił. Ach, jakżeby mi się zdała owa twarzysta angiółka między Gotha i Eisenach! Niechby przydrzwiano, niechby jaki Roźniecki i przyciął dowcipnie, ja nie brodziłbym po błocie, ...bo między Gotha i Eisenach w czasie odwrotu wojska francuskiego spod Lipska było błoto. Strudzony, już nie skakałem z kamyka na kamyk jak zrazu, ale szedłem środkiem drogi obok markietanki, z której rąk skromne łyknąłem śniadanie. Szedłem ze wstydem w hurmie *trainardów* ¹²⁷, których rój zwykł bezpośrednio poprzedzać ariergardę ¹²⁸. Ich pstra, swarliwa, rozwlekła kolumna rozszerza się i niknie prawie wstępując do wsi, jeżeli się jaka trafi na samej drodze. Każdy jak pszczoła, a raczej jak szerszeń, szuka, gdzieby mógł jeszcze swój dziób zapuścić, aby czego zaczerpnąć, a za zbliżeniem się bębnow albo wystrzałów kolumna wysuwa się ze wsi kończato i znowu jak leniwy strumień płynie dalej drogą.

Kiedy tak idziemy, *moitié promenant, moitié chassant* ¹²⁹, jakiś szmer, jakieś poruszenie od czoła wzdłuż przechodzi. Słowo elektrycznej siły budzi i kurczy kolumnę w jedną dziesiątą część jej pierwotnej rozciągłości, tym słowem było: *cosaques!* ¹³⁰ A raczej podług wymowy konskrypcjonistów ¹³¹ francuskich — *cousaques!*

Żołnierz francuski, dzielny w boju, rzadko kiedy wypełnia rozkazy jako ślepa część całości, ale zawsze jak myślące indywiduum. Nikt nie zgadnie, w ilu francuskich tornistrach leży patent na pułkownika, generała albo marszałka. W armii francuskiej nie ma żołnierza, który by tak jak w rosyjskiej lub austriackiej uważał rangę oficerską za niepodobną do osiągnięcia. Ale ta sama indywidualność chwalebna w boju, gdzie zwykle więcej dusza niż ręka zwycięża, staje się w obozie i w marszu, a zwłaszcza odwrotnym, trudną do

¹²⁶ Aleksander Roźniecki (1774—1813), w 1813 r. był szefem sztabu ks. Józefa, od 1815 r. dowódcą jazdy w Królestwie Polskim i organizatorem policji tajnej oraz służby szpiegowskiej, po powstaniu listopadowym wysługiwał się władzom carskim w Królestwie.

¹²⁷ Gromadzie włóczęgów, łazików. ¹²⁸ Straż tylną.

¹²⁹ Na pół spacerując, na pół polując. ¹³⁰ Kozacy. ¹³¹ Rekrutów.

ujęcia w karby dyscypliny, zapewniającej trwałość szeregów. Wojsko francuskie trzeba aby szło z boju w bój, inaczej rozplywa się, niknie, nie tyle w ogniu, ile przez ciągle odstępowanie sztandaru w celu osobistej korzyści. Póki armia posuwa się naprzód, wlecze się za nią na parę mil wszere chmura maroderów i *trainardów*¹³², najwięcej demontowanych kawalerzystów¹³³ na krajowych szkapach, wózkami albo i pieszo. Od czasu do czasu, przy przejściu jakiego miasta lub rzeki, wysłani oficerowie sztabowi zatrzymują taką kolumnę, porządkują i odsyłają do właściwych pułków. W Saksonii byłem świadkiem, jak sam Cesarz tym się zajął i przy sobie kazał z furgonów nową broń bezbronnym rozdawać.

W odwrocie armii maroderzy, to jest żołnierze którzy oddalają się bez pozwolenia, wpadają po największej części w ręce nieprzyjaciela. W Starej Gwardii maroda była karana przewróceniem munduru do góry podszewką. Przy końcu, gdy już wszystko rozpręgać się zaczęło, widziałem ariergardę pułkową, jak strzelała do oddalających się grenadierów.

Dla Francuza kozak jest najnieznośniejszy. Francuz mówi do kozaka: „Daj mi zgotować moją zupę, bo bez zupy obejść się nie mogę, a potem bić się z tobą będę, póki zechcesz“. Kozak zaś odpowiada: „Bić się nie lubię i nie będę, ale nie dam ci ani jeść, ani spać póty, póki strudzonego nie schwycę bez niebezpieczeństwa“. Francuz lekkomyślny, kozak roztropny. Francuz nie dba i o życie, jeżeli je ciąglą strażą i ciągłym postem chronić trzeba. Kozak i trzy dni jeść nie będzie. Byle miał kawał chleba, nie stoi o gotowaną strawę, wszystko zniesie, byle niebezpieczeństwa uniknąć. Francuz porzuca swoją kolumnę, idzie sam nie wie gdzie, ni którędy powróci. Kozak ma niepojęty talent orientowania się, nigdy nie zapuści się tam, skąd cofnąć się nie można. Uchodzącego trudno dogonić, bo pierwiej wyrachował, jak dalece zbliżyć się można. Nie przetniesz mu drogi, nie wpędzisz na bagna, bo choćby pierwszy raz był w jakim kraju, zgaduje ledwie nie psim instynktem ścieżki i przesmyki, których trzymać się należy. Śpiącego nikt nie zeszedł. Czujny jak żuraw. Nie ma on szlachetnej odwagi, nie ma wstydu tchórzostwa. Nie ude-

¹³² Włóczęgów i lazików. ¹³³ Rozbitych, bezładnych.

rzy na nieprzyjaciela, jak tylko trzech na jednego. Na lufkę nie natrze za nic w świecie. Za pierwszym armaty wystrzałem niknie jak kamfora. Kozacy są niestrudzeni, na lekkich, wytrwałych, mało paszy i spoczynku potrzebujących koniach przenoszą się z wielką szybkością z miejsca na miejsce, aby się skupić i uderzyć niespodzianie na nieprzyjaciela, a zawsze w przeważającej liczbie. Pod Mirem 1812 r. sześć pułków ułanów, 6000 koni, jak las proporców, zostało rozbitych przez kozaków. Roźniecki chciał zrobić jakąś demonstrację¹³⁴ większych sił, rozciągnął linią, a kozacy wpadli z wszystkich stron, złamali, zwinęli w kłęb cały szyk przemądry, ścigali i brali co chcieli. Generał Dwernicki powiadał mi, że raz na manewrach pod Warszawą Wielki Książę mówił do niego: „Żeby był Roźniecki tak manewrował pod Mirem, nie byłby dureń wziął w skórę“. Ledwie odjechał, przypada Roźniecki i pyta, co mówił Wielki Książę? Dwernicki powtórzył z opuszczeniem, rozumie się, epitetu¹³⁵. A na to Roźniecki: „Ten dureń rozumie, że w batalii to jak na manewrach“. — I ten miał rację i tamten także.

Pod Romanowem 1 pułk strzelców konnych Przebendowskiego, jeden z najtęższych, obkoczony przez przemagającą liczbę kozaków, stracił połowę ludzi. Nieszczęsny to był wstęp kampanii.

I przy Wielkiej Armii służba jazdy małymi oddziałami stawała się niemożliwą. Wszędzie hurma kozaków. Dziesięciu na jednego. A cóż dopiero za Moskwą, gdzie pułki jazdy i po dwieście ludzi w szeregu ledwie liczyły, gdzie przy drodze źdźbła paszy nie było, gdzie o milę w bok, a czasem i więcej, trzeba było wysyłać, nie po siano, bo tego rzadko kto znalazł, ale po słomę, i to nieraz ze strzechy zdartą. Szła trzecia część pułku za furazem; z tej trzeciej części połowa tylko mogła go brać, bo druga połowa ucierała się z kozakami. Częstokroć zatem oddział po furaz wysłany wracał z próżnymi rękoma, o kilku ludzi mniejszy, a zawsze słabszy w koniach. Dodawano później furazerom oddział piechoty.

Kawaleria francuska zawsze niepokojona, zawsze trafiająca na przeważające siły, musiała uwierzyć w nieprzebraną liczbę kozaków,

¹³⁴ Pozór działania. ¹³⁵ Dosadnego wyrażenia.

tak że na końcu w jednym dziesięciu widziała, że nazwisko *kozaki* stało się wyobrażeniem nigdy niedosięgniętej i z wszystkich stron niespodziewanie jakby z ziemi wyrastającej, przemagającej siły. Dlatego z czasem kozak stał się powszechnym straszylem. W pamiętnym odwróceniu z Moskwy kozacy na lekkich koniach, nawykłych wraz z nimi do zimna i głodu, do śniegów i lodów, łatwą sprawę z Francuzami, rozłaziącymi się swoim zwyczajem na wszystkie strony właśnie wtenczas, kiedy skoncentrowane tylko siły mogły odpierać większe niepokojenie niż nacisk nieprzyjaciela, a przeto czynić bezpieczniejszym i wygodniejszym marsz dzienny i nocny spoczynek.

W armii francuskiej, ze względu na jej własność i usposobienie, podzieliłbym kawalerię na trzy rodzaje. Kawaleria przedniej straży na wzór kozaków, nic w niczym nie zmieniając, kawaleria liniowa i kawaleria tylnej straży, która by zbierała odłączających albo z tyłu wlekących się żołnierzy i formowała ich w oddziały. Te oddziały, nimby sposobność dozwoliła zwrócić je pułkom, robiłyby użyteczną służbę przy lazaretach i konwojach, a żołnierz wiedząc, że nie będzie mógł samopas wędrować, trzymałby się ściślej swojego szeregu. Ile to trudu i szkody nie wyrządziło czasem pojawienie się kilku kozaków między powózkami wlokącymi się za armią. Takie oddziały demontowanych kawalerzystów i pieszych maroderów czyniłyby podobne napaści zupełnie bezskutecznymi.

Wojsko francuskie, nieustraszone w boju, lękało się napaści kozackiej. Ta bojaźń, przechodząca czasem w paniczną trwogę, rozciągnęła się z 1812 r. i na późniejsze lata tej wojny. Okrzyk: „Nieprzyjacieli!“ znaczył tyle co: „Do broni! Naprzód!“ Okrzyk: *Cousaques!* tyle co: „W nogi, kto może!“

Widziano jednego wpół zgłodniałego i chorego konskrypcjonistę¹³⁶ francuskiego na takiej samej jak on szkapie, kiedy wszelkich sił i sposobów używał, aby ją skłonić do prędszego chodu, bo miał do tego ważne powody. Tłukł wpół złamanymi ostrogami, i pałaszem plązował, i sam posuwał się kulbace, jak gdyby sobą chciał naprzód popchnąć, i klął płaczkliwie: *Sacrrr... sacrrrée russe!*¹³⁷ Ale to wszyst-

¹³⁶ Poborowego, rekruta. ¹³⁷ Do licha... szkapo!

ko nadaremnie. Truchcika tylko mógł wydusić, a z tyłu za nim wrzawa coraz głośniejsza, bieda coraz bliższa. Nareszcie nieborak udaje się do ostatniego środka, do tego, który na nim największe robił wrażenie, chce nim konia zlektryzować, schyla się na kark, przybliża usta do ucha końskiego i krzyczy grubym głosem: *Cousaques! Cousaques!...* Ale koń zamiast dernąć, nie czując już ostróg, stanął nagle, a Francuz przez łeb zleciał. Co się dalej stało, nie wiem.

Wszystko to, co miałem honor powiedzieć, tłumaczy, dlaczego między Gotha a Eisenach słowo *cousaques!* wyrzeczone na czele, a dwakroć powtórzone z tyłu, skurczyło nagle, jak mówiłem, kolumnę *trainardów*, czyli po polsku mówiąc włóczęgów. Na górze po prawej stronie blisko wierzchołka stał w samej rzeczy oddział może dwudziestu kozaków i patrzył na nas, jak patrzy kot ze strzechy na wróble, czekając sposobności rzucenia się na nie. Ale w naszej kolumnie były karabiny tu i owdzie, a karabina kozak decydowanie nie lubi, — było nas i za wiele, gra niepewna. Ograniczyli się więc na obserwacji, konwojując nas wzdłuż drogi, a zawsze dalej, jak wystrzał mógł sięgnąć. Że zaś nikt nie mógł zgadnąć, czy za każdym pagórkiem nie ma ich więcej, podróż nasza straciła wszelką swobodność.

Nareszcie kto idzie, dojść musi, jeżeli nie zagręźnie jak Skrzynecki ^{137a}, a więc i ja doszedłem do Eisenach, spocony, zabłocony, w wykrzywionych butach i o jednej ostrodze. Biegnę czym prędzej do salonu służbowego. — „Mój płaszcz? mój płaszcz biały?“ — pytam, wołam — nikt nie widział, nikt nie słyszał. Płaszcz przepadł na hańbę rycerstwa sztabowego a utrapienie moje.

Zdaje się, że w odwrocie z Moskwy powinienem był wykupić się hojnie od wszelkiego zimna na całe życie. Ale nie. Przeznaczenie jednych kwiatami, a mnie szronem obsypało. Mróz był zawsze prześladowcą moim, nieraz ścinał mi słodki napój, którym młodość częstowała. Nawet w moich dniach pięknych, nie w Aranjuez ¹³⁸ ale w Lublinie, marzłem na kwaterze „pod Białym Koniem“. Smutne

^{137a} Przytyk do wodza naczelnego 1831 r. za jego opieszałość.

¹³⁸ Wspaniała siedziba królewska w Hiszpanii. Słowa poety niemieckiego Schillera w dramacie *Don Carlos*: „Minęły piękne dni Aranjuezu“ stały się przysłowiem, gdy się mówi o mimionych chwilach szczęścia.

tam przebudzenie, gdzie arabeski po szybach ¹³⁹, a sąple ¹⁴⁰ u drzwi, smutne przebudzenie, przykra toaleta, a cóż dopiero jaka bądź praca! Francuzi pletą o poetach, co gdzieś pod strychem grzali się własną fantazją. Ja takim zjawiskom nie wierzę. Zimno chwytą duszę pierwej niż ciało. W zimnej izbie nie ma mędrca.

Później w Wilnie w dużych pokojach pustych, gdzie mnie ukrył pocziwy Michał Mineyko, i śwędu nie było. Długie tam były dnie i noce moje. A teraz w Eisenach tracę płaszcz i znowu staję oko w oko z moim wrogiem, z zimnem.

Można sobie wystawić, w jakim humorze wyszedłem ze salonu i kiedy klnę różnymi językami, spotykam Onufrego. Wtedy, wyznaję ze wstydem, wyznaję ze szczerym żalem, uderzyłem niewinnego, uderzyłem mocno pomimo przekonania, że on nie mógł czekać na mnie z końmi w Gotha, że nie on winien, iż zaspiałem w niemieckich puchacłi, że pieszo podróżowałem i że płaszcz straciłem. Trzeba było zemścić się, zemściłem się na niewinnym. Wierzcie mi, moi Państwo, że tej czynności przebaczyć sobie nie mogę.

Zła to zawsze sprawa słabszego z mocniejszym. I nie każdy mocniejszy, tak jak ja w tym razie, wyrzuca sobie popełnioną niesprawiedliwość. A choćby ją sobie i wyrzucał, czyliż jego żal, jego zgryzota sumienia zagoi ranę, którą w drugim sercu wyżarła zjadliwa trucizna-niesprawiedliwość? Przejdźmy myślą nasze życie; wszystkie w nim zawarte cierpienia przeszły w mniej więcej żalodne wspomnienia, ale niesprawiedliwość doznana, choćby to w dziecinnym wieku, choćby za fraszkę, pozostaje zawsze świeżą boleścią, zawsze zarodem goryczy, która się rozlewa przy każdej sposobności. Jest ona w duszy jak owa plama wilgoci na murze, trwa ciągle, lubo nikt nie wie, kiedy i skąd uzbierały się krople, co ją utworzyły. Są niesprawiedliwości, które na nas spadają jak piorun, jak owe uderzenie Onufrego, od osoby do osoby, ale są i niesprawiedliwości ciągłe, powoli nas otaczające, niesprawiedliwości, które jakiś fatalizm ¹⁴¹ zamknięty w naszej indywidualności ¹⁴² zdaje się ściągać na nas.

¹³⁹ Lodowe wzory na szybach od mrozu. ¹⁴⁰ Sople, kawały lodu, okiście.

¹⁴¹ Przeznaczenie. ¹⁴² Osobowość.

Ileż to razy dysekowałem ¹⁴³ moralnie sam siebie, porównywałem z drugimi, starałem się dociec, dlaczego zawsze od wszystkich prawie źle byłem rozumiany. Każde moje słowo najprostsze, najwyraźniejsze w najobojętniejszej rozmowie, przybierało w drugiego pojęciu znaczenie inne, jak miało w istocie, a zawsze cierpkie, zawsze ubliżające. Listy moje, zwykle niedbale pisane, stawały się dla mnie powodem niejednej głębokiej boleści, bo podpadały rozbiorowi jakby jakie enigmatyczne ¹⁴⁴ zadania, tłumaczono je, a zawsze na złe, nigdy na dobre. A jednak wadą moją jest i było, że głośno myślę, że zdanie moje otwarcie powiadam, ale zawsze więcej, by je poddać dyskusji, niż żeby nim wyrokować. Otwartości świat nie pojmuje, tylko u głupiego, u rozumnego zaś bierze zawsze za dobrze wyrachowaną larwę ¹⁴⁵. Wyrzec się wdzięczności można, każdy nawet rozsądny człowiek powinien jej unikać. Urazę przebaczyć można, nawet zapomnieć. Ale zawsze, nieustannie, najczystsze zamiary, najgorliwsze usługi, najniewinniejsze słowa widzieć przekręcone, w truciznę zmienione, i nie być w stanie wyszukać w sobie przyczyny — to musi koniec końców obudzić wiarę w jakiś niezłomny fatalizm. To może odtrącić od tego świata, który mnie nie chce. Mało, mało trzech murów między mną a ludźmi, abym mógł używać tej spokojności, która jest jedynym moim celem, tego szczęścia, który mnie Bóg w domowym zakresie obdarzył. Połamałem moje pióro autorskie, nie — jak mniemano — dla równie złego jak głupiego artykułu b e z i m i e n n i e ogłoszonego, bo autor sprzedał się obcej nieprzyjaźni, i to nieprzyjaźni za przyjaźń, za ważną nawet usługę ¹⁴⁶. Porzuciłem urząd, gdzie moja miłość własna mogła była ulec chęci ścigania za popularnością ^{140a}. Starałem się, jednym słowem, zostać i zostałem „głupim światem“. Ukryłem się w cieniu głupoty przed cięciem, a jeszcze nieznośniejszym brzękiem człowieczych komarów, trutniów i bąków, a jednak i w tym gęstym cieniu nie mogę uniknąć zetknięcia się ze

¹⁴³ Badalem. ¹⁴⁴ Zagadkowe. ¹⁴⁵ Maszę.

¹⁴⁶ W 1835 r. w czasopiśmie krakowskim *Powszechny Pamiętnik Nauk i Umiejętności* Seweryn Goszczyński bezimiennie ogłosił artykuł, w którym podał niesprawiedliwej krytyce twórczość Fredry.

^{140a} Wybrany w 1833 r. deputatem do Sejmu Stanowego, usunął się zeń Fredro w r. 1842.

światem, które staje się zawsze dotknięciem elektrycznego druta, przykrym a często i bolesnym. Oskarżać świat cały — szaleństwo, oskarżać siebie — niesłuszność. Dalej więc milcząc i nie myśląc, dalej po ostrej drodze, wypchnięty pielgrzymie! Każdy dojdzie kiedyś do swego Eisenach, ale czy płaszcz znajdzie, to wielkie pytanie.

Skończyłem smutną historię mojego białego płaszcza. A teraz powiem, jak podobnoś przyrzekłem, co się działo w Galicji 1809 r.

Znał kto z Waćpaństwa Dobrodziejstwa pana Stecewicza? — Nie? — Szkoda... Był to dobry człowiek, miał wzrost ogromny, nos duży, rzadkiej wielkości nogi, koszulę zawsze brudną i część ubioru nieodzownie potrzebną zawsze podartą. Dlatego zapinał surdut aż pod szyję i siadał wąsko. Był on dyrektorem, *alias*¹ pedagogiem moich młodszych braci. Teraz już dyrektorów nie ma, sami guwernerowie, ale onego czasu pan Stecewicz był dyrektorem, guwernerem zaś pan Płachetko, na drugi zawód w domu naszym. Dwie osobliwości łączył on w sobie, pierwsza, że był guwernerem Polakiem w owym czasie zatapiającej nas francuszczyzny, a druga, że brodę golił bez zwierciadła. Poważna to była figura pan Płachetko, ale można było o nim powiedzieć, przekręcając znane przysłowie: „Nie tak mądry, jak się zdaje“. Boską to były plagą owe guwernery, chodzące Wszechnice. Guwerner dawniej brał obowiązek kształcenia duszy i ciała. Uczenia przy tym kilku języków, „wszystkich wiadomości i niektórych innych“. Udzielał często nauki muzyki i rysunku, a co najdziwniejsza, że czasem sam mało co umiał. Z rozbiorem Ojczyzny zamknęły się narodowi polskiemu właściwe mu rodzinne szkoły. Powstały obcym językiem uczące obczyzny. Kto tylko był w stanie, wychowywał dzieci w domu, do czego stali się wielce pomocnymi emigranci francuscy. Ale ci emigranci, nieszczęściem jedynie w pedagogów zmienieni, niewiele więcej uczyć mogli jak własnego języka. Niereligijność, która kraj nasz zawiąła od zachodu, wychowaniu w duchownych zakładach zrobiła koniec. Pod edukacyjnym panowaniem francuskich guwernerów nie tylko że się gruntowna a do potrzeb kraju stosowna oświata cofnęła, ale co gorzej — wychowanie młodzieży i nadal fałszywy wzięło kierunek. Najbardziej

¹ Czyli.

szkodliwym, moim zdaniem, stało się zaszczepienie możności domowego wychowania, które dotąd silne jeszcze, niestety, rozkłada ko-nary. Nauczyciele owi cudzoziemcy uczyli co umieli i czego nie umieli, ale bez żadnego systemu. Dlatego każda zmiana gubernera była zmianą sposobu i porządku w naukach. Każde nowe ich absolute panowanie zaczynało się od najłatwiejszego, to jest od potę-pienia wszystkiego, co jego poprzednik założył.

Moim pierwszym autokratą² umysłowym był Hekel, Szwajcar o łbie kędzierzawym i kabłąkowatych nogach. Szlufował³ kamienie, łapał ptaszki, nie tego uczył, ale tego ciągnął za uszy. Lubo często nazywał mnie sztukfiszem, powiem, niepomny urazy, że o ile sobie przypominam, był to człowiek światły, przy tym i muzyk niezły. Po nim nastąpił pan Płachetko, o tym już wyżej. Na koniec, trochę już za późno, zwrócono się do trybu szkolnego i berło przeszło w ręce pana Trawińskiego. Obfita w zdarzenia i przemiany, acz, niestety, krótka jego historia. Z pedagoga w całym znaczeniu tego słowa stał się nagle dziwaczno wykwintnym elegantem. Z eleganta został żoł-nierzem w wojsku polskim 1807 r. Przeszedł z pułku *chevaux-légers* Gwardii do 7 podobno pułku Legii Nadwiślańskiej, będącej wówczas w Hiszpanii. Tam awansował na kapitana i zebrał sobie nieco pieniędzy. Ostatni raz widziałem go w Paryżu po abdykacji cesarza Napoleona. Dał nam śniadanie au Rocher de Cancale⁴ i po-życzył pieniędzy. Wróciwszy do kraju, wziął dzierżawę pod Tarnowem. Tam został od swoich służących zamordowany, tak jak król angielski.

Za młody jeszcze byłem, abym był mógł z Maksymilianem, Sewerynem i Trawińskim umknąć do Warszawy, przeszedłem więc z młodszymi braćmi Julianem, Henrykiem i Edwardem pod powtórne panowanie pana Płachetki jako gubernera, i dyrektora pana Stece-wicza. Pierwszy miał uczyć po francusku, muzyki, przyzwoitości, obyczajności etc. etc. Drugi zaś kontynuować rozpoczęte przez pana Trawińskiego nauki szkolnym trybem prywatnie, których egzamina w domu zawsze kosztowały parę fasek masła. O Płachetko! niech

² Samowładcą. ³ Szlifował.

⁴ Słynna restauracja w Paryżu w początkach XIX wieku.

ci Bóg, przed którym już stoisz, przebaczy, ale ja nie mogę, żeś mój czas najpiękniejszy, od 1807 do 1809, zabił, zamordował bez litości. Książki w rękę nie wzięłem. Jeżeli czytał, to romanse. Mój ojciec zajęty interesami, a szczególnie fabryką żelaza, którą założył w Ciśnie, rzadko bawił w domu. Nie mógł więcej dla dzieci zrobić, jak do ogólnego dozoru wziąć guwernera, a do szkolnych nauk dyrektora. Odpowiedzialność więc cała ciążyła na panu Płachetce. Pan Płachetko nic nie robił, nie robiłem i ja nic. Połowałem, jeździłem konno. Wtem nagle, nie pamiętam z jakich powodów, chwyciłem pióro i... napisałem komedię pod tytułem *Strach przestraszony*.

Jeżeli kto znalazł książkę in 8-vo⁶, w skórce oprawną, w której pierwsza połowa wycięta, bo ta książka była kiedyś rejestrem⁶, a druga zachwyca oczy tytułem: „*Strach przestraszony*, komedia w jednym akcie“ — niech ją wróci memu potomstwu, bo to jest moje dzieło. Ale daremne wezwanie! Próżne nadzieje! Przepadł drogi rękopis, jak przepada skarb niejeden w wirze ludzkiej ciemnoty.

Nie mogę wstrzymać się i muszę wam, kochani a zwłaszcza cierpliwi moi słuchacze, opowiedzieć treść tej krótkiej ale pięknej komedii. Aby jednak stała się zrozumiałą, należy się cofnąć nieco i rzucić okiem w nasze zwyczaje domowe.

Był więc zwyczaj, że co niedzieli dzieci wyprawiały bal, tak zwał się bankiet, na który otrzymywały oprócz codziennych jabłek, trochę suszonych śliwek i wiszni, trochę rodzyneków i migdałów i kawałek cukru. Mój brat Seweryn, szef szwadronu Gwardii (nie wówczas, ale później) jako najstarszy⁷ przywłaszczył sobie *jure fortioris*⁸ zazdroszczony urząd kuchmistrza. On siekał, skrobał, nadziewał śliwki rodzynekami a rodzynki migdałami, kiedy tymczasem młodsze rodzeństwo, obsiadłszy mały stoliczek zastawiony cynowymi talerzykami, czekało cierpliwie pierwszego dania. Nareszcie gdy nadeszła chwila pożądana, półmiski wypróżniały się w mgnieniu oka, nie bez zatargów i nie bez pokrzywdzenia najmłodszych, pomimo reklamacji⁹ piastunek. Często też kończyło się na płaczu i dopiero

⁶ W formie ósemki. ⁶ Książką rachunkową w gospodarstwie.

⁷ Maksymilian bawił wówczas w Puławach. (*Przypisek autora*).

⁸ Prawem silniejszego. ⁹ Zażalenia.

cała śliwka wpakowana w gębę wzięła z sobą ostatnią łzę sunącą się po nosie. Czasem i bunt powstał, rzucono się na surowe kuchenne materiały, a gdy kuchmistrz nie mógł ich już obronić, rozdawał szturchańce i ciągnął za nosy, ale rodzynki osładzały wszystko.

Mój brat Seweryn, o cztery lata starszy ode mnie, był do swoich lat trzynastu dokładnym egzemplarzem (tak we Lwowie nazwanego) lamparta¹⁰. Swawolny, nieposłuszny, zawsze w zdeptanych trzewikach i podartej czapce, którą uczył psy aportować¹¹, był dla guwenera prawdziwą plagą. Szczególne miał upodobanie szczuć świnie psami i nieraz Cusin, ówczesny guwener, Francuz, przyprowadzał go za ucho z tego polowania do lekcji i za karę przywiązywał sznurkiem do stołu. Z tego powodu napisał Seweryn komedię, której osoby były: Cusin, Sewercio, Burda (kundys) i Świnia. Tak to talent dramatyczny w naszym rodzie parł się w górę wszystkimi porami. Seweryn uczył się lepiej ode mnie, ale ja byłem poważniejszy... nigdy nie byłem dzieckiem. Dlatego mnie zwano „staruszkciem“. Ale któż by mógł później odgadnąć tego swawolnego Sewercia w naszym poczciwym, kochanym Sewerynie, grubym, poważnym obywatelu, zawołanym gospodarzu, a którego humor skłonniejszy był do smutku niż do wesołości.

Otóż wracając do rzeczy, taki bał dziecinny był treścią mojej sztuki. Osoby były: Pan... zapewne Cnotliwski, ale nie pamiętam, równie jak nazwiska synka i córeczki pana Cnotliwskiego, Michał lokaj i Szafarka. Rzecz się zaczyna: Pana nie ma w domu, dzieci narzekają, że niedziela przejdzie bez balu. Michał obiecuje im dostać śliwek, rodzynek itd. Ubiera się w prześcieradło, jak to zwykle wystawiają duchów, i idzie do spiżarni straszyć szafarkę¹². Szafarka przestraszona kryje głowę w beczkę z mąką, Michał ładuje kieszenie nie tyle dla dzieci, ile właściwie dla siebie. A wtem... otwierają się drzwi... wchodzi Pan... Kolej na Stracha przestraszyć się... Michał kryje głowę w drugą beczkę. Rozwiązanie następuje prędkie i jasne, zamknięte nareszcie sensem moralnym.

Widzicie więc, moi Państwo, że komedia nie była bez planu

¹⁰ Hulaki, łobuza. ¹¹ Przynosić ma rozkaz przedmioty.

¹² Klucznice.

i pewnie byłaby i nie bez efektu scenicznego, gdyby była przedstawiona w teatrze. Szkoda!

Był w naszym domu nauczyciel muzyki, Mikołaj Matłowski... poczciwy, dobry Matłowski... Dziwną miał zaletę: mógł kilka godzin siedzieć wyprostowany na jednym miejscu i nic nie mówić i nic nie robić, jak tylko od czasu do czasu zażyć tabaki i utrzcę nosa w kraciastą chustkę z wymaganym rozgłosem. Jego wybrałem na słuchacza tym śmieiej, że obawa, która mnie w ciągu całego życia nie odstępowała, abym kogo nie znudził, nie mogła względem niego mieć miejsca, bo w niczym nie naruszałem jego moralnej i fizycznej nieruchomości. Poczciwy Matłowski uśmieiał się serdecznie z konceptów Michała. Pokochałem go za to jeszcze więcej niż go kochałem i odwiedzając jego pochwały przestałem brać od niego lekcje na fortepianie. Nie mały z niego zdjąłem ciężar. Cztery lata uczyłem się i nigdy zrozumieć nie mogłem, czego właśnie żądają ode mnie. Przy lekcjach zawsze nogami dzwoniłem, oczywiście nie w takt, i nieustannie wciągałem nosem, *vulgo*¹³ siąkałem, co jest niezawodną oznaką słabego usposobienia ucznia i powinno zwracać uwagę rodziców. Jeżeli podrostek mocno siąka przy muzyce — nie tracić czasu. Czasem zły muzyk bywa dobrym jurystą¹⁴. Jeżeli zaś siąka i nad kodeksem, czym prędzej dajcie mu ołówki, może będzie malarzem. Ale jeżeli zawsze i przy każdej nauce siąka i siąka — to hebes¹⁵, jak Bóg Bogiem. *Scientia*¹⁶ nic z niego mieć nie będzie. Niech się czepia dworów.

Śmiech Matłowskiego ochrzcił mnie na autora. Przy tej sposobności muszę zrobić uwagę, że sposób najdzielniejszy podobania się — jest łatwość śmieiechu. Śmieiech jest nie udaną aprobatą konceptu...¹⁷ a aprobaty któż nie lubi?!

Sukces¹⁸ nadzwyczajny mojej komedii zawrócił mi głowę, wzięłem się do tragedii. Ale ta ograniczyła się na tytule wielkimi literami napisanym: *Rzeź Pragi* i na spisie osób, na czele których, jak łatwo zgadnąć, stali: Suworow, Zajączek i generał Jasiński. Zdaje mi się nawet, że zacząłem pierwszy wiersz pierwszej sceny wyrazami:

¹³ Czyli. ¹⁴ Prawnikiem. ¹⁵ Głupiec, tuman. ¹⁶ Nauka.

¹⁷ Pochwałą dowcipu. ¹⁸ Powodzenie.

„O Ty! co“... albo: „O Ty! który“..., co zawsze wielki efekt¹⁹ robi w stylu poważnym, tak jak inwokacje²⁰ w kazaniach, które budzą wszystkie uśpione baby do ryczącego westchnienia, albo jak w teatrze owe oklepane sentencje²¹ o cnocie, honorze, miłości ojczyzny. Bo trzeba wiedzieć, że nigdzie nie ma tylu czcicieli cnoty, ile w teatrze, lubo w zamęcie owych szlachetnych uniesień najwięcej ginie chustek i zegarków.

Ale jeżeli zostałem dramaturgiem bez żadnego wyraźnego powodu, nie tak się ma co do poezji. Okolicznościami bowiem pchnięty dosiadłem Pegaza²². Długo już przemyślałem, jak to opowiedzieć, bo to działo się w wojsku, a koszary nie salon. Ale historia jest historią, ma swoje żelazne prawa, z których wyłamać się nie zawsze można. Będę jednak starał się, bądźcie Panie pewne, omglic ile możliwości wszelką szorstkość przedmiotu. A więc do rzeczy.

W Krasnymstawie mieszkalem razem z podporucznikiem Jakubem Nowickim, który miał służącego Franciszka. Razu jednego wzięłem wstępny bojem (*necessitas frangit legem*)²³ pewną nieodzowną, acz tylko płócienną część ubioru, którą to słońce nie zwykło oglądać. Kiedy zaś kolega uporczywie upominał się o zwrot swojej własności, napisałem wierszyk pod tytułem: *Żale Jakuba nad utratą g..i*. Zwrotki kończyły się powtórzeniem: „Franciszku! Gdzież g..e moje?“ Ta poezja zrobiła w pułku furorę²⁴. Ale jeden z kolegów, Dąbrowski (zginął pod Możajskiem), wziął mnie na stronę i zwrócił moją uwagę, że w kilku wierszach nie ma średniówki²⁵. Średniówki?... „Co to średniówka?“ — zapytałem. Dąbrowski wytłumaczył, i to była pierwsza oraz jedyna nauka rymotwórstwa, którą w życiu otrzymałem.

Uzbrojony w średniówkę, rzuciłem w świat parę kawałków, których tytuły powtórzyć nie mogę, a których sława przeszła krańce nawet pułku.

¹⁹ Wrażenie.

²⁰ Wezwania, błagania. ²¹ Zdania, orzeczenia.

²² Pegaz — rumak skrzydlaty, godło polotu poetyckiego. Dosiadać Pegaza — próbować sił na polu poezji.

²³ Potrzeba łamie prawo.

²⁴ Powodzenie, podziw. ²⁵ Przerwa w środku wiersza, cezura.

Później we Francji spróbowałem rodzaju uczuciowego, napisałem do Ludwika Jelskiego ładny wierszyk zaczynający się:

Miłość jest równie
Bujna topoli,
Wzrasta gwałtownie
Na miękkiej roli. etc. etc.

Ale kiedy razu jednego zacząłem deklamować w gronie kolegów, jeden z nich, gbur nieokrzesany, dodał zaraz do mego pierwszego wiersza: „Miłość jest równie“ — swój rym arcynieczysty, co mnie tak zbiło z terminu, że na długi czas dostałem wstrętu do uczuciowego rodzaju.

W roku 1807—1808 mieszkaliśmy we Lwowie u Judki, na rogu ulicy Sykstuskiej. Niczego się nie uczyłem, wyjąwszy fechtunku, tańca i ekwitacji²⁶, co mnie jednak nie wyprostowało, bo się zawsze pochyło trzymałem. Zacząłem wprawdzie i lekcje matematyki, ale za trzecią dostałem febry. Z Ignacym Konarskim jeździliśmy konno, — było nas wszędzie pełno. Lansadowaliśmy²⁷ najczęściej pod oknami panińskich konwiktów²⁸, a gdy panien nie było w oknie, jeden z nas krzyknął: „Gwałt! gwałt!...“ co do okien ściągnąć musiało.

Złożywszy na stronę miłość własną, muszę wyznać, że byłem wówczas dość pocieszoną figurką, zwłaszcza gdy przy końcu 1808 r. pozwolono mi w świat wchodzić po trosze. Oddawaliśmy wizyty i nikt nam nie powiedział: „A do książki, smarkacze!“ Pamiętam siebie bardzo dokładnie i jeżeli chcecie wiedzieć, jakim byłem, proszę słuchać. Łeb rudy w loki jak w zawijane zrazy, zafryzowany, mocno pudrem przykryty, frak brązowy z czarnym aksamitnym kołnierzem i dużymi, żółtymi guzikami, spodnie jasne, dość przestronne, jak była moda, i buty węgierskie, a czasem buty po kolana z dwudziestocalowymi sztylpami. Przy zegarku siedem pieczętek rzeszowskiej roboty, w rękę laseczka z kobuzią²⁹ główką.

Nadszedł rok 1809. W naukach żadnej zmiany, przybył tylko

²⁶ Jazdy konnej. ²⁷ Jeździć konno w podskokach.

²⁸ Szkół, pensji. ²⁹ Kobuz — ptak w rodzaju sokoła.

rysunek, do którego miałem niejakię usposobienie, i taniec. Taniec szczególnie mocno mnie zajął, bo w tych czasach pojawiły się we Lwowie kadryle francuskie, czyli jak zwano kontredanse, które nie tańczono tak jak dzisiaj, chodząc prawie, ale tańczono sztucznie, baletniczo. Czasem na balach produkowały się pary w gawocie albo kozaku. Cytowano dobrych taneczników. Między pierwszymi był Ignacy Turkull, później minister w Petersburgu³⁰. Taniec dziś zarzucony *anglaise* — był tańcem sentymentalnym³¹. Każdy stawał do angleza z panią swego serca.

Mówiono o wojnie, ale młodzież mego wieku usłyszała o niej dopiero wtenczas, kiedy gruchnęła wieść, że polskie wojska wkroczyły do Galicji, ale razem gruchnął i postrach, że wszystkich, szlachtę nie szlachtę, będą brać na rekrutów. Tęgo zaszczytu unikając, zostałem wysłany z panem Stecewiczem, który jeszcze więcej miał powodu niż ja lękać się austriackiego munduru, do Beńkowej Wiszni, do mego wuja Wojciecha Dembińskiego. Tę majętność trzymał w dzierżawę pan Wojciech, ożeniwszy się niedawno z Karoliną Humnicką. Mój wuj był właśnie na wyjeździe w Przemyskie — wziął mnie ze sobą.

Mówiono wprawdzie o wojnie, ale jak o wojnie gdzieś za dwoma morzami, niemałe więc było zadziwienie nasze, kiedyśmy spotkali między Mościskami a Przemyślem mnóstwo fur z wielkim pośpiechem jadących. Skąd? — Z Jarosławia. Dokąd? — Do Lwowa. Co wiozą? — Mąkę. Jeden chłop stary, śmiejąc się, odrzekł na nasze zapytanie: *Ne хочzut Nimci chliba isty*. W to nam graj! Ruszaj, aż koła furczą. Dalej widzimy na wozach i paki, i kufry, i tłumoki, a gdzie niedzie żołnierz patrzący za siebie dowodził, że to były rupiecie wojskowe. Wszystko to miało taki pozór ucieczki, żeśmy się spodziewali ujrzeć co chwila ułanów polskich. Ale jeszcze godzina nie była wybiła.

W Przemyślu niby cicho, niby spokojnie. Wojska jak wymiotti. Jakiś ruch tajemniczy objawia się przecie. Dowiadujemy się, że nieprzyjaciel pod Jarosławiem, ale ten nieprzyjaciel nie straszy, bo

³⁰ Turkull był od 1839 r. ministrem sekretarzem stanu Królestwa Polskiego.

³¹ Taniec angielski, uczuciowy.

trwogi ani znaku. Po ulicach dużo ludzi, nie stoi, nie idzie, drobne gromadki ciągle zbierają się i rozchodzą. Poznać oczekiwanie, ale oczekiwanie czegoś ciekawego, a nie przykrego wcale. Każdy stąpa, jakby bał się kogo spłoszyć, każdy mówi cichym głosem, jakby nie chciał obudzić, każdy się uśmiecha a marsa stawia. Jakiś duch, sercem tylko odgadnięty, przebiega, dotyka, porywa, wznosi w niebo nadziei. Ach, nie umrze, nie doznawszy największego szczęścia ten, którego owionął, choćby tylko na chwilkę, ten upajający, rozkoszny, podwajający każde uderzenie tętna, ten pierwszy podmuch wolności — wolności! Oswobodzenia! Pierwszy połysk światła słonecznego, co wpadnie przez wylom do podziemnego więzienia. Ileż to lat upłynęło, ile marzeń spełzło jak mgła poranna, ileż rzeczywistości wyslizgnęło się jakby z dłoni, a jednak owa chwila w Przemyślu, wyraźnie wybita w pamięci, przemknie się jeszcze czasem jak błyskawica po duszy mojej z całym swym urokiem wiary i nadziei.

Chcieliśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Kupcy wszystko wiedzą. Idziemy więc do Rubina, znajomego kupca. Ciemno było w kurytarzu, gdzieśmy z nim rozpoczęli nasze badanie. Ale on cedzi przez zęby odpowiedzi swoje, wtem nagle chwyta mego wuja pod ramię, ten nastawia ucha... a on pociągnąwszy rękaw zapytał: „A gdzie Pan to sukno kupował? Mam świeży towar — coś osobliwszego!“ Niechże cię piorun trzaśnie i z twoim towarem, pomyśleliśmy sobie i wyszliśmy czym prędzej. Kupiec zawsze kupcem. Pieniądz jego gwiazdą przewodnią i nie ma się czego dziwić, pieniądz tylko dźwignąć go może na stanowisko mniej wystawione na wzgardę powszechną...

[...] Duch handlarski ogarnął świat cały. Pieniądz stał się wszystkim. Ale kiedy on jest dla kupca sam przez się szczęściem, dla świata jest tylko środkiem do osiągnięcia tych wszystkich materialnych rozkoszy za granicą, bez których nikt żyć nie chce. We Francji nawet, owej Francji rycerskiej, gdzie uczucie wbrew częstokroć rozsądku rozwijało częstokroć potęgę swoją do najszczytniejszych krańców fantazji, gdzie człowiek władzą ducha ulatniał się, oddzielał się od siebie samego i wznosił się czystym tylko instynktem ku nieśmiertelności, tak jak się wznosi motyl do stref słonecznych,

kiedy jeszcze jego poczwarka, kołysząc się gdzie u kwiatu, świadczy o jego pobycie na ziemi, w owej Francji znika poezja wszędzie i ze wszystkiego. Piśmiennictwo francuskie czuć rzemiosłem. Każdy teraz pisać będzie przeciw natchnieniu, przeciw przekonaniu, jeżeli tylko może wiele pieniędzy zyskać. Kto na zawadzie, — nieprzyjaciel, żadna świetność cnoty i zasługi nie zasłoni, jeżeli nie własna siła. Po sercach, po głowach w górę! w górę! pnie się tłum zimny, chciwy i nie żyjący — tylko w obecnej chwili. Handel wszędzie. Handel w Paryżu, w Rzymie, w Londynie i w Przemyśle, skąd w nocy o świetle księżycy i w majowej pogodzie tysiąc osiemset dziewiątego ruszyliśmy w dalszą drogę do Nienadowej, do brata pana Wojciecha, pana Antoniego Dembińskiego, byłego oficera z Kościuszkowskich czasów.

W Nienadowej, majątności ojca mojej matki, mieszkali niegdyś rodzice moi. Tam pamięć moja błądzi w mgłach dzieciństwa. Nie było już wprawdzie murowanego mostu przed bramą na szuwarem zarośniętej fosie, nie było na środku dziedzińca kompasu, który mi się niegdyś zdawał spoczywać na ogromnej kolumnie, nie było wkoło niego ostrzyżonego agrestu, ani też w grabowym szpalerze kamiennego Kupidyńka z urną pod pachą, którą zawsze napelnialiśmy gorliwie, ale był jeszcze dom duży, drewniany, o czterech kolumnach, o dwóch kurytarzach, z których jeden na lewo wiódł do biblioteki, drugi do oficyn i do sklepionego skarbcza, gdzie mieszka panna Beldowska, poczciwa staruszka, przyjacielska sługa.

Ale co to was obchodzić może, moje dzieci, co obchodzić kogokolwiek, że niegdyś, gdzieś w Nienadowej tlało jakieś życie przez lat dziewięćdziesiąt spokojnym płomykiem, że zgasło jak nocna lampa bez śladu i odgłosu. Co to obchodzić może? A jednak wam opowiadam... Ach, więcej ja do siebie, niż do was mówię. Przebaczcie egoizmowi, bo to tak miło, tak lubo wpatrzeć się czasem w jaką gwiazdeczkę, co nam gdzieś z dalekiej przeszłości zdaje się przymrużać przyjaźnie. Widzę jeszcze tę małą, poczciwą staruszkę, jak we mnie pieściła dziecko, bawiła studenta, witała oficera, a zawsze ta sama, ani młodsza, ani starsza. W uszach mi jeszcze dzwoni brzęczące echo dużej, ciemnej sieni, przez którą biegło się do niej krzycząc, klaszcząc i tupając razem. Mam jeszcze w oczach owę tam kaplicę ze swoimi obrazkami i pochylonymi ścianami, do której nam wstęp był zabroniony, a przeto tak wielce pożądany. Czasem udało się tylko jakiej ciekawej główce zaglądnąć przez uchylone drzwi do opuszczonego już, groźącego upadkiem kącika, bo ta kapliczka była mała, mały był ołtarzyk, ale któż zgadnie, jak wielkie

wznosiły się tam myśli, jak wielkie korzyły się uczucia?! Ileż tam modłów i błogosławieństwa przesunęło się cicho... ale pewnie macierzyńskich najwięcej. Pada do nóg rodziców, skłania uwieńczone skronie, włos rozpuszczony skrapia rześystymi łzami... Ach, jakaż jej przyszłość?! Tak młodej, tak świeżej, tak pięknej! Życie takie długie!... Ale czas mija, przemija i znowu tam stanęła i córkę odrywa od serca i wiedzie przed ołtarz... I znowu ta córka błogosławi syna. Godziny, lata, pokolenia przepędzają jak obłoki wiatrem parte, najczęściej bez śladu i pamiętki. Życie westchnieniem, szczęśliwym... przestrogą — cierpiącym pociechą... Nie ma już kaplicy w Nienadowie... Dom nowy... Mój wuj nie żyje...

Surochów, gdzie się urodziłem, skąd raz wywieziony na rękę piastunki już nigdy nie wróciłem, leży przede mną jak obraz w śnie kiedyś widziany. Nienadowa taka jaka była, aczkolwiek zamglona, została lubym dla mnie wspomnieniem. Ale świat mego dzieciennego i młodocianego wieku cały w Beńkowej Wiszni. Długie tam dnie, długie tam pory roku, bo kiedyż dłuższe jak w dzieciństwie, nie odgrzebuje w pamięci, ale dokładnie pamiętam.

Dom tam moich rodziców był to dom prawdziwy polsko-szlachecki, zamożny bez zbytku, cichy a gościnny. Długi tam stół bywał. U góry siadywał mój ojciec, jak to mówią: na pierwszym miejscu, kiedy gości nie było, po jego lewej stronie major Biegański, adiutant Kościuszki, potem generał; od upadku aż do wskrzeszenia Ojczyzny bawił w naszym domu. Człowiek rzadkiej poczciwości i do śmierci prawdziwy i gorliwy nasz przyjaciel. Po prawej stronie ojca najmłodsze z dzieci obok matki. Za matką Ludwisia, Kostusia i panna służąca; naprzeciwko Maksymilian, najstarszy z rodzeństwa, guwerner, nauczyciel muzyki Matłowski, rysunku Romanowski, a czasem tańcu Kurc i fechtunku Frik von Lindenfeld, głuchy. Dalej Seweryn i ja, a niżej Smólski, Lesiecki, Orzechowski kulawy, szlachta, oficjaliści. Bo lubo dom był szlachecki, jednak nigdy szary koniec u stołu nie był bez kilku dworzan. Dwa razy do roku, 2 lipca i 17 sierpnia, w dnie imienin rodziców, zjazd bywał wielki. Obiad w ogrodzie pod lipami... bal noc całą... iluminacja... były niemałym szczęściem dla dzieci. Raz, że kilka dni upiekło się bez lekcji, po

wtóre, że wszyscy mężczyźni obozowali w rostowni¹ przy browarze. I sukienki nowe i muzyka z Rudek i ciasta z cyframi, wszystko to było celem oczekiwania i wielkiej radości.

Co niedziela zjeżdżała ogromna poczwórna karetka sześciu kasztanowatymi końmi, furman Sobek i foryś Fedzio w spencerach, spodniach łosiowych, w okrągłych kapeluszach, niby po angielsku. Za kareta siedł kocz poczwórny, równie ogromny, czterema końmi. Dla młodzieży przyprowadzał konie i kuce stary Stanisław, rzadko trzeźwy, w palonych butach i stosowanym kapeluszu ze srebrnym galonem, tak jak wszyscy lokaje. Jechaliśmy na mszę do Rudek, ale czy my chłopcy umieliśmy pacierz, o to — ledwie do wiary — nikt nigdy się nie spytał. Drwiono sobie przy dzieciach z wszelkiej oznaki religijności. Nie być *esprit fort*² znaczyło tyle, co być głupcem na wielki kamień. Taki był duch czasu, i to powszechny.

W pierwszych latach bieżącego wieku mój ojciec zakładał fabrykę żelaza w Cisny. Często tam przesiadywał. Raz wziął nas z sobą, to jest Seweryna, mnie i pana Płachetkę. Była to pierwsza podróż moja; lepiej ją pamiętam niż we dwadzieścia lat później odbytą do Włoch. Kiedyś Państwu i o tej podróży opowiem, jak wyjechałem ze Lwowa do Florencji w zamiarze ożenienia się z panną Elżbietą Buturlin³, — jak to i dlaczego nie przyszło do skutku... jak się nareszcie puściłem do Neapolu, ale chwycony spleenem⁴ w Rzymie, kazałem nawrócić i wróciłem do Beńkowej Wiszni.

Przywozłem wszakże trochę pamiątek, między innymi różę uszczkioną w papieskim ogrodzie i oset na gruzach pałacu Cezarów. Za parę wieków może las będzie z ogrodu, a jezioro z pałacu. Albo może z gruzów powstaną gmachy, a z gmachów gruzy i to ostatnie podobniejsze do prawdy niż pierwsze, ale cieszymy się nadzieją, lubo zmartwychwstanie bardzo trudne. Wziąłem własną ręką w spalonym kościele św. Pawła kawał belka ze stropu, który miał być z cedrów

¹ Budynek, w którym przygotowuje się słód do fabrykacji piwa, słodownia.

² Umysł niezależny, powodujący się rozumem.

³ Podróż do Włoch odbył Fredro w 1824 r. z namowy brata Maksymiliana, który zaślubiwszy księżniczkę Praskową Gołowiń swatał poetę z przyjaciółką żony, Elżbietą hr. Buturlin.

⁴ Zniechęceniem, tęsknotą.

góry Libanu. W Wiedniu kazałem z niego wyrobić Zbawiciela na krzyżu i za powrotem do kraju posłałem do Świątyni Sybilli księżnie generalowej Czartoryskiej⁵. Niezwykły to był u mnie wybryk grzeczności. Zrobiłem nadzwyczajnie wiele, a księżna nadzwyczajnie mało. Kiedyś, później, komuś, przez kogoś kazała podziękować. Bądźże tu uprzejmym. Ile razy pomknąłem się ze sentymentem, tyle razy szcztuka dostałem. Bądź nareszcie grzecznym, jeżeli ci to przyjemnie, jeżeli ci to sprawia apetyt, albo sen sprowadza, ale jeżeli grzeczność chcesz użyć na ponętę na ludzi, to daremne trudy. Szczęście do ludzi, jak szczęście w karty, przyczyny nie ma.

Wyjąwszy głupich, których zawsze świat lubi, bo po nich skakać może jak koza po pochyłym drzewie, — i o tych nie mowa, — znałem ludzi uczciwych, ale niedelikatnych, lubiących gości w domu, ale nietrudniących się nimi, upartych, despotycznych w zdaniu, obojętnych wreszcie na wszystko, co leżało za granicą ich domu, — a jednak więcej mieli przyjaciół niż ci drudzy, równie uczciwi, ale grzeczni, lękający się uchybić komubądź, stać się natrętnym lub niedelikatnym, ludzie gorliwi w radzie i nigdy nieobojętni tak w prywatnej, jak i publicznej sprawie. Znałem ludzi zimnych, niedbających o niczyją przyjaźń, egoistów⁶ charakteru nieczystego, nie ceniących nawet miłości żony i dzieci, a jednak świat ich lubił. Znałem zaś uprzejmich, miłych, wymowy miodem i mlekiem płynącej, a wszystko nadaremnie. Ścisła ręce, całuje z jednej i drugiej strony, a czasem i trzeciego całusa suplementarnego⁷ nie szczędzi — nie zapomni nigdy niczyich imienin — sześć tysięcy biletów wizytowych rozdaje w roku — sprawunki robi, listy pisze, poradzić lubi, a nawet czasem i pożyczycy pieniędzy, a jednak ludzie go nie lubią. Zrozumiejsz tu, proszę.

W jakiejś operetce Bogusławskiego śpiewa jakiś moralista: „Pochlebiaj, a będziesz szczęśliwy“. Można by dodać: „i będziesz lubiony“. Miałoby to być słowem zagadki? Bądź jakim chcesz, ale pochlebiaj. „Pochlebstwo chociaż się rzekomo odrzuca, smakuje

⁵ Izabela Czartoryska wybudowała w Puławach tzw. Świątynię Sybilli, w której urządziła muzeum pamiątek i różnych osobliwości.

⁶ Samolubów. ⁷ Dodatkowego.

przecie“, powiedział i ś. p. Andrzej Maks. Fredro. Ale jakie ma być pochlebstwo, jak i gdzie go użyć, w tym sztuka, w tym rozum. Są pochlebstwa czynne i pochlebstwa bierne. W rządzie tych ostatnich najgłówniejsze: Nigdy nic lepiej nie wiedzieć jak ten, któremu podobać się trzeba. A jeżeli zależy ci na tym, aby twoje zdanie przemogło, wykręcajże tak, abyś nim nigdy nie zwyciężył, ale raczej mu ulegał.

Mówią, że trzeba kochać przyjaciół i z ich wadami. Ja utrzymuję, że się ich kocha właśnie dla ich wad. Ty nie wiesz tego, a ja tamtego, — ja niemiły w tym, a ty w tamtym, — więc kwita — równość. Człowiek doskonały we wszystkim, gdyby się znalazł na świecie, mógłby być uwielbiany, można by z niego wielkie ciągnąć korzyści, ale pożyte z nim byłoby pewnie najnieznośniejszym. Obok doskonałości nasza indywidualność spadłaby pewnie niżej zera. A, jak bajka powiada, „miłość własną ma i ptak“.

*Tout chemin mene à Rome*⁸. Jeżeli do Rzymu, to i do Cisny, — i nic dziwnego, że jadąc do Cisny, wstąpiłem do Rzymu. Wracam jednak na trochę prostsza drogę, do Beńkowej Wiszni.

Ruszyliśmy w podróż koczykiem, zwanym niegdyś skarbnikiem. Na przodzie wysłano siedzenie i przy bokach zapchnięto po dwa gonty, aby który z paniczów nie wyleciał pod koło. Przy moim ojcu siedział pan Płachetko, straszny, kiedy na wietrze tabakę zażywał, straszny, kiedy kichnął, i gdyby nie był moim guwernerem, powiedziałbym, że kichał jak koń, a zawsze z akompaniamentem *obligato*⁹ kaszlu i finałem huczno zatrabionym w czerwona kraciastą chustkę. Konie powodne szły za nami.

Już z Chyrowa, gdzie droga kamienista kręciła się wzdłuż Strwiąża¹⁰, a często i jego łożyskiem, trudno było wysiedzieć w pojeździe, siadaliśmy więc na konie, a gdzie tylko Strwiąż pozwalał, biegliśmy przed końmi. Była to podróż długa, ciekawa, dłuższa i ciekawsza niż do Włoch, co już miałem podobno honor dowcipnie powiedzieć.

⁸ Każda droga prowadzi do Rzymu. ⁹ Z towarzyszeniem obowiązkowo.

¹⁰ Nazwa rzeki. dopływu Dniestru.

Z drugiego noclegu w Lesku puściliśmy się w dalszą drogę do Cisny konno. Nasz ojciec jechał na tureckim, białym jak mleko szłapak¹¹. Obok, na siwym, dużym, z zaprzęgu wziętym koniu, pan Płachetko, który wypiętą postawą, równie jak i prętem prosto w górę przy ramieniu trzymanym, starał się udowodnić to, co tylekroć powtarzał, że służył niegdyś w jeździe litewskiej pod komendą generała Jasińskiego. Za panem Płachetką mój brat Seweryn na kasztanowatym a ja na szpakowatym kucu. Wówczas siedziałem na koniu, jak to mówią, po łacinie¹², ale gdy przyszło od zamku spuszczać się do Sanu po skalistych ledwie nie schodach, wezwałem na pomoc całą moją bereiterską¹³ sztukę. Wyprężyłem nogi tak, że butami dotykałem munsztuka¹⁴, a ręką chwyciłem tylną krawędź siodelka i ciało w tył podąłem. W takim horyzontalnym¹⁵ prawie położeniu, zjechałem szczęśliwie na dół i w San. Za pierwszym pluśnięciem wody, jak papierowy arlekin¹⁶ za pociągnięciem sznurka, zmieniłem gwałtownie moją pozycję; ściągnąłem nogi jak do przysady¹⁷ i puszczając siodło chwyciłem się grzywy jedną a potem i drugą ręką. Pomimo drwinek Stanisława, starego masztalera¹⁸, byłbym chwycił się i trzecią, gdybym ją był miał, kiedy w środku rzeki zdawało mi się, że nadbrzeżne chałupy i drzewa suną się jakby w szenekatarynce¹⁹, albo, co jeszcze gorzej, że woda mnie i kuca unosi. Kłapanie podków po śliskich kamieniach, szum przerywanego prądu, wytryski sprzed końskich kolan, padające na plecy i za kołnierz, zbiły mnie z terminu do reszty. Mój kucyk zaś zdawał się wcale przeciwnego doznawać uczucia; stawał ciągle, spuszczał łeb jak gdyby był nie pił od dwóch dni, nareszcie zaczął nogą grzebać, znak nieomylny, że ma ochotę położyć się, co byłoby nastąpiło niezawodnie, gdyby go Stanisław nie był podgonił, a panicza za kark chwycił, bo panicz w niespodziewanej zmianie ruchu tracąc równowagę byłby zleciał jak worek otrębów.

¹¹ Szłapak albo człapak — koń powolny, stępak.

¹² Niewprawnie, nieudolnie. ¹³ Jeździecką.

¹⁴ Wędzidła. ¹⁵ Poziomym.

¹⁶ Pajac. ¹⁷ Przycupnięcie w tańcu.

¹⁸ Stajennego.

¹⁹ W teatryku marionetkowym.

Wielki to był wstyd bać się konia, albo okazać złe usposobienie na jeźdźca. Ksiądz Zacharyasiewicz, biskup przemyski, powiadał mi, że jego ojciec kazał raz swoim synom, dzieciom jeszcze, siadać na konia. Gdy się on niezręcznym okazał, ojciec kiwnął ręką i rzekł: „To kiep! będzie księdzem“. Tak się też i stało.

Zaden majtek, po burzliwej żegludze wstąpiwszy na brzeg, nie odetchnie tak błogo jak ja, kiedy ujrzałem się na stałym lądzie. Spojrzałem za siebie i oczy moje spoczęły na zwaliskach zamku, na owe czarne świerki, te nieme świadki tylu wiosen, tylu zim, tylu dni burzliwych i pogodnych, które jak u ich stóp ścigające się fale przepłynęły w morze wieczności. Ten ogród leski był ulubiony memu ojcu. Nigdy nie mógł oczu dość nasycić jego widokiem i nigdy nikt nie wspomniał Leska, aby mój ojciec nie narzekał na niedbalstwo i obojętność teraźniejszego dziedzica. „Lada dzień, mawiał, ta cała pyszna lipowa ulica zesunie się do Sanu, a tak łatwo byłoby temu zaradzić“. W samej rzeczy, w czasie o którym mówię, brzeg Sanu był spletem obnażonych korzeni. Wisiały w powietrzu ogromne lipy; zdawało się, że lada wietrzyk, lada pchnięcie zwalić je potrafi, a jednak dzisiaj mija lat blisko pięćdziesiąt od mojej pierwszej przeprawy przez San — ojciec spoczął w grobie, a ja posiwiałem, a wisząca ulica jak szumiąca tak szumi nad Sanem.

Jechaliśmy dalej. Nowy był to świat dla mnie, pierwszy raz byłem w górach. Im dalej, tym więcej ponurą stawała się okolica. Wkoło góry, a spoza gór znowu wyglądające góry, wszystko czarnym lasem pokryte. Step, morze, te jednostajne ogromy, objawiające potęgę, wielkość natury, — te obrazy nieskończoności przejmują nas podziwieniem, uszanowaniem i kornym zastanowieniem się nad sobą samym, nad nicością swoją. Ale widok rozległych borów łączy do tych uczuć jeszcze trwogę. To nam się zdaje, że wszelkie życie uszło z tych wilgocią grobów tchnących cieni, to znowu jakiś ruch tajemniczy niby się tu i owdzie pojawia, to nareszcie z kolebki jeszcze wzięte i w dalsze życie niesione ze sobą powiastki o czarownicach i o rozbójnikach stają przed oczy. Wszystkiego tego doznawałem, poprawiając się dość niespokojnie raz w prawo, raz w lewo na nieco twardym siodełku. Górale z długimi włosami, w ciemnych guńkach

i dużych kapeluszach, występując zawsze nagle na ciasną widownię, nie byli dla mnie nader przyjemnym widokiem. Ale kiedyśmy spotkali rodzinę Cyganów, kiedy z nich jeden wyciągnął rękę po jałmużnę i ta ręka znalazła się w równi z moją twarzą, lubo on był pieszo a ja konno... O! wtenczas dusza była na ramieniu. Minąwszy niebezpieczeństwo, ochłonąwszy nieco z trwogi, zbliżyłem się do ojca i zapytałem się tak obojętnym głosem, jak go tylko ukształcić mogłem, czy są rozbójnicy w tych lasach. — „Nie ma, była odpowiedź, od czasu jak schwytano i stracono Wulfa, o żadnym w tych stronach nie słyszałem rozboju“. — „Co to za Wulf?“ — „Potem kiedyś wam opowiem, a teraz patrzcie przed konie i niech jeden za drugim jedzie“.

Jechaliśmy pod górę wykutą w skale drogą. Na grzbiecie pagórka mój ojciec wstrzymał konia i zawołał rzewnym głosem, jak gdyby widział przyjaciela: — „Hoczew!“

W dolinie nad brzegiem rzeki płynącej do Sanu ujrzeliśmy szczątki niewielkiego zamku. Obok biały dworek i gospodarskie, dość porządne zabudowania. Dalej kościółek, karczma i chaty wzdłuż łągu rozsypane. To była Hoczew. „Tu, w tym zamku urodziłem się, rzekł mój ojciec i zdawał się więcej do siebie niż do nas mówić. Z tej strony był pokój mojej matki... już tylko jedno okno... dalej był ganek... wszystko się zwaliło... Na środku dziedzińca stała wielka lipa... takich drzew już teraz nie widać... w jej cieniu bawiłem się będąc dziecięciem, a biegałem, swawoliłem już chłopcem... piękne było drzewo“!... Czas jakiś patrzył jeszcze w milczeniu, zdawał się robić rachunek swoich wspomnień z otaczającymi go przedmiotami. Nareszcie zsiadł z konia i nam zsiąść rozkazał, bo w skale wykutą drogą, więcej do schodów niż do drogi podobną, trzeba było ponad potok spuszczać się w dolinę Hoczwi. Uszedłszy kawałek, prowadząc konia za sobą, wstrzymaliśmy się przy źródelku, co cienkim promieniem z prostopadłej wytryskało skały. „Nie ma, rzekł mój ojciec, w całej okolicy równie dobrej wody. Tu dziećmi będąc wprawialiśmy bzowe rynewki i patrząc z daleka cieszyliśmy się, kiedy przechodnie korzystali z naszego wynalazku. Mało kto minął, żeby się z rynewki nie napił“.

Te słowa ojca, jego głos rozplywający się w rozczuleniu, oko pogodne a tak pełne rzewnego uczucia, głęboko utkwily w mojej pamięci. Przez wiele lat potem, jeżdżąc tamtędy, spuszczać się do Hoczwi, zawsze slyszalem w sobie te proste wspomnienia naszego dobrego i kochanego ojca. Nie minalem nigdy źródelka, z uszanowaniem nachylałem głowy, aby świętego dla mnie zaczerpnąć zdroju. Kilka lat temu... teraz już kilkanaście... nie potrzebowalem zsiadać z konia, droga była rozkopana, szeroka, wygodna, ale mego źródelka... mego źródelka!... odszukać nie mogłem. Pozbawiony zostałem uczucia, którego zawsze czekał z upragnieniem, jadąc w tamte strony. Uczucie wzięte dziecięcą duszą z ust ojca wyrazilłem później w następującej, jednej z najpierwszych moich poezji:

Ach, któż na widok swej rodzinnej wioski
 Nie cofnie myśli w te chwile bez troski,
 W ten cień kolebki... wiek błogosławieństwa,
 Gdzie pod skrzydłem rodziców, w gromadzie rodzeństwa,
 Brał tak swobodnie, tak pełen ochoty
 Życia poranne pieszczoty?!

O! skały, zdroje, doliny i drzewa,
 Wy, w które pamięć czułą duszę wlewa,
 Świadki lat młodych, stałe przyjaciele,
 Jakże was starość lubi, jak was ceni wiele!
 Przyjemniejszy szmer świerków, miłszy cień topoli,
 Przy których wolni pasków²⁰ i wstając powoli

Pierwsze stawialiśmy kroki.
 O! jakież wdzięki urocze
 Mają te szare, sterczące opoki,
 Z których bluszcz gęsty rozpuścił warkocze,
 Co krzyk dzieci powtarzały
 I łajane, nas łajały.

Jak smaczna woda zdroju, co się z góry zmyka,
 Gdzieśmy groble sypali z piasku i krzemyka,
 Albo bżowe rynewki umacniając w skale,
 Nieśli przechodniom ochłodę w upale.

A te doliny w kwiecistym ustroju,
 Te miejsca igrzysk, gonitw, czasem boju,
 Ileż wspomnień nam nie niosą!!

²⁰ Niczym nieskrępowani.

Tu ścinaliśmy osty, mokre ranną rosą,
 Tam z białych główek strząślszy małe badyle,
 Pletliśmy pół dnia łańcuch, który potrwał chwilę,
 A ta straszna pokrzywa, tajona krzewiną,
 Iluż też gorzkich nie była przyczyną!

Ach, tak jest, miejsce urodzenia jest świętością dla serca, jest księgą, w której człowiek czyta aż do śmierci dzieje swojego szczęścia, bo dzieje lat dziecinnych. Sad za domem, ścieżka przez łąkę, kładka na strumyku, wszystko to rozdziały żywota, oblanego światłem nieprzebranej miłości rodzicielskiej..

Im dalej ku krańcowi życia, tym bardziej ściska się w sobie przeszłość nasza. Lata, lat dziesiątki, stają się punktem, a nawet nie punktem, jeżeli z niej nic dotąd istniejącego nie pozostało. Jak błyskawica, zgasła raz na zawsze. Ale wiek dziecinny leżeć zawsze będzie przed duszą, świeży, jaskrawy i równie rozległy, rozciąglejszy nawet i co do czasu i co do miejsca, niż był w istocie. Wielkim zawsze w naszej pamięci pozostanie pokój, po którym harcowaliśmy na laskowych rumakach, wielką owa kaplica,

Gdzie tuląc się do Matki, skryci w jej odzieże,
 Jej tylko zrozumiałe pletliśmy pacierze...

A też pory roku! Jakże długo trwały! Chętka bierze wierzyć, że dłużej niż teraz. Zima groźna swoimi długimi wieczorami zdawała się wiecznością. Nie można było doczekać się owego wielkanocnego baranka z chorągiewką, owej baby z cykatą²¹ i placka z migdałami, którymi cieszone się pół roku naprzód. A przy lekcjach! Przy lekcjach ten czas niemiłosierny laził jak na żółwiu.

Ale wróćmy do Hoczwi. Stanąwszy przed karczmą, mój ojciec zapytał Żyda arendarza: „A żyje jeszcze stary Kajetan?“ Na odpowiedź, że żyje, posłał po niego, pokazując nam chatkę naprzeciwko dworu na pagórku, w której on mieszkał.

Kajetan był to strzelec i hajduk podobno, służył dwornie w czasie, kiedy mój ojciec swawolił pod wielką lipą, kiedy rynewki w skale

²¹ Skórka pomarańczowa lub cytrynowa smażona w cukrze.

umacniał. W roku 1818 czy 1919 przyszedł był odwiedzić mnie, boso z Hoczwi do Cisny, mil trzy. Miał wówczas, jak mówił, lat dziewięćdziesiąt. Głowa jak z marmuru, bez jednego włoska, broda niewielka prawdziwie śnieżnej białości, twarz czerstwa, oko pełne, był jak jaka postać historii świętej z obrazu zdjęta.

Długo mój ojciec z nim rozmawiał, potem obdarzył i ruszyliśmy dalej.

W Baligrodzie wypoczęliśmy koniom. Tam granica świata. Za Baligrodem wjeżdża się jak w czarne gardło. Droga i rzeka jest to jedno i toż samo, a od rzeki z jednej i drugiej strony wznoszą się czarne ściany jodeł i smereków. Cisna leży w obszerniejszej nieco kotlinie. Folwark, cerkiew, karczma, dalej młynek i tartak ożywiają tę górską wioskę więcej niż wiele innych. Przyjazd nasz wszakże nie w dobrą chwilę miał miejsce. Zanosilo się na slotę. Z gór czarnych kurzyło się wkoło — na co tam zwykli mawiać, że niedźwiedzie piwo warzą. Szczyty gór były całkiem zakryte, nie mogłem więc podziwiać pierwszą osobliwość — Łupiennik. Ta góra podług miejscowego podania ma mieć dwadzieścia cztery kondygnacje²², a z wierzchołka widać Lwów!!!

Wieczór, chcąc nas zabawić, pan Zajączkowski, ówczasowy rządca ciśnieński, wystrzelif z fuzji. Stokrotny odgłos, bisgnący i wracający po górach, był dla nas zjawiskiem całkiem nowym, nawet nie przeczutym. Nie było miary naszemu zadziwieniu i zachwyceniu, dlatego wystrzelaliśmy wkrótce cały zasób prochu z arsenału pana Zajączkowskiego.

Pobył nasz w Cisny był pełnym uciech. Wszystko dla nas było nowym, nowym dla słuchu i wzroku. Trąby z kory juhasów odzywały się czasami po górach tu i ówdzie. Ton ich melodyjny, nieco jednostajnie przeciągły, powtarzany, a raczej rozciągany echem po skałach i lasach, ma w sobie coś tak swobodnego a tęsknego razem, tak stosownego do tej poważnie milczącej natury gór, że wrażenie, które od pierwszego razu na mnie zrobił, najmniej się nie starło. Odgłos tej trąby jest zawsze dla mnie prawdziwą rozkoszą, teraz może i większą niż wówczas, bo za każdym tonem leci krocie

²² Piętra.

wspomnień. Łapaliśmy pstrągi i kiełbiki, a jeżeli się czasem noga ześlizgnęła, było to powodem do śmiechu bez końca. Zwiedzaliśmy szalasy po odległych górach, gdzie nas częstowano buńdzem²³ i bryndzą. Byliśmy przekonani, że w każdym parowie musi być przynajmniej jeden niedźwiedź. W tym mniemaniu utwierdzał nas poniekąd pan Zajączkowski. Bał on się niedźwiedzi nie powoli. Powiadał nam, że przyszedłszy raz zamyślony nad jedną kładkę i podniósłszy oczy, ujrzał z drugiej strony rzeki, idącego do tej samej kładki, zapewne w zamiarze przejścia przez nią, ogromnego niedźwiedzia. Jak był ogromny niedźwiedź, nie trzeba mówić... rozumie się, że jak wół, jak kopica siana, i jaka jeszcze kopica!... rozumie się także, że się pan Zajączkowski przestraszył i że krzyknął, jak żaden jeszcze Zajączkowski nie krzychał. Niedźwiedź zdziwiony, bo zapewne o czym innym myślał, wznosił się na zadnich łapach a przednimi klasnąwszy parę razy przeszedł na bok i zostawił wolne przejście, z której to jednak gwałtowności pan Zajączkowski nie uznał za potrzebne korzystać i łącząc się z wagą z roztropnością wrócił spiesznie do domu. — Od tego czasu, mówił, bez szabli przy boku nie wyjdę z dziedzica.

Mój ojciec był ciągle zajęty fabryką. Jak wszędzie tak i w tamtych okolicach kochany i szanowany, miał wkrótce wiele gości. Między innymi Michał hrabia Konarski z Wietliny. Miał konie ze strzyżonymi grzywami, mówił co trzecie słowo: „Jak mi Bóg miły“ i tabakę z rożka zażywał. Ludwik Urbański z Jabłonek, nie tak głupi, jak się wydawał. Dobre człeczysko. Pius Fredro, ten sam co raz we Lwowie wracając w nocy do domu tego podkręcony na zapytanie szyl dwacha: „Werdo?“²⁴ (*Wer da?*) odpowiedział: „A Fredro. — Jak on wie, że ja Fredro?“, dodał sam do siebie. Osuchowski z Żerniczki, stary myśliwy, ten z Cisny nie wyjeżdżał prawie.

Czasem wieczór grywał z moim ojcem mariasza²⁵, ale jak było więcej gości, opowiadał wypadki, których sam doznał, albo których był świadkiem, wojując z niedźwiedziami. Powiadał, jak raz wzięwszy w zapale kuca srokatego za kundysa, szczał nim po strzale ran-

²³ Ser owczy zbity w płaskie formy.

²⁴ „Kto tam?“ ²⁵ Gra w karty.

nego niedźwiedzia. Kuc w nogi, a niedźwiedź do niego... dalej tańcować wkoło buka, póki nie nadszedł strzelec i dobrze wymierzonym strzałem nie położył końca tym mimowolnym pługom. Powiadał, jak widząc swego sąsiada pod niedźwiedziem, wołał przez rzekę: „Panie Podczaszy! Oddaj się Waćpan Bogu!“ — i jak palnął, w sam łeb... (niedźwiedzia, rozumie się). Powiadał, jak raz na polowaniu, gdzie więcej było amatorów niż myśliwych, rozstawił wszystkich drożyskiem z łąki aż na pagórek, gdzie objechano niedźwiedzia. „Odezwał się, mówił, tropowiec²⁶, dopuszczono kundysy, doszły niebawem niedźwiedzia, który idąc w hurku wzmagął się ku działom²⁷. Ja stałem na uszyjku²⁸, z drugiej strony łąki. Wtem słyszę strzał w górze, a wkrótce potem moje goście zadychane wypadają gęsięgo na łąkę krzycząc: „Niedźwiedź! Niedźwiedź!“ Ostatni bez czapki i bez strzelby, jak trup blady, komisarz cyrkularny, a za nim... aż chrusty trzeszczały... aż ziemia dudniła... Co? — Biała kobyła. — Cóż się stało? — Biała myśliwska kobyła uwiązana w gąszczu płoższona strzałem, a jeszcze więcej kapelą wiodącą niedźwiedzia... wala się i puściła ku domowi na pół drożyskiem. Nie czekał jej kreiskomiser²⁹, krzyknął: „Gwałt!“ i dalej w nogi. Niżej stojący amator podobnie wrzasnął i dernął³⁰, — tak i cała linia wysunęła się następnie na łąkę, ścigana białą kobyłą.

Takie i podobne opowiadania wielce nam się podobały, ale jeszcze więcej dykteryjki różnego rodzaju Krzyżanowskiego. Jak sobie teraz przedstawię tego Krzyżanowskiego, a pamiętam go bardzo dobrze, był on może ostatnim egzemplarzem dworaka, pieczeniara, wyjadacza dawniejszych czasów. Przyjechał konno, torba borsucza i strzelba przez plecy, harap w rękę. Niewielki, krępy, włos szpakowaty, mowa chrypliwa. Pół błazna, pół szlachcica, wszędzie był domowym. Nigdy nie opuścił okazji prosić o korczyk zboża, faskę bryndzy, kawał skóry i czy otrzymał czy nie, zawsze z uśmiechem ścisnął kolano Jaśnie Pana. Komu w nocy napuścić os do izdebki, komu włosienia nastrzyc na prześcieradło, komu jaj

²⁶ Idący po tropach, śladach.

²⁷ Zagonom. ²⁸ Przy ujściu wąwozu. ²⁹ Komisarz powiatowy.

³⁰ Czmychnął, uciekł.

w buty nakłaść? — Krzyżanowskiemu. Kogo rano do sieni w koszuli wyciągnąć, kogo pytką wybić, kogo poczęstować piwem z wodą zamiast wina, a wodą zamiast wódki? — Krzyżanowskiego. Dlatego Krzyżanowski miłym był gościem, a szczególnie dla dzieci. Na szarym końcu u stołu, nie był ostatnim do mowy i do kieliszka, nie urażał się jednak, kiedy w jego lampeczce mętniejsze było wino niż przed Jegomością albo księdzem Proboszczem. Kiedy pan domu co opowiadał, Krzyżanowski oka z niego nie spuszczał, chwytął się za głowę z przestachu, albo śmiał się do rozpuku. Kochany Krzyżanosio! Osuchowski z nim na żaden sposób nie mógł konkurencji wytrzymać — łąał dobrze jako myśliwy, ale i Krzyżanowski był myśliwy a łąał trzykroć lepiej. Kiedy się odezwał: „Razu jednego“... już wszystkie oczy były na niego zwrócone, wszystkie uszy natężone... I w samej rzeczy, trzeba słyszeć takiego improwizującego łąarza, aby pojąć, jaki wdzięk mają te długie i szerokie, a co krok w epizody³¹ wyskakujące opowiadania. Słuchamy jak historii z tyśiąc i jednej nocy w przekonaniu, że tam albo nic prawdy nie ma, albo tak mało, że ledwie na tytuł wystarczy, a jednak słuchamy z wielkim udziałem. To ciągle wyjaśnianie najdrobniejszych szczegółów, poprawianie sumienne siebie samego w najlichszym zбочeniu, cytowanie miejsca, dnia, godziny, osób przytomnych z odwołaniem zawsze do świadectwa: żywych przecie, — wszystko przeciąga rzecz całą niezaprzeczoną pokostem prawdy. Dopiero gdy przyjdzie do samego jądra Dziwnego wypadku, i kiedy wszelkie prawdopodobieństwo ustaje, wtenczas gwar i śmiech. Każdy się śmieje, jakby mówił: „Nie głupim, abym uwierzył“. I im mocniejszy śmiech, tym mocniej objawia się to zadowolenie z swojej własnej przenikliwości. Niechby kto spróbował pisać, słowo po słowie, co taki Krzyżanowski rozpowiada i niechby komu potem odczytał, a pewnie znaleźliby obydwaj, że słuchana z upodobaniem powieść jest tylko nudną i bez sensu ramotą³². Skądże to pochodzi? Oto brakuje świeżości improwizacji³³, uniesienia rzetelnego, mimiki stosownej, figury charakterystycznej opowiadacza, a nade wszystko

³¹ Wtrącane ustępy.

³² Lichym utworem literackim. ³³ Doraźnego pomysłu.

³³ Doraźnego pomysłu, na poczekaniu rozwiniętego.

jego wiary, że wiarę wzbudza w słuchaczach. Słowem, trzeba prawdy kłamstwa, aby kłamstwo zająć mogło.

Mam Krzyżanowskiego przed oczyma, kiedy po kilkudniowym pobycie odjeżdżał. Szkapo podkasala ³⁴, terlica ³⁵ węgierska, sakwy przewieszzone z tyłu a płaszcz z przodu, spod płaszczka zaś wyglądała zgięta podług siodła szyna żelaza, wykutego w Ciśnie na wieczną pamiątkę. Wsiadł pan Krzyżanowski, urznawszy sieczki parę razy, skropił szkapę harapem, ruszył z kopyta, a pochyłony jak w ukłonie aż za bramą czapkę włożył.

Generał Józef Kalinowski, który lubił do prawdy wiele nieprawdy podawać, gniewał się, *par jalousie de métier* ³⁶, na Ignacego Cetnera, że ten kłamał bez konceptu. „Co to może kogo obchodzić, mówił, że pan Ignacy 300.000 fur gnoju wywiózł, albo że ma 100.000 owiec“. I w samej rzeczy, kłamstwo o tyle tylko jest znosnym i bawić nawet może, o ile w nim jest dowcipu, inwencji ^{36a}, poezji. Na przykład, jeden ze znajomych ojca, żaluję że jego nazwisko zapomniał, rozповідаł o swoich podróżach po całym świecie, lubo nigdy nie był za granicą Polski.

„Raz, mówił, będąc w Ameryce zabłądziłem w lesie. Im dalej w las, tym las gęstszy a droga węższa, nareszcie zniknął wszelki ślad. Co tu robić? Na szczęście, przypominam sobie, że mam w bryczce doskonałą mapę, a doskonalszą jeszcze perspektywę ³⁷. Rozłożyłem więc mapę pod bukiem, zwróciłem na nią perspektywę i ujrzałem siebie i bryczkę w parowie pod bukiem, drogę zaś, idącą działami o pół mili na prawo, gdzie się potem, będąc już zorientowany, łatwo dostałem“.

Niedawno umarł na Podolu Jędrzej Szumlański, ostatni może w Polsce łgarz, poeta, tegoczesny Radziwiłł ³⁸. Między innymi opowiadał, że ma ogromny proces z powodu pługa parowego, który sam z Anglii przywiózł. „Doskonały, mówił, w jednym dniu zorał mi trzysta morgów, ale na noc zamknięto go w wozowni. Cóż się

³⁴ O długich cienkich nogach. ³⁵ Kulbaka. ³⁶ Przez zawodową zazdrość.

^{36a} Pomysłowości. ³⁷ Lunetę.

³⁸ Karol Radziwiłł z przydomkiem „Panie Kochanku“ (1734—1790) słynął z dziwactw, awantur i kłamliwych opowiadań o swoich przygodach.

stało? — pług wrota wyłamał — hajże w pole! Jak zacnie orać i orać, aż wpadł na grunta sąsiedzkie, a co gorzej, wszystkie kopce graniczne porozorywał. Stąd proces“. Najlepsze jednak jego koncepta nie dadzą się powtórzyć w dobrym towarzystwie.

Między różnymi myśliwskimi przygodami i mój ojciec opowiedział nam następującą i za jej prawdę zaręczył. Wątpić więc nie można.

Nieboszczyk wojski Orzechowski³⁹, ojciec naszego Piotra⁴⁰, poróżnił się był z chorążym N*. Wyzwali się do pierwszego spotkania, dlatego zawsze przy szabli jeździł i na polowanie. Razu więc jednego strzelił do niedźwiedzia i mocno ranił w piersi. Niedźwiedź swoim zwyczajem wznosił się na zadnich łapach i szedł prosto na przeciwnika. Orzechowski do szabli. Machnął parę razy, ale wkrótce szabla dostała się w zęby rozjuszonego zwierza, szczęściem atoli, że ostrzem ku niemu. Nie stracił głowy Orzechowski i chwyciwszy lewą ręką koniec szabli, odpierał jakby ostrym munsztukiem niedźwiedzia, który pchać się na niego nie przestawał, ale skaleczony w piersi i na pochyłości, niżej, nie mógł łapą zachwycić. Długa ta, nie do wiary prawie, a jednak najprawdziwsza trwała walka, aż przecie Orzechowski postrzegł zbliżającego się strzelca. Krzyknął, aby mu strzelbę rzucił pod nogi, sam zaś powoli tak się obrócił, że stanął znacznie niżej od niedźwiedzia, a gdy poczuł mocny nacisk, puścił nagle szablę. Niedźwiedź wywrócił kozła, a nim wstał, Orzechowski chwycił strzelbę i trupem go położył. Świadkiem niezaprzeczonym tej walki był palec odgryziony u lewej ręki.

Trzy razy w dzieciństwie byłem z ojcem w Ciśnie. Zawsze wstępowaliśmy do Jabłonek na obiad lub nocleg. Nie chciał tego odmawiać Ludwikowi Urbańskiemu, który pomimo śmieszności powierzchownych był dobrym i uczciwym człowiekiem. *A propos*⁴¹

³⁹ Zdaje mi się, że ten Orzechowski był wojskim przemyskim. Człowiek silnej duszy i silnego ramienia. Zginął w Krakowie, w bramie miejskiej podczas Konfederacji Barskiej. (*Przypisek autora*).

⁴⁰ Piotr Orzechowski, konsyliarz foralny w Galicji do 1809 r., potem sędzia trybunału w Warszawie, umarł tam koło 1820 r. Był stałym i szczerym przyjacielem mego ojca. (*Przypisek autora*). Konsyliarz foralny — radca sądowy.

⁴¹ Z powodu, przy sposobności.

niego raz mi ojciec powiedział: „Prawdziwym jest nieszczęściem w górach to oddalenie od wszelkiego światłego towarzystwa. Poznałem to w najwcześniejszej mojej młodości, dlatego wszelkich sił dołożyłem, aby się z gór wydobyć. Ożeniłem się z waszą matką nie zważając, że mogłem większy znaleźć posag. Puściłem Cisnę w dzierżawę, Hoczew sprzedałem, powiększyłem majątek, biorąc znaczne dzierżawy, jako u hrabstwa jarosławskiego, starostwa przemyskiego itp. Żyłem zawsze z ludźmi i dobrze na tym wyszedłem, bo mogłem wam dać lepsze wychowanie, niż je sam otrzymałem“.

Kochałem i szanowałem mego ojca, ale w miarę jak mi czas nasuwa punktów porównania, cześć dla niego zdaje się wzmagać w moim sercu. Powtarzam teraz często niejedno jego zdanie, jego przestrogę, których słuchając nie myślałem nawet, że je pamiętać będę. Żywot ojca stał się wzorem dla dzieci. Jego charakter prawy, rozum nie błyszczący świetnym ukształceniem, ale głęboki, logiczny, dobroć nieprzebrana, uprzejmość, uczynność, zjednały mu powszechny szacunek. Jako człowiek i jako Polak był on w całym znaczeniu wyrazu: *be z s k a z y*. O nim sumiennie można było powtórzyć: *Le Ciel n'est pas plus pur, que le fond de son âme*⁴².

Dobra sława ojca jest drogą spuścizną dla dzieci, ale i dzieci szanując rodziców składają jakby grosze do kasy oszczędności, które kiedyś w kapitalik urosną. Kiedy już ojca, matki nie ma, — o, jak błogie uczucie napędza serce, wznosząc oczy w te światy tajemnicze, gdzie mieścić lubimy choć cząstkę tych, których kochaliśmy, którzy nas tyle kochali w tym życiu. Jeżeli zawsze Boga błagałem, aby uczynił dzieci moje godnymi mego błogosławieństwa — co otrzymałem hojnie — to pewnie więcej ze względu na ich dalsze szczęście niż na moje własne. Bo ci, co nic sobie do wyrzucenia nie mają, słusznie i po swoich dzieciach spodziewać się mogą pociechy, ze spokojnym sumieniem wspominać będą czas spędzony na opiekuńczym łonie rodziców. Wiele osób okazuje żalobę serca po stracie rodziców, pokrywając ich pamięć świętym milczeniem, a ja chciałbym, żeby mnie moje dzieci wspominały, jak gdybym jeszcze był

⁴² „Niebo nie jest bardziej czyste niż głąb jego duszy“ (Racine).

z nimi. Ja lubię wspominać mego ojca jak najczęściej, robić go ucześnikiem i wesołych i dobrych chwil moich, zdaje mi się, że się on wtenczas do mnie uśmiecha. Spoczywaj! Spoczywaj w Bogu, Ty dobry, drogi, kochany Ojcze!

*

Deszcz padał, z lasów się kurzyło, smutna była Cisna. Siedzieliśmy przy kominie, słuchając odgłosu młotów, co nas z bliskiej fryszkerki⁴³ dochodził. Ktoś wspominał rozboje, przypomnieliśmy Wulfa, a ojciec, jak dobrze pamiętam, tak mówił:

Wówczas, kiedy ten Wulf, na czele kilkunastu łotrów, obdzierał podróżnych, najeżdżał domy i coraz straszniejszym się stawał, mieszkał w Sanockiem niejaki Kitajgrodzki. Szlachcic czynny, zbiegły, odważny, ale przy tym trochę zawiadziaki i wielki wciubski, nie znał lub znać nie chciał mądrego krakowskiego przysłowia: „Nie wtykaj nosa, gdzieś nie dał grosza“. Otóż razu jednego, w zimowej porze, pan Kitajgrodzki nocował w Barwinku u naczelnika komory. Koło dziesiątej, kiedy się już do spoczynku zabierano, strażnik przyniósł do podpisu kilka paszportów Żydów jadących z Węgier. Naczelnik siadł do biura i zaczął podpisywać, gdy Kitajgrodzki zasłyszawszy z alkierza, o co rzecz idzie, wyszedł w pół ubrany i zaczął przyganiać tej łatwości, z którą przepuszczają przez granicę, nie przekonawszy się pierwej, jakie to indywidua, i to właśnie w czasie, kiedy rozboje mnożą się coraz bardziej. To rzekłszy wziął świecę i wyszedł do pierwszej izby, gdzie w ciemnym kącie koło pieca stało kilku Żydów. Wzniósłszy światło nad głowę, aby lepiej widzieć przed sobą, postrzegł, że jeden z podróżnych stojących na przodzie cofnął się za drugiego, ku temu więc zwrócił się i w oczy zaświecił. Był to kupczyk jeszcze młody, wysoki, chudy, żółtawej cery, czarnej, krótkiej i rzadkiej brody. „Skąd panowie kupcy?“ zapytał Kitajgrodzki. „Z Węgier“, odrzekł zapytany i zasłaniając ręką oczy, jak gdyby go światło raziło, chciał się do drzwi zbliżyć. Ale Kitajgrodzkiego pozbyć się nie łatwo było, zwłaszcza kiedy się ciekawością czym zajął. — Skąd? Dokąd? Po co? Którędy? Na długo? —

⁴³ Pieca do wytapiania rudy żelaznej.

pyta, i zatrzymywał, nareszcie chwycił za połę płaszcz cofającego się bladego kupca, podniósł ją i odkrył pałasz przy boku, a dalej parę pistoletów za pasem. Wszczął się hałas, straż przybyła, chwyciono podróżnych, okuto wszystkich i odesłano do kryminalnego więzienia. Młody kupiec — był to ów słynny Wulf, hersz rozbójników.

W kilka miesięcy po swoim zwycięstwie dowiaduje się Kitajgrodzki, że Wulf uszedł z więzienia i że dał się słyszeć: „Nikogo jeszcze nie zabiłem, ale Kitajgrodzkiego jak schwycę, pasy z niego drzeć będę“. Zrozumiał szlachcic, że to nie przelewki, że tu idzie o gardło, i że on albo Wulf zginąć musi. Pojął oraz, że tylko prędkie i energiczne środki mogą dowieść do celu. Nie tracąc więc czasu, spieniężył co mógł, dokończył jeszcze, kupił koni, broń, przyjął pewnych ludzi i obwarował swój domek tak, że w nim napadu mógł się nie lękać. Ale nie przestał on na tym, wiedział bowiem, że w każdej walce chcąc stanowczo odnieść zwycięstwo nie można ograniczyć się na odpornym działaniu. Miał swoich szpiegów, śledził przez nich obroty nieprzyjaciela i zawsze był gotów wyruszyć przeciw niemu na czele swego dobrze uzbrojonego hufca. Wulf zaś ze swej strony, lubo zemstę poprzysiągł, nie chciał ją, jednak uczynić jedynym celem swoich czynności. On chciał rabować dla zysku a zemścić się dla uciechy. Dlatego wojna z Kitajgrodzkim nie była mu na rękę i unikał go ile możliwości. Jak długo trwał ten stan rzeczy, nie umiem powiedzieć, wiele razy walczono ze sobą, nie wiem, dość że razu jednego dano znać Kitajgrodzkiemu, że Wulf ma zjechać na szabas do Liska. „Na koń!“ krzyknął Kitajgrodzki i nie wyszło pół godziny, już kłusował działami⁴⁴ na czele swojego oddziału. Nie drzymał i Wulf, miał swoje czaty, bo gdy Kitajgrodzki jedną stroną od Ustrzyk wpadał do miasta, on wymykał się drugą. Dostrzeżony, ścigany, coraz mocniej napierany, skręcił nareszcie ku Sanowi i wpław się rzucił. Kitajgrodzki przypadł na brzeg, strzelił za nim i zdawało mu się, że się zbieg po strzale na lewo pochylił. Ale czy to dlatego, że już wieczór szarzał, czy też się lękał zasadzki, nie ścigał dalej, wrócił do Liska i tam przenocował.

⁴⁴ Zagonami.

Nazajutrz, jeno świt, przejechał San w bród pod Zamkiem i na lewym brzegu starał się przejąć ślady naprzeciwko miejsca, z którego strzelił. Nie tak to łatwo po kamienistym połu. Głowa w dół spuszczone, ledwie nie z olstrami w równi, sylabizował rozmaite hieroglify⁴⁵, z których się nareszcie doczytał, że jego przeciwnik zaraz z wody ruszył z kopyta, galopował aż pod las, tysiąc może kroków od brzegu, tam stał, słuchał pewnie, czy pogoń nie pluszcze po Sanie, albo czy krzemień nie tętni pod podkową na drodze z miasta. Potem skręcił na łączkę i ujechawszy paręset kroków, zsiadł z konia i uwiązał go do drzewa. Przy bliskim strumyku leżał cybuszek rogowy i długa szmatka. Z łączki wrócił do konia i jechał pomалу popod las tęgi kawał aż do drożyny wiodącej w lewo w las. Tu ślady stawały się coraz rzadsze, gdzie niegdzie tylko kamyk usunięty, albo korzeń zdarty ocelem wskazywał z kilku dróg, a raczej ścieżek, którą pojechał. Nareszcie zginął wszelki ślad.

Daremnie Kitajgrodzki ze swoimi ludźmi, jak wprawni objeźdnicy, zakładali na prawo i na lewo, daremnie przecinali drożyska i łąki, na każdej mokrzawie na klęczkach szukali najlichszego znaku, — ślad jak zginął, tak zginął. Już było i z południa, popasiono konie w Piskarowskiej karczmie i straciwszy wszelką na teraz nadzieję dojsścia złoczyńcy, ruszono ku domowi. Wyjechali z lasu i z przykrej spuszczały się góry, kiedy jeden odezwał się do drugiego: „Byłbym przysiągł, że dzisiaj sobota“. — „A juźcić nie niedziela!“ odpowiedział drugi i tak głośno się roześmiał, że Kitajgrodzki jadący przodem, zapytał się: „A czego ty się tak śmiejesz, Szymonie?“ — „Jakże się nie śmiać, kiedy Józef tak się tego Wulfa przestraszył, że zapomniał, że to dzisiaj sobota“. — „Jakże może być sobota, odezwał się Józef, wszak w sobotę Żydzi nie jeżdżą“. — „Alboż jedzie który?“ — „Ot nas minął wózkiem i ćwiczysz szkapę pod górę“. — „Łapaj!“ — krzyknął Kitajgrodzki — „łapaj!“... I sam zwróciwszy konia, kopnął się za wózkiem, aby doścignąć, nim w las wjedzie. „Stój!“ krzyknęto. Żydziuk zbladł, zdjął czapkę i upuścił, zdjął gemerkę⁴⁶ i upuścił. Jednak udając pół głuchego, pół głupiego,

⁴⁵ Obrazkowe pismo dawnych Egipcjan, w przenośni — pismo nieczytelne.

⁴⁶ Gamerka albo magierka — czapka okrągła.

wywijał się jak wąż w swoich odpowiedziach na zapytania. Aż nareszcie harap, parę razy dobitnie na plecy spuszczoney, uporządkował jego myśli i odpowiedzi, z których okazało się, że zawiózł choroego do Brzozowa do Judki cyrulika.

W niedzielę dzwoniło na Anioł Pański, kiedy Kitajgrodzki zsiadł z konia przed kościołem w Brzozowie, ukląkł, zmówił pacierz, potem zostawiwszy jednego ze swoich ludzi przy koniach, z drugimi kazał prowadzić się ujętemu na drodze Żydkowi. Sunął się cicho popod domy, a gdy Żydek pokazał domek cyrulika, odesłał go w tył a sam zakołatał do drzwi. Jęczał i błagał przez drzwi, aby mu otworzono, obiecywał trzy złote, jeżeli mu pan Judka prędko ząb wyrwie. Odezwał się nareszcie jakiś bachor i powoli drzwi uchylał. Kitajgrodzki pchnął je, wszedł i przyłożywszy pistolet pod nos zaspalnemu i skrobiącemu się bachorowi, rzekł cicho: „Ani piśnij, bo ci w łeb strzelę. Gdzie chory, którego tu w nocy przywieziono?” Bachor wskazał na schodki w głębi sieni i na wznak się przewrócił. Dalej więc na schodki! Drzwi były z wewnątrz zamknięte. Uderzone nogą otworzyły się na oścież... a kulka świsnęła pomiędzy głowy wchodzących. Zbój leżał w łóżku, wystrzelił z jednego pistoletu i chwycił za drugi... ale mu czasu zabrakło... Kitajgrodzki przycisnął sobą pistolet i zbója razem. Ankiel Wulf, gdyż to był on w istocie, okuty i odprowadzony do Lwowa był tam nareszcie stracony dnia 16 maja 1787 na wielką pociechę Kitajgrodzkiego. .

*

Wyjechaliśmy z Cisny, odwiedziliśmy Urbańskiego w Jabłonkach, Orzechowskiego w Żernicze, nocowaliśmy w Lisku czyli Lesku. Za Liskiem stanęliśmy i oglądali na szczycie pagórka ogromny ułom skały. Nie widać na nim ręki ludzkiej, a jednak ze swego kształtu zdaje się być częścią jakiegoś gmachu. Różne o tym kamieniu biegają powiastki, jedna cudowniejsza od drugiej, ale najwięcej jest upowszechnioną ta, która zapewnia, że diabeł niósł ten kamień, ale kogut zapiał i diabeł kamień upuścił. W Ustianowej stanęliśmy na popas. Wkrótce wbiegł Żydek, powiedział coś Żydówce, Żydówka spojrzała w okno, a za nią pół tuzina Żydziatek różnego kalibru. „Cóż tam takiego?” spytał się jeden z nas gospodarza. „Pan

Kasper“, odrzekł gospodarz. — „Czegóż go się boicie“, odezwał się mój ojciec. — „A jak się nie bać?... On wariat!“ — „Ale nikomu nic złego nie robi“. — „Jak nie robi! On ma strzelbę nabitą. Raz już w okno wystrzelił“. — „Przypadkiem“. — „Jak przypadkiem! On mierzył... Dwie szyby wybił“. Spojrzeliśmy w górę w miejsce wskazane i ujrzeliśmy dziury w oknie gontami założone, jako pomnik owej strasznej katastrofy, która pewnie przejdzie z ust do ust aż do najdalszej potomności tej arendarskiej rodziny.

Wszedł pan Kasper Brześciański, dziedzic części Ustianowej. Miał na sobie kapotę zieloną strzeleckiego koloru, pas skórzany z klamrą. Torba i strzelba przez plecy, czapka ze siwym barankiem na bakier. Zawsze pieszo podróżował, bo jak miał swoje konie i bryczkę, zawsze kazał prosto jechać... A że prosta droga nie wie- dzie do celu... więc w pierwszym potoku musiał zostawiać połamaną bryczkę. Był to piękny mężczyzna, wysoki, twarz piękna, wąs czarny, oko łagodne. Przywitał się z moim ojcem po przyjacielsku i rozmawiał czas jakiś tak rozsądnie, że ja z Sewerynem zawiedzeni w nadziei naśmiania się z wariata już chcieliśmy wyjść na podsienie, kiedy słowo: i n t e r e s a zdało się dotknąć go drutem elektrycznym i zgasić nagle pochodnię rozumu, a otworzyło razem wrota gradowi słów bez żadnego związku. Domowe niezgody obłąkały jego rozum w kwiecie młodości.

Widoczne dramata na powierzchni świata przejmują nas li- tością albo zgrozą. Ach, gdybyśmy zoczyć mogli te liczne dramata, co się toczą w głębi serca, a cicho, a cicho... których tajemnicy strzeże nieszczęsny jak skarbu najdroższego a skarbu nieprzebranej swojej boleści, których ogrom Bóg tylko jeden ocenić może, a świat nie przeczuwa nawet... i które nareszcie rozsadzają łono, albo mącą rozum... O, jakże często płakalibyśmy krwawymi łzami wśród tego kwiecistego świata!

Podobne pomieszanie zmysłów dotknęło generała Kopcia w nie- docieczonych jego cierpieniach na Syberii. Poznałem go w Warsza- wie 1820 r., przyszedł do mego brata Maksymiliana; długo rozma- wiał bardzo rozsądnie, ale gdy wspomniał o swojej niewoli, nie wyszło pięciu minut, już w swojej podróży po Syberii stawał na

szczyt: jednej góry, skąd się na szczytkach spuszczano. Tam była granica jego rozumu. Co dalej mówił, nie miało żadnego związku. Mój brat powiadał mi, bo bawił w Puławach wtenczas, kiedy tam Kopeć przyjechał zaraz lub wkrótce po swoim powrocie z niewoli, że księżna generałowa Czartoryska zleciła kilku osobom uporządkować jego opowiadanie ile możności, ale nie było podobieństwa. Nawet gdy chciano skreślić mapę podług jego wspomnień, on chciał aby zawsze rysowano góry z profilu, jedno za drugimi. I ten nieszczęsny miał zostawić pamiętniki!!! I Mickiewicz rozwodzi się nad nimi! A jednak Mickiewicz żył z osobami, co znały bardzo dobrze generała Kopcia ⁴⁷. Wierzę tu owocnym pisarzem! Nie, ówcześni mogą tylko materiałów dostarczać, a dopiero później sąd światły, oczyściwszy je z błędów mimowolnych i z błędów natchnionych duchem stronnictwa, może utworzyć prawdę dziejów.

W tych czasach pojawił się pamiętnik Jana Sagatyńskiego, pazia (?) Stanisława Augusta. Urodzenie Sagatyńskiego ⁴⁸ jest dotąd zagadką. On dawał do zrozumienia, że był synem króla, drudzy mówili, że wielkiego koniuszego Kickiego. Tak czy siak, ród jego nie uprawniał go do zaszczytnego urzędu pazia. Sagatyński był to patentowany bufon salonowy ⁴⁹. Jego śmieszne i dobre koncepta, rozwałkowane w długie historie, żyją dotąd w tradycji i długo żyć będą, pozbawione wszakże i szczególnego talentu i pociesznej figury ich autora. Kilka lat przed śmiercią Sagatyński bywał często w moim domu. Gdy mi raz opowiedział parę anegdotek o królu Stanisławie, powiedziałem mu, że powinien spisać, co tylko pamięta z owych czasów. W parę dni przyniósł mi arkusz pisma. Styl słaby, a raczej żaden, rozwlekłość, jedna anegdotka, i to nie dowcipna, przekonały

⁴⁷ Józef Kopeć, generał, w bitwie pod Maciejowicami 10 października 1794 r. dostał się do niewoli i wysłany został do Irkucka, a następnie na Kamczatkę. Po powrocie do kraju wpadł w obłąkanie. Pamiętnik jego wydano we Wrocławiu w 1837 r. Mickiewicz rozbił pamiętnik Kopcia poświęcił dwie lekcje w swoich wykładach paryskich o literaturze słowiańskiej.

⁴⁸ Pamiętnik Jana Sagatyńskiego wydano w Poznaniu w 1845 r. pt. *Pamiętnik byłego pazia Stanisława Poniatowskiego, przy którym zostawał aż do śmierci*. Sagatyński zmarł w Galicji w 1844 r.

⁴⁹ Głupi samochwał, pyszałek.

mnie, że z tej mąki nie będzie chleba. Pochwaliłem jednak i zachęciłem do dalszej pracy. Nic mi już jednak później nie przyniósł, a gdyby był co napisał, byłby mi czytał niezawodnie, nareszcie ten niby jego pamiętnik nie odpowiada ani wesołości charakteru Sagatyńskiego, ani też sposobowi zbyt rozwlekłemu opowiadania. Wydawca, który stara się uniewinnić słabość stylu, niech się pocieszy, Sagatyński nie był w stanie i tak napisać.

*

Za Chyrowem, gdzie cała ludność robi pończochy na drutach, widzieliśmy po lewym ręku piękny zamek w Laszkach Murowanych nad Strwiążem w zupełnie jeszcze dobrym stanie. W tych czasach matka moja odwiedzała w nim panią Mniszchową, matkę pani Ksawerowej Krasickiej i pana Stanisława Mniszcha.

Ledwieśmy zajechali do Żyda w Starej Soli na nocleg, przyszedł jakiś Inspektor czyli *Verwalter* żupy solnej⁵⁰ i po długiej upartej prośbie skłonił mego ojca, że wzięwszy nas z sobą poszedł do niego na wieczerzę. Został mi w pamięci ryż przysypany cynamonem, a jeszcze bardziej zdarzenie, które mu towarzyszyło. Już mowa z niemiecka naszego gospodarza łechtala nas nie po trosze, chęć śmiechu brała nas na tortury... A cóż dopiero nie stało się z nami, kiedy pan Inspektor wzięwszy kieliszek: „Za strofie laskafego gościa!“ podniósł się, uklonił, a siadając chybił krzesło o połowę, chwycił się stołu i niepewność długo trwała, czy wróci na krzesło albo czy wleci pod stół. Cała serweta w usta wpakowana, nos ściśnięty, wejście ojca, nic nie pomogły, trzeba było koniec końców parsknąć śmiechem. O, śmiechu! Jak ty luby jesteś starości, kiedy zagrasz w dziecinnym garelku, tak szczerze, tak dźwięcznie! Rozciągasz wesołość wkoło siebie i na sam smutek. Porównać cię można do jutrzeńki, co swój uśmiech różany rozciąga i na zwaliska, i na zbutwiałe drzewa, i na pochylone krzyże cmentarza.

W kilka lat potem, 12 stycznia 1806 r., dzień mroźny zabielał na wschodzie. Świece po pokojach w Beńkowej Wiszni tły czerwono... nikt ich objaśnić, nikt pogasić nie myślał. Pojazdy stały

⁵⁰ Administrator kopalni soli.

przed oknami... pakowano spieszenie... Dzieci zbite w gromadkę płakały, bo i starsi płakali, a płakali rzewnie. Ojciec opuszczał swój dom, bo przed godziną ostatnim westchnieniem ostatnie dała nam błogosławieństwo najlepsza, najtroskliwsza matka.

Już miałem rok trzynasty, kiedy straciłem matkę, a jednak jakby zamglona przedstawia się mojej pamięci... nawet rysy jej twarzy nie dosyć wyrazisto mam przed oczyma. Widzę ją zawsze zajęętą ogrodem... ona bowiem przeistoczyła i rozszerzyła ogród w Beńkowej Wiszni. Oprócz lip, szczątków ulic sklepionych w czworobok, wszystkie starsze drzewa jej ręką sadzone. Dlatego ten ogród dzieci moje szanować powinny. Te kilkanaście świerków przy ścieżce wiodącej na dół do studni był to kłębik przez nią zasadzony, złożony z dziewięciu świerków, liczby żyjących wówczas jej dzieci... Trudno teraz rozpoznać, które to te najpierwsze świerki.

W rok niespełna po śmierci naszej matki bracia moi starsi, Biegański i Trawiński wyjechali do Warszawy, by wstąpić do wojska polskiego. Mój ojciec przeniósł się na stałe mieszkanie do Lwowa, lato tylko przez parę lat na wsi spędzał.

1808 roku siostra moja Ludwika poszła za Antoniego Rozwadowskiego. Jeżeli obowiązki córki, żony, matki, pełnione z poświęceniem nieustannym ściągnąć mogą promyk świętości, pewnie on świeci nad duszami siostr moich: Ludwiki Rozwadowskiej i Cecylii Jabłonowskiej. Ich ciche cnoty przesuwwały się niezważane, bo same nie zdawały się mieć pojęcia swojej wartości...

Ludwika po śmierci męża (1813) została z dwojgiem dzieci, bez majątku prawie, powróciła więc w dom ojcowski. Kiedy synowie rozstrzeleni na wszystkie strony rzadkim byli towarzystwem dla starego ojca, ona z wzrastającą pod jej opieką Cecylią otaczała go niczym nie zmordowaną troskliwością. A gdy i Cecylia poszła za męża, a ojciec coraz częściej zapadał na zdrowiu, ona i ona zawsze nieodstępna była i ona oczy mu zamknęła (1828). Żyła jedynie w swoich dzieciach, za ich ciasnym kółkiem świat dla niej nie miał powabu, nie miał pociechy, a jednak gdy nadszedł rok 1830, nie wahała się wyprawić jedyne go syna do Warszawy. Doczekała się jego powrotu i dopiero 1839 roku zakończyła śmiercią długą i bolesną chorobę w domu ukochanej swojej córki, Wandy Skrzyńskiej.

Uosobistnioną dobrocią i łagodnością była Cecylia Jabłonowska. Ostatnie jej słowa najwyraźniej malują całą świętość jej duszy. Kiedy w chwili śmierci już raz ostatni odzyskała przytomność, spojrzała na córki i na całe otaczające ją rodzeństwo i rzekła: „Ach, jak ja w a s męczę!”

*

Zdaje mi się, że w opowiadaniu moim zboczyłem z prostej drogi. Nadużywałem, jak widzę, moi Państwo, cierpliwości waszej. Ksiądz proboszcz drzemie, a doktor ziewa, panie przez grzeczność o czym innym myślą. Może wspomnienie 1809 roku wszystkich obudzi. Wracam się do tej chwili, kiedy z wujem moim, Wojciechem Dembińskim, przyjechaliliśmy do Nienadowej, pierwszych dni maja.

Nazajutrz po przybyciu naszym obadwa bracia, Wojciech i Antoni, pojechali do Zarzeczca, aby się zbliżyć do Jarosławia, gdzie podług wieści wojsko polskie już było, i aby pewniejszych zasięgnąć wiadomości. Ja z wujenką piliśmy kawę pod kolumnami starego domu, kiedy blady, zadychany Żyd krawiec ze złamanym nosem wbiega na dziedziniec i od bramy już krzyczy: „Już są!... Przyszli!... w Dubiecku!... w pałacu!... Polaki!...” Nie słuchałem, nie słyszałem więcej... Jednym skokiem już byłem na ścieżce wiodącej przez Olszynkę do Dubiecka... ze mną biegł Perrot, Francuz, gubernier młodych Dembińskich.

W samej rzeczy ujrzeliśmy przy rogatce dwóch szaserów⁵¹ konnych 5 pułku dowództwa pułkownika Turno. Mieli granatowe kolety, amarantowe kołnierze, od kołnierza wzdłuż okrągłych guzików po obu stronach pasek biały z amarantową wypustką, na głowie czeka z piątym numerem na przodzie. Przy siodle karabinki, w rękę ogromne obosieczne pruskie pałasze.

To Polacy!... To Polacy! powtarzałem i nie wierzyłem sam sobie. Dusza przeszła w oczy... wlepiąłem je w drogie zjawisko. Na ziemi leżał porąbany dwułbisty orzeł, który był na domie pocztowym. Schwytyany oficer austriacki, jadący kurierem, stał przy wozie z miną, która zowie się gminnym wyrazem: kiepska. Pocz-

⁵¹ Strzelców.

majster, w szlafroku i pantoflach zapewniał wiarusów, że się bardzo cieszy z ich niespodziewanej wizyty, częstował wódką, a flaszka dzwoniła o kieliszek, bo poczmajster dostał febry z radości.

Idziemy ku pałacowi i w ulicy spotykamy cały oddział pod dowództwem porucznika Wesołowskiego. Był on potem kapitanem w 11 pułku ułanów.

Kiedy przy rogatce poczmajster się trzęsie, porucznik klnie, podpite szasery pakują na wóz grubego hauptmana⁵², w pałacu kończył się okropny dramat. Patrol 5 pułku wpadłszy do miasteczka, a potem do pałacu, zastał — jak to zwykle na wsi bywa — drzwi na oścież pootwierane, a w pokojach nikogo. Henrykowski kapral, młody, przystojny mężczyzna, szukając tam nieprzyjaciela znalazł najniebezpieczniejszego: „pokusę“. Wziął złoty zegarek. Wkrótce przybył oficer, nadeszła pani domu, przyjechał pan Ksawery Krasicki, dostrzeżono stratę i upomniano się o nią. Henrykowski przekonany, zmuszony oddać swoją zdobycz, nie mógł znieść wstydu, chwycił za pistolet i strzelił sobie w piersi. Żył jeszcze, kiedy go odwiedziłem, ale wkrótce skonał.

Jakże później żałowałem, że nie wsiadłem na jego luźnego konia i że nie pojechałem z Wesołowskim... Ale nie byłbym był świadkiem tego, co się wkrótce działo we Lwowie. Nie byłbym uchwycił uczucia, które stało się najmilszym, najdroższym moim wspomnieniem.

*

Wróciwszy spiesznie do Lwowa, zafryzowałem, wypudrowałem głowę i poszedłem do wojewodziny bełzkiej⁵³. Otoczony, wypytywany, nie mogłem nastarczyć w powtarzaniu wszystkich szczegółów wypadku w Dubiecku. Wtenczas z Olesia wyrosłem na pana Aleksandra.

Nie chciałem czasu tracić i mój kochany ojciec, Polak z duszą, ciałem, nie pojmując nic wyższego nad dobro Ojczyzny i zaszczyt jej służenia, nie dał się prosić i opatrzywszy w pieniądze, wyprawił mnie z krzyżykiem na drogę do zbliżającego się wojska polskiego.

⁵² Kapitana.

⁵³ Kordula z Komorowskich, żona Teodora Potockiego, wojewody bełzkiego.

ZAKOŃCZENIE

(z brulionu)

...Trzeba było mnie widzieć, kiedy — łeb wypudrowany, frak o guzikach wielkości moskiewskich kopijek, buty ze sztylpami, u zegarka siedem pieczętek rzeszowskiej roboty — przybyłem na wieczór do wojewodziny bełzkiej. Otoczony, rozpytywany, nie mogłem nastarczyć powtarzać wszystkich szczegółów wypadku dubieckiego, — z Olesia wyszedłem na pana Aleksandra.

Mówiono wówczas: wieczór, bal lub obiad u wojewodziny Potockiej¹, lubo wojewoda żył jeszcze; słaby na oczy, siedział w na pół oświetlonym gabinecie, nie należał do świata, co w innych salonach snuł się nieustannie. Ale obok niego ujrzałeś zawsze, jakby cienie jego osoby, Rostworowskiego, starostę bez starostwa, albo którego z Komorowskich, między tymi wyróżniał się Józef, maltański i jeszcze paru innych okienkowych orderów kawaler². Żyje dotychczas. Jego przeznaczeniem było być zawsze arcymłodym, a powołaniem — robić ciągle długi. Goldoni³ przezwiał ten typ Fabriccim, który sprasza na obiad kogo spotka, nie troszcząc się, czy się obdzielią tym, co skupił za ostatnią srebrną łyżkę. I znowu kontent, znowu śmiejący; taki człowiek najlepiej dowodzi, co jest szczęście, — że nic innego, jak nasze własne usposobienie przyjmowania zewnętrznego dotknięcia. Żyje też długo. Śmieszny to był ten kawaler maltański, tchnący bergamotem⁴, pudrem sypiący, szastający się, kobietom nadskakujący, a przy tym dający powód do wielu dwuznaczności przez zmianę

¹ Wojewodzina bełzka — Kordula z Komorowskich Teodorowa Potocka.

² Komorowski Józef (1767—1847), rotmistrz kawalerii narodowej, później szambelan austriacki. — „Okienkowy order“ — dany z zaświadczeniem, w którym było pozostawione miejsce („okienko“) do wpisywania nazwiska udekorowanego; takie zaświadczenia dawano nie za zasługi, lecz za pewną kwotę pieniędzy.

³ Goldoni Karol, znakomity komediopisarz włoski (1707—1793).

⁴ Gatunek perfum.

w swojej mowie *k* na *t*. Tak mawiał: „moją żonę całą noc tatar (*katar*) męczył“; „województwa taszel ma (*kaszel ma*)“; „tonie (*konie*) wpadły, baba wysypała trupy (*krupy*) i padła na tupę (*kupe*)“⁶. Dla skompletowania tych wszystkich śmieszności z półszambelanem austriackim — on w haftach, żona i dzieci bez trzewików.

W domu województwa, a potem wojewodziny, nudzono się zwykle, lecz jednak bywano. Co dzień wieczór można było kogo zastać i kto tylko przyjechał lub przejeżdżał przez Lwów, szedł tam, gdzie zawsze przyjmowali, gdzie ziewali, ale w dobrym towarzystwie.

Wiadomo powszechnie, że Potocki tulczyński kazał utopić synowem swoją, z domu Komorowską, między innymi więc wynagrodzeniami, które familia Komorowskich przyjęła, było i ożenienie Teodora Potockiego, wojewody bełzkiego, z siostrą zamordowanej⁶. Z pierwszej żony miał syna Adama, ożenionego z Rostworowską, siostrzenicą rodzoną wojewodziny. Ona to, owa wszędzie znana pani Adamowa z swymi siostrami, Anielą i Zofią, wiodła długo rej eleganckiego życia we Lwowie. Dobre to ruskie przysłowie: *Prybud' rozum, szcztastje bude*⁶ — bo pani niegdyś za mającą rozum uchodziła i w rzeczy miała go tam nieco, ale nie takiego, z jakiego szuka się chluby — potem o tym, i nieraz jeszcze, a teraz o sobie.

Nie chciałem tracić czasu i ojciec też mój kochany, Polak z duszą, ciałem, nad dobro Ojczyzny nie pojmując niż wyższego, nie dał się prosić i, zaopatrzwszy w pieniądze, z krzyżykiem na drogę, wysłał mnie do zbliżającej się armii polskiej. Brygadier Rozwadowski, potem pułkownik 8 pułku ułanów, który później odstąpił ks. Dominikowi Radziwiłłowi, jechał do głównej kwatery, do Poniatowskiego, wziął mnie więc z sobą i ruszyliśmy ku Zamościowi.

W Żółkwi spotkaliśmy patrol polski i Adama Potockiego, wrócił on z głównej kwatery z pozwoleniem formowania pułku konnicy. Uległem jego namowom i obietnicy szlify⁷ oficerskiej. Zdawało mi się wtenczas, że pułk wystawić niedługo zabawi i że na nieprzyjaciela nie zbędzie nam tak prędko. Dałem więc słowo, zostałem podporucznikiem, ale nie pamiętam, dlaczego zaraz z nim nie wróciłem.

⁶ Franciszek Salezy Potocki, pan na Tulczynie, kazał (1771 r.) zamordować Gertrudę z Komorowskich, którą jego syn, Stanisław Szczęsny, potajemnie poślubił. Na tle tej tragedii Antoni Malczewski osnuł poemat pt. *Maria*, Józef Korzeniowski dramat pt. *Dymitr i Maria*, J. I. Kraszewski opowiadanie pt. *Starościna bełzka*.

⁷ „Gdy będzie rozum — będzie i szczęście“. ⁷ Odznaki.

W Rawie zastaliśmy generała Kamińskiego z 6 pułkiem ułanów pułkownika Dziewanowskiego. Trzeba było mieć sto a nie szesnaście lat, mleko a nie krew w żyłach, aby się nie upoić sławą, co opromieniała wojsko nasze. Słuchałem całą duszą opowiadania świetnych, ledwie do wiary podobnych, a jednak istotnych czynów: Sandomierz i Zamość zdobyto jak w przelocie, wszędzie zwycięstwo, gdzie powiał proporzec, gdzie Orzeł Biały zabłysnął. Brała mnie chętka zapomnieć, co przyrzekłem Adamowi Potockiemu, i wejść w szeregi 6 pułku, a zwłaszcza że zapoznałem się z szefem szwadronu Dembińskim i jako z Dembińskiej urodzony — miałem jakieś prawo do jego protekcji. Ale mój opiekun Rozwadowski, a nawet i poczciwy Kamiński, który zawsze ojcowskie miał serce dla młodych, odradzili, zabronili prawie. Kamiński był to człowiek już wieku, małego wzrostu, dosyć otyły, dobronuduszny, przystępny, chętnie rozprawiający, prawdziwy szlachcic dawnej daty. Ile razy później okoliczności zbliżyły mnie do niego, zawsze w nim znalazłem więcej niż uprzedniego przełożonego. Miałem wtenczas szczęście do ludzi. W kampanii 1812 r. wzięty w niewolę skończył tam z życiem swój zawód wojskowy.

W Rawie rozstałem się z brygadierem Rozwadowskim i w końcu z Ożarówskim i Erazmem Komorowskim za obozem wróciłem do Żółkwi.

W jednym z zajezdnych domów zebrało się kilkunastu szlachty z obwodu żółkiewskiego, w najczystszy zapale — siebie, dzieci, majątki przynosić w ofierze Ojczyźnie, temu bóstwu, nie pojętemu od wielu narodów, a którego samo wspomnienie przejmuje ogniem i miłością całą istotę Polaka. Poczęto radzić. Generał Erazm Komorowski, targowiczanie, którego generalstwo zostało zagadką na zawsze, zabierał głos stanowczy. Pułkownik Dziewanowski odczytał na prędce napisany obraz powstania narodowego w Wielkiej Polsce za zbliżeniem się wojsk francuskich w r. 1806 i radził tym samym torem postępować. Ledwie mu dano skończyć. Dwa pułki wystawiły cyrkuł żółkiewski, pieszy i konny — jednogłośnie wykrzyknęło... kilkunastu i zaraz do wyborów przystąpiono. Jeden pułk miał formować generał Komorowski, drugi, jak mi się zdaje, Goszkowski. Komorowski zaczął zaraz nominować oficerów; mógłbym być osiągnąć jaki wysoki stopień, gdybym już nie był w 24 godzin podporucznikiem w innym korpusie. Daremnie Dziewanowski robił uwagi, że pułk wystawić jest wielkim zadaniem, że lepiej następnie małe oddziały uzbrajać i do boju wysyłać, etc. Nie pomogło. Dwa pułki postanowiono.

Noc już była, kiedy znalazłem się znowu na lwowskim bruku. Podczas krótkiej mojej niebytności wielkie zmiany zaszły, bo wczor-

raj Lwów już był polskim. Czarne orły znikły, białe gdzie jeszcze się znalazły, wykute w kamieniu, oświetlono. Wczoraj Starzyński na czele oddziału 5 tegoż samego pułku, który widziałem już w Dubiecku, i także później mój kapitan i kolega, wszedł był do miasta opuszczonego przez Austriaków na kilka dni pierwej. Wielki to był popłoch między biurokracją; wielka radość i zapał między mieszkańcami. Ale oddział Starzyńskiego był tylko rozpoznawczym, zabawiwszy więc kilka godzin w mieście odszedł; potrafił on tylko kajdany, które z ogromnym szczęciem runęły. Wolność jak po długim odrętwieniu zdawała się powoli przychodzić do świadomości siebie. Jednak nie tak to szło, jakby iść powinno, czułem to nawet wtenczas. Zastałem całą młodzież na wypieszczonych koniach, polyskujących dziewiczą jeszcze bronią na dziedzińcu pałacu wojewodziny, gdzie z okien świat piękny poklaskiwał, nie wiem czemu.

Jakkolwiek młody, bardzo młody, nie dałem się pochwylić w owej chwili tej demonstracji patriotyzmu, zanadto przysypanej kwiatami salonowymi, aby mogła w każdym sercu równy odgłos znajdować. Może dlatego zimniejszy wtedy od moich przyjaciół byłem, że wyjechawszy z domu na wojnę, wróciłem jakim był wyjechał, że mnie ogarnęło powietrze obozowe, gdzie widziałem ogorzałe słońcem twarze, kurzawą pokryte mundury, że widziałem już prawdę wojny, — jednym słowem, wstydzilem się sam siebie, wstydzilem się tego eleganckiego karakolowania⁸ bez celu. Później, nie długo później, przypasałem i ja szablę do fraka i z wielkim ukontentowaniem rozpuszczałem konie po ulicach. Zostałem adiutantem Adama Potockiego, który, powiem dokładnie, jakie i nad czym był objął dowództwo.

*

Kiedy teraz stawiam przed rozważę obraz owego czasu, przyznać muszę, że w r. 1809 Galicjanie uczynili zbyt wiele i zbyt mało. Zbyt wiele, że na pierwszy pojaw polskiego żołnierza, bez najmniejszego wezwania do współdziałania, w imieniu ówczesnego Wskrzęsiela (!!!) Polscy⁹ rzucili się do broni, organizowali powstanie, zębrząc nieledwie zezwolenia na to u napoleońskimi więzami skrzępowanego Poniatowskiego. Starzy, młodzi, majętni, ubodzy, wszyscy (szlachta, rozumie się), zuchwale, nie patrząc na siebie, nie licząc tak przyjaciół jak i nieprzyjaciół, nie kombinując możliwych skutków dyplomatycznym tchórzostwem, wypowiedzieli posłuszeństwo niemieckiemu panu. Wypowiedzieli wojnę, mając tylko ufność

⁸ Harcowania (z francuskiego *caracoler*). ⁹ Tj. Napoleona.

w Bogu za jedyną warownię, za jedyną obronę przeciw zatrwożonym ale nie zniesionym wrogom. Zaiste, to zbyt wiele! Ale uczyniwszy to, jakże zbyt mało w dalszym postępie! Szlachta nie chciała szukać nowych źródeł potęgi za ciasnym, aczkolwiek bohaterskim zakresem szlachectwa. Nie starała się, jak niegdyś tak i teraz, stopić się z ludem w jedną całość.

Po miastach przy wejściu, raczej przy pokazaniu się wojska polskiego, cała ludność chrześcijańska i żydowska, wyjąwszy piórogryzów niemieckich, co truchleli pod swoimi biurami, cała ludność, mówię, wrzała, by się tak wyrazić, duchem polskim. Kapitan Starzyński powiadał mi nieraz potem, że to był najpiękniejszy, najszczęśliwszy dzień w jego życiu; że jego oddział ledwie się mógł przecisnąć, że go ledwie na barki nie wzięto. Ręce, nogi żołnierzy, konie całowano. Uniesienie szalu sięgało. A jednak jakież był skutek, pytam się?

Oto stokilkadziesiąt ludzi, z których połowa podrostków, zwerbowano do pułku pana Adama Potockiego. Na to się Lwów zdobył, ale czy starano się użyć wzbudzonego zapału, czy w pierwszych dniach, o których mówię, wspomniał kto o pospółstwie? Czy przemówił do niego? Czy okazał mu, że go potrzebuje? Czy wezwał do obrony praw wspólnych? Czy nawet powiedział, o co idzie? Nie. Szlachta, spuszczać się na rekrutów, których, że im kiedyś przywidzą, mogła się spodziewać, mniej myślała o szeregach, a więcej — kto stanie przed nimi. Między sobą toczyła sprawę. Czynna, odważna, gorliwa, ale w swoim tylko ciasnym zakresie. Na szlachcie też się skończyło i zawsze kończyć się będzie, dopóki jedne żyły nie przepłotą wszystkich członków społeczeństwa, póki jednym tętnem bić nie będzie całe ciało narodu. Ku temu celowi powinność postępować w każdym powstaniu narodu. Bylibyśmy przynajmniej zostawili ludowi na zawsze myśl i wiarę, czego się spodziewać, czego wraz z nami pragnąć, do czego dążyć powinien.

Szlachta polska, wiecznie młoda, nie podstarzała się doświadczeniem, nawet na zwłokach własnej ojczyzny; wszystkie zalety i wszystkie wady, właściwe młodości wieku ludzkiego, ona łączy w sobie. Skora do szlachetnego uniesienia, do poświęcenia, prowadzącego częstokroć w męczeństwo, nie ma tej wytrwałości, którą tylko dobrze pojęte i dobrze rozważone idee wydać z siebie mogą; nie zastępuje jej nawet uporem, uporem czasem zbawiennym w sprawie publicznej. W zapale stawia na kartę majątek i życie dla celu, dla którego w spokojnym położeniu duszy — najlichszej przyjemności wyrzec się nie umie. Nie mogła szlachta dotąd schwycić stanowiska w swojej niewoli między szalonym zuchwalstwem a podłą ule-

głością. Albo buńdziuczy¹⁰ się i grozi, albo kłania się i łasi, ale jej groźba nie na sztych zaprzysiężona, a uprzejmość unizona z dobrotliwej tylko jej natury wypływa. Dlatego myślą się ci z nieprzyjaciół naszych, którzy Polaków oskarżają o fałsz lub podłość, — ni jedno ni drugie tu nie ma miejsca. Polak nie pamięta swojej szkody, zapomina więc i kto jej przyczyną, a będąc przyjacielskim, gościnnym, lubiącym bawić się, a nade wszystko traktować, progom swojego domu nadaje własność Lethy¹¹. Otwiera objęcia nieprzyjacielowi (mówię tu o nieprzyjacielu zasad, a nie osobistości, — ogólnym, a nie indywidualnym); otwiera objęcia i dłoń ściska, nie aby go fałszywą pieczęcią uspił, nie aby korzyść u możniejszego wyludził, ani też że nie jest zdolnym uczuć zniewagi, ale dlatego jedynie, że będąc z nieprzyjacielem, łatwo o nieprzyjaźni zapomina. Nienawiść w narodzie lub w rodzinie dziedziczna, wywołująca koniecznie zemstę u południowych ludów, jest dla Polaka męczącym uczuciem. Wybijmy się, wola, a potem kochajmy się, póki się znowu nie wybijemy, aby się kochać znowu. Naród ujarzmiony przemocą, tylko w jarzmie trzymany, nie ma innego zadania względem swoich panów, póki ci są mocniejsi, jak strzec święcie w tajemnicach serca wiarę swoją i te przykazania, które niegdyś Bóg nam i osobno każdemu narodowi udzielił. W stosunkach zaś ze swoimi władzami zachowywać się musi tylko biernie, stać zawsze przed nimi jak kamień grobowy zamordowanego, jak opoka, której nie zmiękczą pieśczone słowa, albo rozgrzeją lubieżne uściski, która martwością swoją straszyć powinna na jawie i we śnie nieprawych swoich zdobywców, grozić, że ich kiedyś przyrodzonym ciężarem na miążgę rozgnieść może. To jest nasze zadanie. Kajdany i uśmiech znać się nie powinny. Ale my zamknąć się w sobie nie umiemy, nie umiemy oprzeć się pokusie, co się nam czasem jak kwiat przy drodze nastrocza, albo którą nam nigdy nie drzemiący wróg zdradliwie podsuwa.

Przy zaborze Galicji szlachcie polskiej, senatorom Rzeczypospolitej, elektorom królów, piastunom konfederacji, rzucił Pan nowy szychowe¹² grafostwa, baronostwa, szambelaństwa i owe dygnitarstwa Korony Galicji! Korony Lodomerii!¹³ — wiatrem nadęte pstrokate pęcherze, których nie ceni ten, co daje, wstydzi się ten, co bierze, a drwi, kto w Boga wierzy. Rzucił Pan — chycono trutkę, a w narodzie, niewolą zrównanym, powstała nowa schizma,

¹⁰ Puszy się, jest pełnym dumy, zarozumiałości.

¹¹ Tj. zapomina o szkodzie; Letha według wierzeń greckich rzeka w podziemiach, z której zmarli pijąc uzyskiwali zapomnienie o życiu ziemskim.

¹² Pozorne, fałszywe. ¹³ Zabór austriacki nazwano Galicją i Lodomerią.

schizma¹⁴ bez treści, bez jądra, a co gorsza, niestety, przedmiot nie wstrętu ale zawiści.

Skleiła się jakaś nazwa arystokracji, która stała się jakby obszerną skarboną, w którą każdy pchał swoją prywatną obelgę lub upośledzenie; która stała się liżącym tylko wyrazem, rzuconym tej koterii¹⁵, co z jakich bądź powodów zawiść u drugich wzbudzała.

Bo cóż jest arystokracja w Galicji, jeżeli nie słowem bez treści. Gdzież te sejmy, parlamenta, kongresy, gdzie ...¹⁶ jedną opinią falanża¹⁷ arystokratyczna miejsce zajęła? Gdzie są jej wyłączne przywileje w składzie socjalnym? Gdzie te nienaruszone naczelnie majątki, utrzymujące w wybranych rodzinach przewagę albo wpływ w interesach kraju? Albo nasze społeczeństwo rozdwojone jest w dwie równosilne partie, których opinie stanowią różnice, z których jedna oznaczona arystokratyzmem a druga szlachectwem. Nie, bynajmniej, na nieszczęście nasze opinie nie połąpały się w partie, nie mają sztandarów, wkoło których pewna liczba mogłaby się gromadzić, mogła obliczać się wzajemnie.

Cóż więc rozbraja braci szlachtę? Bodaj czy nie prywatna, kryjąca się w pożyczane osłony. Majątek tylko, jak niegdyś w Polsce, tak teraz w Galicji istotną stanowi różnicę, ale gdzież tej różnicy nie ma, a gdzież łatwiej, jak ...¹⁸ ta różnica przenosi się z głowy na głowę, z rodziny na rodzinę. Widzimy często potomków znakomitych familli w prywatnej służbie, tak jak widzimy wielu galicyjskich magnatów, którzy w swoim trzecim pokoleniu w górę nie znaleźliby i ze świecą ani kapki szlachectwa. Ale ogólnie biorąc nie tylko Galicję, lecz Polskę, nie czas tylko teraźniejszy, ale i dawniejszy — zdaje mi się, że główną przyczyną niesfornych wybryków narodu jest owa wieczna młodość jego charakteru. Ona to pcha do błyszczącego zwierciadła, co nam nie świat nowy, ale tylko nasze własne uczucia odbija. Dla niej księga doświadczenia zamknięta, dla niej wszelka rachuba na przyszłość mozolna. Ona to może okazywać się czymś więcej, niż jest w istocie. Ona wiedzie do wydatków nad możność, a gdy stąd złe skutki następują, wtenczas wyrasta zawiść ku tym, którym lepiej się wiedzie, albo którzy także taki sam odgrywają dramat, tylko że są jeszcze w pierwszym akcie.

W Polsce szlachta nie była kastą, ale częścią ludności stanowiącą rzeczywisty naród. Jedne ma wspólne wady i zalety, solidarnie za tychże skutki odpowiadać powinna. Bez żadnej więc zasady są owe klątwy dawniej, a nawet i teraz ciskane na Panów, Panów, kształcących się i odkształcających się ciągle, Panów, co byli niczym

¹⁴ Odszczepieństwo. ¹⁵ Klice. ¹⁶ Słowo nieczytelne.

¹⁷ Falanga — gromada (po francusku *phalange*).

¹⁸ Słowo nieczytelne, może: u nas.

innym, jak tylko szczytami wystrzelonymi nad powierzchnię narodu. Czyliż to szczyty drzew są winne, kiedy się skręcają albo kruszą, a nie raczej nasienie, z których wyrosły, ziemia, która im soków dostarcza? Ster nie może się skruszyć — tylko w rękę sternika, z jakiej zaś przyczyny to skruszenie, to inne pytanie. I cesarz marokański za zły obiad nie każe pięć wybijać furmanowi, ale kucharzowi, choćby go pewnie furman jeszcze gorzej ugotował. Jeżeli więc nie zbiegowi okoliczności i chciwości sąsiedzkiej, wspartej przemocą, chcemy upadek nasz przypisać, ale koniecznie szukamy w sobie winy, nie dzielimy-że jej, ale jak ciężącą na całym narodzie wykażemy, a może kiedyś przecie czas przyjdzie, gdzie doświadczenie będzie razem i przestroga.

Wróćmy do osiemset dziwiątego roku, do dnia mojego powrotu z wojennej wyprawy aż po Rawę. Nazajutrz zgromadzono się w salach domu pojezuickiego ogrodu pod przewodnictwem niby Potockiego, wojewody bełzkiego, i Młockiego, kasztelana wołyńskiego. Pierwszy mało widział, drugi był zupełnie ciemny; pierwszego senatorstwo, mówiąc nawiasem, było diablo niskiej próby, — kupił go był od Cetnera, który także, jak mówią, otrzymał był jako więcej dający. Wieczny odpoczynek tym głupim brudom. Ciżba była wielka w salach, a krzyk jeszcze większy. Jeden z przedmiotów, nad którymi miano się naradzać, ile sobie przypominam, było: jak przyjąć zbliżające się wojsko polskie: konno, pieszo, zbrojno czy bez broni. Co uradzono i czy uradzono, nie wiem; to wiem tylko, że kto miał jaką szablinę — przypasał; kto miał jakiego konia — dosiadł, i wieczór zebrali się wszyscy przed domem wówczas Cieleckich, za Żółkiewską roгатką. Nie byłem z ostatnich; koń siwojabłkowy, mego ojca, niechętnie wtórował patriotycznemu mojemu zapałowi, tym bardziej, że głęboki jego stoicyzm¹⁹ gardził wszelkim bodźcem lub naciskiem, który by usiłował pędzą w nim rozwinąć działalność, — pięknej postawy, ukształcony, poważny, nie wiedział, co to jest potknąć się, ale i wszelkie bryknięcie było dla niego zupełnie obcą namiętnością; służył mi długo i mógłbym mu być dać sumiennie świadectwo: „wiernie, pilnie i trzeźwo“, niż się zwykle daje każdemu, co o nie prosi.. Wyjechałem tedy powtórnie tą samą roгатką i podług wszelkiego podobieństwa powtórnie, jak razą pierwszą, wróciłem — i gdybym nie czytał w dziele Sołtyka²⁰, nie umiałbym nawet powiedzieć, że to się działo 23 maja.

*

¹⁹ Niezlomna surowość.

²⁰ „Dzieło Sołtyka“ — Romana, historia wojny 1809 r. wydana po francusku w Paryżu w 1841 r.

O Czasie! Ty okrutne Bożyszczu, ty ryjesz coraz głębiej piętna gorzkiego cierpienia, boleści duszy, zdajesz się je mnożyć, a ślady rozkoszy i szczęścia zasuwasz, zaciemniasz, ściskasz w punkcik ledwo dostrzeżony. Jakże dobrze pamiętam moje noclegi w moskiewskich zaspach! Jak pamiętam ledwie nie każdy krok mego konia pchanego w lody Berezyny! Jak pamiętam nędzę niewoli! Jakże mocne wspomnienie pierwszej tam jałmużny czerwieni jeszcze czoło moje! A pamięć chwil uroczych, chwil błęgiego rozmarzenia, nadziei, zapachu, wolności, życia młodego, szczęścia — leży jak węzeł splątana w głębi serca, nie ma już siły rozwinąć się w słowo...

Ach, gdyby głos jaki mógł przebiegać świat cały i wołać szczęśliwym od czasu do czasu: Pamiętajcie! Może by te przerwy, jakby epoki, przeciągały formę szczęścia dla przyszłej pamięci. Wszak i sen, — a szczęście nie jestże snem lubym? — jeżeli trwał nieprzerwanie choćby jak najdłużej, traci przy obudzeniu przestrzeń swoją. Ale jeżeli nasze zmysły z uspienia w ocknienie i z ocknienia znowu w uspienie przenoszą się łagodnie, natenczas sen daje niejaką świadomość siebie, przyjemność pomnożoną, przedłużoną bywa.

Nie myślcie jednak, kochane dzieci moje, że całą masę szczęścia, którą los mojemu życiu wydzielił, zamknąłem, zostawiłem w onym dalekim czasie; lecz bluźniłbym, gdybym nie czuł się szczęśliwym, kiedy wzrok błogosławiący przesuwam po waszych jasnych włoskach, kiedy go zawieszam na ustach waszych, uśmiechających się młodością, kiedy go wtapiam w niezamącone jeszcze wejrzenie, w czyste jak niebo oczy wasze; kiedy was widzę w objęciu matki, przy jej sercu, sercu nieprzebranej dobroci i miłości, przy tym jednym sercu, gdzie się odbijam takim, jakim jest w istocie, gdzie zawsze tak wierny oddźwięk każdego mego uczucia znajduję... Lecz tak, jak jest — kiedy całą duszą obejmę, osłonę, złączę jakby w jeden uścisk was wszystko troje, co jesteście moim światem, moją miłością, moją nadzieją, dziękczynne modły muszę wznieść do Boga, — jestem szczęśliwy...

Ale szczęście domowe Polaka jest teraz oazą kwiecistą wśród pustyni Sahary...

PRO MEMORIA ¹

Wyjechaliśmy razem nie z równych pobudek,
Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.
Tęskniłem za obozem... nudziłem się przeto,
I ażeby coś robić, zostałem poetą.
Poetą!... Tam do licha!... To panie, nie żarty!
Byłżeś przynajmniej silną nauką podparty?
Ach gdzież tam!... Byłem sobie, ot szesnastoletnim
Pośród dwóch guwernerów nieukiem kompletnym;
Nigdy mi się nad książką nie zmarszczyło czoło,
Trąbka myśliwska w kniei była moją szkołą.
A kiedy niespodzianie zafurknął proporzec,
W to mi graj!... Żegnając rodzicielski dworzec,
Żegnając biblioteki zasuwy spokojne,
Z radosnym uniesieniem ruszyłem na wojnę.
A gdym przedeptał obręcz i prysku ² i lodu,
Moskwy, Paryża, Wiednia od grodu do grodu;
Ze sześciomiesięcznym niewoli popasem,
Wróciłem z niezwiększonym nauki zapasem.
Wróciłem, prawdę mówiąc, bez celu do kraju,
Lecz z pękiem doświadczenia różnego rodzaju.

Razu jednego kiedy w malignie zasnąłem,
Wpadł mi palec w kałamarz i pisać zacząłem;
Oczywiście komedią, której bez nauki
A na najpierwszych scenach pojąłem treść sztuki.
Pisałem więc z tą wieku młodego odwagą,
Co się często dla drugich ciężką staje plagą.
Chciałem zasięgać rady... ale na me nogi
Literackich świeczników za wysokie progi;
I jeśli się zbliżyłem, bijąc kornym czołem,
Tak czy siak, koniec końców zawsze szcztuka wziąłem.

¹ Dla pamięci. ² Prysk — popiół gorący, żar, zarzewie.

U jednego³ trzy akty ledwie wyżebrałem,
 Bo swoje bajki z ciągłym wygłaszał zapalem,
 A finalnie⁴ półgębkiem skończył na odprawie,
 Że podobnych Geldhabów⁵ nie mamy w Warszawie.
 Drugi zaś, nieruchomy klasyk ostrokuty⁶,
 Który z tej samej jednej zawsze śpiewał nuty,
 Dał wyrok, że zły papier, atrament za błąd,
 I ani słowa więcej. — Szukajże tu rady!!...
 Nie wiedząc już nareszcie, jak poradzić sobie,
 Z najmędrszym Gramatykiem⁷ skromny układ robię:
 Darowałem mu pisma, ażeby poprawił,
 Potem wydał... a sobie wawrzyny zostawił.
 Mędrzec wziął, co chciał. A musiałem bez swatów
 Uratować wawrzyny za dziesięć dukatów.
 Po takich próbach, których części tu nie mieszczę,
 Trzeba było jeść diabła, aby pisać jeszcze.
 Publiczność tylko szczerą, tę miałem po sobie,
 Inaczej byłbym dernął⁸ zaraz w pierwszej dobie.
 Przy tym i teatralne dzienniki w Warszawie
 Przemawiały od razu mniej więcej łaskawie.
 W lwowskich tylko, jak mówię, i pies nie zaszczekał.

Ale nic nie straciłem, zem lat kilka czekał.
 Bo jakiś Minos⁹ powstał i zaszczekał wściekle,
 Chciałby moich pięć tomów w piątym widzieć piekle.
 Żłem pisał. — Zgoda. — Ale źle pisać nie zbrodnia;
 Trafiało się to dawniej i trafia się co dnia.
 Byłem więc więcej złością niż treścią zdziwiony,
 A kiedy nikt się mojej nie podjął obrony,
 Nie mogłem pojąć, zgadnąć, czy rada czy zdrada,
 I zrozumiałem tylko, że milczeć wypada.

Milczałem lat piętnaście i nie schudłem wcale;
 Jakżem się nagle znalazł w moim dawnym szale?

³ Prawdopodobnie Franciszek Morawski (1783—1861), poeta, bajkopisarz.

⁴ W końcu. ⁵ Postać główna w komedii Fredry *Pan Geldhab*.

⁶ Prawdopodobnie Ludwik Osiński, poeta klasycystyczny i krytyk, w 1814—1830 dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie.

⁷ Może J. Mroziński (1784—1839), w Warszawie po 1820 r. pułkownik i autor *Pierwszych zasad gramatyki języka polskiego* (1822).

⁸ Uciekł.

⁹ Prawdopodobnie Seweryn Goszczyński. Minos — według wierzeń starożytnej Grecji sędzia w życiu pozagrobowym.

O! w labiryncie życia ścieżki niezliczone,
 Nikt nigdy nie przewidzi, w jaką zajdzie stronę.
 Nie jeden mimo przestróg i przewodniej nici,
 Chcąc chwycić Apolina¹⁰, żandarma uchwyci,
 Tak i ja z łaski głupców, ich zwodnej przyjaźni,
 Tuj, tuj, że nie beknąłem w Temidowej¹¹ kaźni.
 Gdy bowiem ktoś niepomny na wypadki krwawe
 Wkrótce o ekonomii rozpoczął rozprawę,
 Rzucono kilka wierszów, wprawdzie nie z Parnasu¹²,
 Ale zastosowanych do miejsca i czasu:
 Finał był taki:

„A rząd?... Rząd, Mospanie, kiep!
 Jego argumentem stryczek albo cep;
 Gdzie taka Ekonomia wzrasta,
 Wszystko błazeństwo i basta!“

Stadyjon¹³ przejął wiersze, mnie oskarżył o nie,
 Zgromadził całe gremium w rządowym salonie,
 I słuchajcie! słuchajcie! Do uwagi zmusił;
 Etmajer deklamował... na *kpie* się zakrzuszył,
 Stadion kichnął, kichnęli wszyscy hofratowie¹⁴,
 A ja miałem gdzieś w kozie powiedzieć: „Na zdrowie!“
 Przyszła chwila odwetu — każdy miał swój znaczek,
 Bo zemsta, jak to mówią, królewski przysmaczek.
 Zbombardowano wieżę... od tak, dla uciechy;
 Za mniemane a wsteczne oskarżono grzechy
 Miera, ambasadora¹⁵, że kładł barykady,
 Mnie zaś, żem lżył Cesarza wśród Rudeckiej Rady.
 Śmiano się do rozpuku, nie dając im wiary,
 Ale wiary nie trzeba, kiedy trzeba kary.
 Jak szydło z worka, Stadion wylazł w danej chwili.
 Kto tam zapłacił, nie wiem, lecz świadków kupili
 I fałsz miał zostać prawdą¹⁶. — Nareszcie pojąłem,
 Że słowo wzlata paszkiem, a powraca wołem;
 A mówiąc między nami, szczerze wam udzielię.

¹⁰ W starożytnej Grecji bożek sztuki i literatury. ¹¹ Bogini sprawiedliwości.

¹² Z krainy poezji. ¹³ Franciszek Stadion, w 1846—47 gubernator Galicji.

¹⁴ Rady dworu w Austrii.

¹⁵ Feliks Mier, dyplomata austriacki, poseł w Brunzwiku i Niderlandach, zm. 1857 r.

¹⁶ Zakończenie wiersza *Promemoria* zawiera przypomnienie procesu politycznego, jaki został wytoczony Fredrze po 1848 r. za rzekomą zdradę stanu.

Że moich piosnek były niezbyt głośne trele;
Udając zaś fantazję przed grożącą kozą,
Napisałem komedią... lecz tym razem prozą¹⁷.
A napisawszy jedną, po szczęsnym połogu,
Do dawnego, niestety, wróciłem nałogu.
Ale już teraz piszę tylko dla szuflady,
Bo pochwałom nie wierzę... Za późno na rady.
A teraz to *Pro memoria* spisuję dokładnie,
Aby gwizdano, jak kurtyna spadnie.

29 października 1872.

¹⁷ Była to, jak się zdaje, komedia *Dwie blizny*, napisana w Paryżu 1854 r.

UWAGI O „TRZY PO TRZY“

1

Dzieło to (pisane przed r. 1848) nie było drukowane za życia Fredry. Ogłoszono je po raz pierwszy w warszawskiej *Gazecie Polskiej* 1877 r., a potem w zbiorowym wydaniu *Dzieł* (jako t. XI) w r. 1880. Wyszły wtedy dwie edycje: jedna zupełna, druga ocenowana dla ówczesnego zaboru rosyjskiego (pierwsza z wymienieniem Krakowa, druga Warszawy jako miejsc wydania). Ponownie ogłosił *Trzy po trzy* Henryk Mościcki w r. 1917, opatrując je własnym wstępem, przypisami, aneksami i bogatym materiałem ilustracyjnym. Nowe to wydanie zawierało także przedmowę Adama Grzymały Siedleckiego. Książka wywołała teraz wiele recenzyj i dłuższych artykułów¹. Odrodzone po 37 latach wspomnienia fredrowskie powitano z prawdziwą radością, aczkolwiek nie bez pewnych u niektórych krytyków zastrzeżeń — a mianowicie co do ich kompozycji.

Ignacy Chrzanowski w swojej książce *O komediach Aleksandra Fredry* (1917) powiada, że „ogromny talent narracyjny, iście epiczna plastyka oraz humor nadają tym pamiętnikom niepospolitą wartość literacką“, ale osłabia się tej oceny dodatkową uwagą, że wartość ta „byłaby jeszcze większa, gdyby je Fredro pisał był z planem, a nie trzy po trzy“. Podobnie i Adam Grzymała-Siedlecki, wielki entuzjasta Fredry, mówi i o pamiętnikowym dziele umiłowanego poety ze szczerym przejęciem, widzi na nim „piętno bogatego talentu“, zachwyca się jego „stylem“ i „werwą“, ale na samym już początku swoich wywodów (s. IX) zaznacza, że w dziele tym panuje „naiwność literacka“ i „absolutna luźność opowiadania“; a właściwości tych wcale nie uważa za zalety, powiadając, że dzieło fredrowskie jest piękne „mimo“ nich.

¹ Prócz wymienionych w tekście — wspomnieć tu należy W. Tokarza w *Bellonie* 1918 r.

Inni wszelako krytycy znaleźli w tej „luźności“ kompozycyjnej jeden więcej powab fredrowskiej książki. Pierwszy z opinią tego rodzaju wystąpił Tadeusz Sinko (*Około wspomnień Fredry*, odcinek *Czasu* z d. 31 XII 1917 r.). Dla niego „w tym nieładzie, w tych dygresjach leży nie mniejszy urok stylu wspomnień jak w ich [humorystycznym] punkcie widzenia“. Bez żadnych też zastrzeżeń uważa Sinko *Trzy po trzy* za „arcydzieło pamiętnikowe“. Podobnie i według Wł. Prokescha (*Pamiętnik Fredry*, art. w *Nowej Reformie* z 24 XII 1918 r.) „ten bezład pamiętnikowy, który zresztą Fredro podkreśla, nadaje szczególniejszy wdzięk pamiętnikowi“. Luźność kompozycyjną za szczególnie składnik uroku opowiadania fredrowskiego uważa również Adam Skalkowski w recenzji pamiętników *Trzy po trzy*, ogłoszonej w *Kwartalniku Historycznym* (1918, 483—488).

Tadeusz Sinko i Adam Skalkowski wyjaśnili też (jeden szkieco, drugi szeroko), że ta „niezmierna luźność opowiadania“ Fredry „nie była rzeczą wypadku czy niedbałości“.

Skalkowski pisze:

Obrał (on) tę formę z rozmysłu, jako najwłaściwszą. — Thiers, Fain, Sołtyk pisali historię wojen cesarstwa, „towarzysz broni“ generał Załuski „nad grobem braci, przyjaciół, kolegów — męstwa i sławy zawiesił wianek!“ Cóż mógł on, kapitan Fredro, dorzucić? (...) Jego własne przeżycia nie były powszednie, zasługa nikła, widnokrąg niezbyt rozległy? (...) Zdawał też sobie jasno sprawę, w jakich winien się zamknąć granicach, jeśli chciał prawdziwie złożyć świadectwo o zdarzeniach dziejowych, których był widzem i uczestnikiem. Uchylając się od opisu bitwy pod Brienne, ostrzega: „Jeżeli jaki oficer subaltern zdaje sprawę z ogólnego ruchu jakiej batalii, jako naoczny świadek i sędzia, ten kłamie niezawodnie... Oficer subaltern liniowy może tylko widzieć, co się dzieje przed nim i na jego często bardzo ciasnym horyzoncie. Oficer nawet sztabowy, który z rozkazami przebiega pole boju w różnym kierunku, nie znając pierwotnej pozycji i szyku, o szczegółowych tylko zdarzeniach może otrzymać własne naoczne przekonanie“. Nie chciał być echem innych: „Ja plotę trzy po trzy, zwyczajnie jak stary, ale jednak nie będę wam dzisiaj powtarzał, co wczoraj wyczytałem“... Własne spostrzeżenia odnawiają się w pamięci bezładnie i dotyczą pospolicie drobiazgów, to jednak jest rękomią ich szczerości (...) Ramy było łatwo stworzyć, porządkując wspomnienia w następstwie wypadków i około pewnych postaci, ale z tą chwilą Fredry myśl straciłaby pełną swobodę i jego opowieść ucierpiałaby nie tylko pod względem artystycznym, ale i historycznym“.

Wywód ten dokładnie chyba przekonywa, że mamy tutaj do czynienia z rozmysłem pisarskim. Sinko krótko (i bardzo słusznie) powiada, że ów „miły nieład“ wspomnień fredrowskich jest jednym z czynników stylizacji.

Wszelako ani Sinko, ani Skalkowski nie sięgali do historii literatury, aby wyjaśnić, jaki to właściwie jest styl tej „stylizacji“. — A zrobić to łatwo. Trzeba sobie tylko dokładnie zdać sprawę, na czym polega ów „nieład“ opowieści Fredry. Grzymała Siedlecki nazywa go „absolutną luźnością“. — Przez „absolutną“ luźność opowiadania należałoby chyba rozumieć zbiór anegdot zupełnie ze sobą nie powiązanych (na sposób jakiejś *Encyklopedii humoru*, czy czegoś podobnego). Otóż taka luźność obca jest naszemu *Trzy po trzy*. Luźność kompozycyjna wspomnień Fredry polega na czym innym, mianowicie: — na wielokrotnym opuszczaniu jednego wątku dla drugiego, na wielokrotnych nawrotach do tego, co się opuściło, i na wielorakim plątaniu różnych wątków ze sobą; pomiędzy wątki dłuższe wplata też Fredro sporo pomniejszych anegdot i refleksyjnych albo uczuciowych dygresyj.

(Zaczyna się *Trzy po trzy* od wspomnień o bitwie pod Montereau. Jeden z jej końcowych epizodów wywołuje krótką dygresję (s. 9—10), po czym następuje powrót do przerwanej opowieści. Niebawem wszelako nowe skojarzenie myśli odrywa pamiętnikarza od Montereau (s. 10); wraca do niego dopiero na s. 21, zresztą po to tylko, aby za chwilę znów je porzucić i przypomnieć je dopiero po 27 stronicach — w najprostszy w świecie sposób: „Byliśmy podobno wczoraj w Montereau. W Montereau więc“... itd. (s. 48). Ale i tym razem opuszcza Fredro zaraz swój wątek (s. 50). Do Montereau każe wrócić czytelnikowi po 15 stronicach (s. 66) i tym razem ciągnie nić opowieści nieco dłużej. Dowiadujemy się, że z Montereau wysłano go jako oficera sztabowego na niebezpieczną ekspedycję z depeszami do Moret i Fontainebleau. Część podróży wypadło odbyć łódką przez Sekwanę. Przypomnienie dumań z owej żeglugi staje się znowu pretekstem do dygresji (s. 69). Porzucony wątek zostaje podjęty na s. 77. Teraz prowadzi go Fredro w sposób mniej więcej ciągły (przysłaniając go tylko na chwilę

krótką dygresją, s. 79—80) aż do s. 84, gdzie wątek wreszcie się wyczerpuje.

Ale tymczasem wprowadził Fredro do swojej tkaniny narracyjnej inne wątki. Już na s. 10 *à propos* bitwy pod Montereau wspominał o swoim komicznym służącym, „arcyciurze“ Onufrym. Scharakteryzowawszy go humorystycznie, zapowiada opowieść o kłopotcie, jakiego go Onufry nabawił w Dreźnie. Na razie jednak obietnicy nie spełnia, bo zastanawia się nad tym, czy „przedstawić nagą prawdę, czyli też, pożyczając jej tła, zarzucić ją kwiatami fantazji“. Wynika stąd dłuższe rozważanie i odwodzi autora w sfery tak odległe, że, aby wrócić do Onufrego, „skoczyć trzeba, nie ma innego sposobu“. „Skacze więc równymi nogami“ (s. 13), po czym już opowiada po epicku — bez przerwy — aż do zakończenia przygody drezdeńskiej (s. 17—20). Potem, powracając do Montereau, przypomina, że tam Onufry gdzieś się zgubił (s. 25). Na nowo spotykamy Onufrego dopiero na stronie 55, po czym znów schodzi on ze sceny, aby pojawić się raz jeszcze (na s. 130) w nowym charakterze — jako niewinna ofiara niesprawiedliwości samego pamiętnikarza.

To ostatnie wspomnienie o Onufrym łączy się z zakończeniem żaloso-śmiesznej historii białego płaszczka. Płaszcz ten zostaje wprowadzony do pamiętników zaraz przy początku w nawiasowym lirycznym wykrzyku: „O mój płaszczu biały“ (s. 9), obszerniejsze wszelako opowiadanie o nim zaczyna się dopiero na s. 85—90. „O płaszczu muszę zacząć z samego początku“ — powiada tutaj Fredro; jakoż zaczyna — od dzieciństwa swego, bo z dzieciństwa uniósł „miłość do kolistego płaszczka“, potem opowiada, jak sobie taki płaszcz kupił i — bez większych nawet dygresji — przechodzi do dziejów jego stracenia. Powodem tej straty stał się twardy sen pod Gotha. Zostajemy poinformowani o tym śnie, po czym następuje przerwa opowieści: „Śpij zdrów, panie kapitanie, a my tymczasem powiemy, jaką była pod ten czas ogólna postać rzeczy“ (s. 88). Odwodzi to pamiętnikarza na dość długo od tej sprawy. Dopiero na s. 107, zawikławszy parę wątków, wraca Fredro do najwcześniejszego z opuszczonych: „Pozwólcie, abym pierwaj skończył, com już zaczął, abym, mówiąc kwiecistym stylem gubernialnym,

wyrobil moje restancje“ — i kontynuuje rzecz o płaszczu; trwa to jednak tylko do s. 108: po czym skojarzenia obrazowe odciągają uwagę pisarza ku innym przedmiotom. Dalszy ciąg przygody z płaszczem znajdujemy ledwo o 16 stronic dalej (s. 125), ale i tu jeszcze relacja o niej nie zostaje doprowadzona do końca; rychło bowiem nastręcza się pretekst ekskursu. Dopiero na s. 129 historia płaszcza się kończy.

Historia ta zresztą jest tylko jednym epizodem z dziejów służby Fredry w sztabie Napoleona. Służby tej nie wspomina on z sympatią, raczej okazuje względem niej wyraźną niechęć; chcąc zaś tę niechęć wytłumaczyć, rozpoczyna rozległą opowieść o swoich niedolach sztabowych już na s. 17. Przerywa ją jednak niebawem; wraca do niej na s. 21, przerywa znowu, znowu wraca na s. 22, aby w dalszym ciągu prowadzić opowiadanie takimi samymi skokami: zatrzymując się przy tym temacie na s. 22—24, 27—31, 51—55, 57—58, 67—70, 77 i 79—80.

Nie doprowadziwszy jeszcze do końca tych rozważań o sztabie, nie zamknąwszy historii białego płaszcza, ani opowieści o Onufrym, nie skończywszy wspomnień o dniu bitwy pod Montereau, zaczął Fredro (już na s. 70) arcyciekawe opowiadanie o roku 1809 i o pierwszych swoich wrażeniach wojennych. I ono, tak jak poprzednio wspomniane, nie toczy się po linii prostej. Pamiętnikarz odskakuje od niego ciągle — przy lada sposobności skojarzeniowej, — ale i nie zapomina o nim całkowicie, bo wiele razy do niego nawraca i stopniowo naszą ciekawość co do tych interesujących czasów i doniosłych przeżyć w swoim życiu zaspokaja. Poświęcone są tym sprawom stronicie 72—74, 92—94, 101—106, 139—142, najciekawsze zaś wspomnienie z tej grupy, wspomnienie o pierwszym w życiu zetknięciu się z wojskiem polskim, przedstawia nam Fredro dopiero na samym końcu swojego *Trzy po trzy* (s. 168—169), zamykając je w ten sposób tak samo plastyczną i ciekawą sceną, jak je plastyczną i ciekawą sceną rozpoczął.

Wyśledzenie biegu tych kilku wątków z *Trzy po trzy* daje nam już pojęcie o technice narracji fredrowskiej. Może się ona podobać lub nie podobać, trzeba wszelako przyznać, że ma ona swoją me-

tość. Tym bardziej, że przy pozorach zupełnego nieładu i beztroski kompozycyjnej zawarł przecież Fredro w tej książce całość osobistych wspomnień o pierwszym okresie swego życia: dał nam poznać (i to wcale dokładnie) swoje dzieciństwo i lata szkolne (s. 97—101, 133—138, 139, 143—145, 147—188), a następnie cały okres swojej wojaczki — ze wszystkimi etapami i awansami służby, z epizodem niewoli 1812 r. (s. 41—48), ze wzmiankami o wszystkich najniebezpieczniejszych przygodach — aż do przejścia wojska polskiego pod władzę Aleksandra I w St. Denis (s. 28—29) i powrotu w „domowe zacisze“ (s. 41). Wspomnienia późniejsze o podróży do Włoch (s. 145), o powstaniu listopadowym (s. 43, 49, 87, 97), o twórczości poetyckiej (s. 69), o połamaniu „pióra autorskiego“ (s. 12, 131) i inne — są już tylko szkicowe; ale w tej szkicowości, w tym nadawaniu wspomnieniom z drugiego okresu życia charakteru tylko napomknien, widać wyraźną intencję pisarską. Gdyby *Trzy po trzy* pociąć na części i skleić w porządku chronologicznym, powstałaby stąd opowieść, której by na pewno żaden z krytyków braku planu nie zarzucił. Lecz Fredro o taki plan wcale się nie starał. Z systematyczności pamiętnikowej żartował sobie nawet dowcipnie:

Byłbym uniknął wielu niezrozumiałości, gdybym był zaczął, jak Bóg przykazał, od początku. Na przykład: Był to Pan i Pani... mieli syna, nazwali go Aleksandrem... Albo też: Urodziłem się w Surochowie w Ziemi Przemyskiej, z Jacka z Pleszewic i Marii z Dembińskich Fredrów małżonków — kiedy? — Nie wiem dokładnie, bo w owym czasie proboszcze na mokro oficjowali, a na sucho pisali...

Tak pewnie byłoby było najlepiej, ale tak się nie stało (str. 107).

On wolał przybrać pozę starca, „plotącego trzy po trzy“ (s. 39), bawiącego się „wspomnieniem lat przeszłych“ niby „dziecko wolantem“ (s. 11), pozę, którą *nb.* niektórzy dzisiejsi krytycy potraktowali na serio, chociaż pisząc *Trzy po trzy* nie był Fredro wcale taki stary. W brulionie *Trzy po trzy* określa swój wiek wyraźnie w słowach: „sięgnąłem pięćdziesiątki“; w redakcji ostatecznej zmienia te słowa na: „przeszedłem pięćdziesiątkę“; a dość jest w tekście i innych szczegółów, które dowodzą, że książka była ukończona przed r. 1848. Skarży się pamiętnikarz niby na swoją skłonność do dygresyj jako na wadę. Powiada np.:

Należałoby otoczyć mnie jakową poręczą, bo mam brzydki nałóg, a co gorzej, wątpię, abym się kiedy poprawił, zbaczać nieustannie z mojej ścieżki za lada bławatkiem, co gdzie zaświeci (str. 60).

Ale za chwilę znowu zbacza! Skoki w swoim opowiadaniu porównywa humorystycznie do skoków zająca na ponowie przed psami (s. 60). Czasem z zupełną świadomością te skoki zaznacza: „ale to inna historia“ — powiada w jednym miejscu — „że zaś niedługa, więc powiem“ (s. 113). Kiedy indziej znowu robi niby naiwne spostrzeżenie: „Zdaje mi się, że w opowiadaniu moim zboczyłem z prostej drogi“ (s. 168). Ale, oczywista, to nie jest wcale „naiwność“: to kokieteria wysokiej kunsztowności literackiej! Napisać pamiętnik wedle schematu „jak Bóg przykazał“: urodziłem się, uczyli mię itd. — ostatecznie potrafi byle kto. Lecz napisać pamiętnik, i to zajmujący pamiętnik, trybem takim jakby się gawędziło „trzy po trzy“ — to może tylko wytrawny pisarz!

Czy we wcześniejszej literaturze pamiętnikarskiej są dzieła podobnie napisane, nie wiem. Nie trudno natomiast wskazać analogię kompozycji wspomnień fredrowskich w dawniejszej literaturze powieściowej. Jest to — krótko mówiąc — kompozycja sternowska; ściślej: kompozycja powieści Sterne'a *Życie i myśli Tristrama Shandy*.

Sławny humorysta angielski postawił sobie za zadanie w tym największym swoim dziele (1760—67) zająć czytelników nie interesującą fabułą, ale drobnostkowym realizmem w przedstawieniu charakterów i scen z życia pospolitego, oraz obserwacjami najrozmaitszej natury i rozważaniami o najróżnorodniejszych przedmiotach. Bohater powieści niby to ma opowiadać swój życiorys. Zaczyna bardzo systematycznie, bo nawet nie od urodzenia, ale od faktu, który o dziewięć miesięcy to urodzenie wyprzedził. Potem mówi o swojej rodzinie, bliższej i dalszej, potem o akuszerce, która w jego przyściżu na świat miała odegrać pewną rolę, itd., ale od razu robi dygresje i z góry zapowiada, że będą one stanowić stały czynnik jego metody narracyjnej; prosi czytelnika o wytrzymałość; z niepewnością zapowiada dalszy ciąg opowiadania, o ile go nic w drodze nie zatrzyma itd. Jeden z dalszych rozdziałów powieści (XXII) zawiera nawet całą apologię i teorię „kunsztu dygresyjnego“. W praktyce tak dalece trzyma się Sterne tej teorii, że zanim jeszcze doszedł

do urodzin swojego bohatera (które następują w rozdziale LXXI), już zdążył wspomnieć o jego podróży do Danii (roz. XI), o jego studiach uniwersyteckich (roz. XIX), o przyjaciółce Jenny (roz. XVII) itp. Na początku VI tomu powieści przedstawia kompozycję pierwszych pięciu tomów za pomocą kilku krętych i zygzakowatych linii:



itp. (roz. CCI)¹.

Kompozycję *Tristrama Shandy*, tak jak i inne elementy techniki pisarskiej sternowskiej, naśladowano później, niejednokrotnie. Analogiczną „bezludną“ kompozycją posłużył się — między innymi — także Diderot w swojej świetnej humorystycznej powieści *Kubuś fatalista i jego pan* (*Jacques le fataliste et son maître*, 1796). Kubuś i jego pan jadą gdzieś razem; Kubuś zaczyna panu opowiadać o swojej miłości; opowiadanie to wszelako ciągle się przerywa wskutek niezwykłych przygód i okoliczności nasuwających inne tematy rozmowy. Z tego ciągłego przerywania i wikłania wątków robi sobie Diderot szczególną igraszkę, przypominając od czasu do czasu czytelnikowi, że wszystko to od jego autorskiej woli zależy.

Jest rzeczą bardzo oczywistą, iż nie piszę tutaj powieści, skoro gardzę wszystkim tym, czym powieściopisarz nie omieszkałby się posłużyć.

Widzisz czytelniku, do jakiego stopnia jestem uprzejmy: zależałoby jedynie ode mnie zaciąć batem konie... przerwać historię... i wystawić waszą niecierpliwość na dowolne próby...

Takie zdania spotykamy w książce raz po raz.

Ale nasuwa się pytanie: czy Fredro czytał Sterne'a lub „sternistów“ (takich jak np. Diderot)? Dowodów bezpośrednich na to, że tak było, nie ma, — są jednak wcale ważkie świadectwa pośred-

¹ Rozdziały powieści Sterne'a są numerowane w różnych wydaniach różnie. Tutaj idę za numeracją jednotomowego wydania Tauchnitza.

nie. Był Fredro czytany w powieściach już z dzieciństwa. Powiada w *Trzy po trzy* o latach 1807—09, że wtedy romanse były jedyną jego lekturą (s. 135). Jakże to wszakże były romanse, nie mówi. — O czytaniu w powieściach sensacyjnej grozy może świadczyć sen Fredry z nocy poprzedzającej bitwę pod Hanau opisany w luźnym fragmencie pamiętnikowym¹: sen ten wygląda jak rozdział romansu ze szkoły pani Radcliffe i na pewno tylko pilnemu czytelnikowi romansów tego typu mógł się przyśnić. — W dziełach swoich wspomina Fredro bardzo niewiele tylko romansopisarzy: Cervantesa, pannę Scudéry², Bernardina de St. Pierre, Floriana³; mówi wreszcie o powieści niemieckiej *Der unruhige Abend* (napisanej, jak stwierdził E. Kucharski, przez niejakiego Rochlitz), która ma być źródłem *Listu*. Przy badaniach nad genezą utworów Fredry udało się jeszcze uprawdopodobnić przypuszczenie, że znał on popularnego romansopisarza francuskiego z czasów napoleońskich Pigault-Lebruna. Spróbował Fredro i sam twórczości romansopisarskiej, wydając humorystyczne *Nieszczęścia najszcześliwszego męża* (1832) i pisząc uczuciowo patriotyczny *Dziennik wygnańca*. Ale do napisania ich mogło mu wystarczyć — przy żdźbłe pomysłowości — odczytanie w polskiej literaturze powieściowej: w Kalikście Pawłowski lub Skarbku i w *Malwinie* czy innych romansach uczuciowych.

O wiele większe znaczenie dla naszej kwestii ma projekt powieści, który układa jeden z bohaterów komedii *Pan Jowialski* — sympatyczny literat Ludmir. Jak wynika z rozmowy Ludmira z Wiktorem (a. I sc. 1), ma to być opis ich własnej podróży po kraju. Aby zebrać materiały do tego dzieła, Ludmir „włóczy się od karczmy do karczmy; tam podparty na rękę, słucha godzinami całymi rozmowy chłopów, żydów, furmanów“ i każe przyjacielowi rysować te figury. W pierwszym brulionowym rzucie komedii Wiktor pro-

¹ W wydaniu 1917 r. na str. 193 n., w obecnym wydaniu opuszczony.

² *Nieszczęścia najszcześliwszego męża* (*Dzieła*, 1880, XII 225).

³ *Pan Geldhab*, a: I sc. 6. Flora Geldhabówna mówi tam o *Pawle i Wirginii* Bernardina de St. Pierre („któż we łzach nie tonie przy smutnym i za wczesnym Wirginii zgonie?“), a potem o „tkliwym Florianie“. Ogólnikowo o romansach („których my swoich mało, wiele obcych mamy“) mówi Zdzisław w *Cudzoziemczyźnie* (a. I sc. 1).

ponuje ironicznie, aby dziełu dać tytuł: *Ludmir szalony, czyli Bohater i autor w jednej osobie*¹. Ludmir istotnie myśli o najzupełniej szczerym przedstawieniu własnych obserwacji i przygód. W sc. 4 a. III powiada:

Miałem już rozdziałów jedenaście; teraz następuje rozdział XII: Przybycie do Pustakówki i rozłączenie się z Wiktoorem.

A dalej:

Rozdział XIII: Wniesienie Ludmira do domu Jowialskich... Rozdział XIV: Maskarada itd. Rozdział XV: Helena.. Janusz zazdrosny, — muszę dlatego do Heleny zalecać się trochę, to mi da rozdział XVI.. Ale rozdział XVII będzie koroną dzieła“.

Kiedy w scenie 14 aktu III powstała awantura między Wiktoorem a Januszem, Ludomir cieszy się, że zdobył „rozdział osiemnasty“. Oczywista, ma to być powieść humorystyczna, aczkolwiek ze słów Ludmira: „Wesołość uczucia nie wyłącza“ można wnioskować, że nie zabraknie w niej i serdeczności.

Otóż cały ten pomysł uczuciowo-humorystycznej powieści o znajomościach i wydarzeniach z wędrówki — to, jak zauważył już Tadeusz Sinko², pomysł wedle wzoru *Podróży uczuciowej Yoricka po Francji i Włoszech* (*A Sentimental Journey through France and Italy*, 1768). Była to książka o wiele popularniejsza jeszcze od *Tristrama Shandy*. Tłumaczono ją wielokrotnie na różne języki (m. i. w r. 1817 ukazał się przekład polski) i naśladowano w rozmaity sposób we wszystkich literaturach. We Francji na jej wzór Ksawery de Maistre napisał *Podróż po moim pokoju* (*Voyage autour de ma chambre*, 1794). W literaturze niemieckiej naśladowało ją wielu pisarzy: między innymi — popularny w kółku wileńskich Filomatów — Thümmel, autor powieści *Podróż na południe Francji w r. 1785—86*. W Rosji w manierze *Podróży Sterne'a* pisał między innymi Biestużew-Marliński (*Wycieczka do Rewla*, 1820—21). U nas w r. 1824—25 wydał Fryderyk Skarbek dwutomową *Podróż*

¹ *Dziela Fredry* w wyd. H. Biegeleisena, t. IV str. 268.

² W artykule *Dookoła Jowialskiego* (w odcinku *Czasu* z 12 lutego 1918) i w książce *Genealogia kilku typów i figur A. Fredry*, 1918, str. 79.

bez celu, powieść, która już tytułem ujawnia wyraźną zależność od dzieła sternowskiego. W r. 1834 ogłosił Kraszewski pełną „ster-nizmu“ powiastkę *Podróż po mojej szkatułce*. We wszystkich tych dziełach naśladowano drobnostkowy realizm Sterne'a i zarazem jego subiektywizm. Brano motywy jak najbardziej pospolite, a starano się wykryć w nich jak najwięcej osobliwości i przedstawić je z zastosowaniem zmiennych nastrojów — humoru i rozrzewnienia. Jak widać z tytułów dzieł de Maistre'a, Skarbka i Kraszewskiego, uganiano się wprost za tematami blahymi i nikłymi. Kraszewski sparodiował tę manierę mówiąc w którejś powieści o literacie, co pracował nad dziełem *Podróż po ziarnku piasku*.

Plan powieści Ludmira jest wyraźnie spokrewniony z całą tą literaturą różnych „uczuciowych podróży“ i służy za potwierdzenie, że Fredrze technika pisarska Sterne'a była znana; dotyczy to wprawdzie tylko techniki *Podróży Yoricka*, a nie *Tristrama*, ale skoro znajomość jednego dzieła jest widoczna, tedy przypuszczenie znajomości drugiego posiada duże cechy prawdopodobieństwa. Wzmacnia się ono jeszcze wobec analogii pomiędzy kompozycją *Trzy po trzy* a kompozycją *Tristrama* i jego naśladownictw.

2

Resztą kompozycja nie jest jedynym czynnikiem podobieństwa pomiędzy wspomnieniami naszego poety a powieścią sternowską. Podobieństw jest więcej.

Fredro traktuje swój pamiętnik niby gawędę i często zwraca się do czytelnika, a raczej coraz to do innych czytelników: „panie“ (s. 41), „Mościa dobrodziejko“ (s. 17) „panie szlachcicu“ (s. 69), „szanowny Obywatelu“ (s. 66), „moi państwo“ (s. 44, 70, 136, 168 i in.), „łaskawi moi słuchacze“ (s. 85), „wiadomo WaćPanu Dobrodziejowi bez wątpienia“ (s. 21, 22), „księżę proboszczu“ (s. 70), „moje panny“ (s. 109), „bądźcie panie pewne“ (s. 158) itp. Otóż takie przegwarzania z czytelnikami weszły w modę dzięki powieści humorystycznej angielskiej, przede wszystkim dzięki Sterne'owi. W *Tristramie Shandy* apostrof tego rodzaju pełno: *sir, madam, Sir*

Critic, may it please your worships and your reverences, my dear Eugenius itp. Rozdział CCXLVII cały jest rozmową z czytelnikiem.

Powieści Sterne'a odegrały niepospolitą rolę w literaturze, między innymi przez doskonały realizm w przedstawianiu mimiki. Myśli się o tym pisarzu, kiedy się czyta w *Trzy po trzy* świetne obrazy ruchu i gestykulacji. A jest takich obrazów wiele. Dość przypomnieć opis ciuciubabki (s. 118), scenę bijatyki w Dreźnie (s. 13), kichanie pana Płachetki (s. 147), charakterystykę kawalerzysty francuskiego (s. 56) lub ustęp o smażeniu omletu (s. 66).

Wśród plastycznie i sugestywnie skreślonych scen z pamiętników Fredry szczególnym wykończeniem odznaczają się te, które przedstawiają t. zw. „głupie sytuacje“. Nieprzyjemna awantura na kwaterze w Dreźnie (s. 13, 15), przykrości wynikłe z zaspania w Gotha (s. 108), historia rozdarcia spodni w ciuciubabce (s. 119—120) — oto klasyczne przykłady scen tego rodzaju. Każą one znowu myśleć o Sternie, gdyż ten znakomity pisarz uobywatelił w literaturze najgłupsze i najdrażliwsze położenia. Dla analogii można by przytoczyć choćby scenę... rozdarcia spodni z *Tristrama Shandy* (roz. CCXXXIII i n.). Sterne zresztą sięgał po tematy nieporównanie drastyczniejsze.

A wszelkie drażliwości, wszelkie drobiazgi, najbliższe nawet, lubił Sterne wyczerpująco analizować. Znajdujemy więc u niego np. w *Tristramie* rozważania o śnie, o dziurkach od guzików, bokobrodach, o węzłach, o nosach; w *Podróży uczuciowej* o różnicy między przekleństwem *peste a diable* itp. Późniejsza humorystyka angielska równie chętnie hołdowała jego dewizie: *Vive la bagatelle!* I w naszym *Trzy po trzy* nie brak też takich rozważań na temat rzeczy zwykłych, które bez wszelkiego wątpienia należy odnieść do objawów „sternizmu“. Mamy więc wywód o wojskowym zapytaniu *Qui vive?* (s. 79 i n.), o zwrocie powitalnym „Jak się masz“ (s. 87), o wyrazach nieprzyzwoitych (zwłaszcza zaś o wyrazie „spodnie“, 119 i n.), o kropli u nosa (s. 57) itp.

Sterne osobiwie komiczny efekt w tych swoich wywodach na temat dziwactw lub błahostek osiągał przez zastosowanie do nich wysoce poważnego stylu: bądź to pedantyczno-uczonego, bądź uro-

czyście epickiego. I w *Trzy po trzy* pełno takich parodystycznych zastosowań erudycji i uroczystej pompy stylowej. Opowiadając więc, jak w początkach swojej wojaczki porwał kiedyś koledze „nieodzowną, acz tylko płócienną część ubioru, którą to słońce nie zwykło oglądać“ (s. 138), posługuje się Fredro przy tym uczonym cytatem łacińskim. Mówiąc o swoim „arcyciurze“ Onufrym, używa napszonych pytań retorycznych: „W owych szturmach, obronach, walkach o trochę słomy albo kawałek poddasza kto był Ajaksem? kto Hektorem?“ (s. 55), a później porównywa go z posągiem dłuta Canovy. Gdzie indziej, opowiadając o zachowaniu się ciurów podczas bitwy lipskiej, z pedantyczną dokładnością oznacza czas: „Komu, komu innemu jak tylko ciurom mogło przyjść na myśl dziewnastego października 1815 r. o dziesiątej rano w Lipsku gotować kaszę!“ (s. 19). Z humorystycznym zastosowaniem stylu naukowego spotykamy się np. w ustępie o Adamie Potockim; w jednym miejscu przerywa Fredro opowiadanie, aby wstawić słowa:

Nota. Pan Adam Potocki był szlafmycą. Koniec noty (s. 110).

Przykładów można by przytaczać bez liku.

Zatrzymanie uwagi na drobiazgach służy u Sterne'a nie tylko komice: wyraża się w nim jego postawa wobec życia. Tak wydatne miejsce poświęcając w swoich dziełach blahostkom, stwierdza on niejako, że nie ma tak drobnej i niepozornej rzeczy, która by nie miała w sobie pewnej wielkości; nawet przeszkoda we wkładaniu spodni (jak w roz. C *Tristrama*) może być patetyczna, nawet pęcherz od oparzelizny na niegodnej wspomnienia części ciała (jak tamże w roz. CCLXX) może mieć w sobie coś lirycznego. Z drugiej znów strony zdaje się płynąć z dzieła sternowskiego wniosek, że — przeciwnie — nie ma tak wielkiej rzeczy, aby nie miała jakiegoś korrelatu komicznego i wstydliwego. Gdy się czyta Sterne'a, nabiera się przekonania, że od wzniosłości do śmieszności nie ma nawet jednego kroku.

W pamiętnikach Fredry widzimy całkiem podobną postawę wobec świata; co chwila musimy tu sobie uprzytomniać dwoistość, a raczej dwustronność wszelkich zjawisk życia; rzeczy poważne i wielkie są tu ciągle ironicznie zestawiane z rzeczami śmiesznymi

i małymi. Oto np. typowa scena: Fredro jako służbowy oficer sztabu przywozi w nocy depezę z Montereau do Fontainebleau.

...obudziłem burmistrza. Zerwał się od żony szczękiem pałasza przestraszony, a mnie niegodne uczucie głasnęło po sercu, że mogłem kogo z wygodnego wyciągnąć łóżka. Wyszedł do kancelarii, otworzył ekspedycję, którą mu wręczyłem, włożył okulary i oicho, a potem głośno przeczytał: *L'Ennemi a été culbuté... douze cannons... cinq mille prisonniers...* etc. etc. O czciogodny burmistrzu! Jak pięknym byłeś w tej chwili! Pamiętam twój nos, pamiętam kwiaty twego szlafroka. Widzę cię, kiedy sparty jedną ręką na urzędowym stole, spuściłeś drugą z listem aż do kolana i wzniosłszy oczy ponad okulary, zapłakałeś z radości. Aktuariusz także zaczął mrugać, a czy tam czego nie wyciśnie — a ja, rozparty w wolterowskim krześle, twardo zasnąłem (s. 83—4).

Oto świetny przykład realizmu, opromienionego blaskiem przedniego, subtelnego, arcyłudzkiego humoru! A takich scen jest mnóstwo; taka postawa humorystyczna panuje w większej części pamiętnika Fredry. Poznajemy się z nią już w pierwszych wierszach, które nam przedstawiają dwóch zgarbionych jeźdźców, z których, jak się za chwilę okazuje, pierwszym był Napoleon, drugim sam Fredro. W taki łagodnie ironiczny sposób przedstawia on cały swój współudział w wydarzeniach epoki napoleońskiej. Oto opowiada nam np., jak jechał w r. 1809 do Sandomierza, aby się zaciągnąć do wojska. Ożywiały go najszlachetniejsze myśli, ale po drodze — znużony — zasnął; zasnął i woźnica.

...przebudziłem się nagle ustaniem wszelkiego ruchu. Otworzyłem jedno, potem drugie oko, wyciągnąłem w górę prawicę z moim ukokardowanym kapeluszem, jak gdybym chciał krzyknąć: *Vivat!* i spojrziałem po sobie i w koło siebie. Mój *auriga* leżał na moich kolanach wygodniej niż ja na półdrabku. Szkapys w kurierskiej pogoni zeszły z prawej drogi i nim losy Ojczyzny rozstrzygną się pod Sandomierzem, pasły się spokojnie nad rowem (s. 95—6).

Z takim samym uśmiechem wspomina Fredro początki swej twórczości poetyckiej, które się wiążą z historią o części garderoby kolegi podporucznika (s. 138), i opowiada, jak „dostał wstrętu do uczuciowego rodzaju“ wskutek „arcynieczystego“ rymu, który mu inny kolega dodał do jednego z wierszy. Mówiąc o służbie sztabowej, informuje, że „znajdował się w ostatnich kampaniach we wszystkich bitwach, w których był sam Cesarz“ i „grzał się z nim nieraz przy jednym ogniu“; ale zaraz dodaje:

prawda, że zawsze po tej stronie stawałem, na którą wiatr dym gonił, nawet najczęściej, mówiąc między nami, Cesarz był tyłem do ognia, a przeto i do mnie obrócony, i do tego jeszcze rozkładał czasem poły, aby się wygrzać lepiej“... (s. 21).

Nie zmienia nasz pamiętnikarz tonu nawet wtedy, kiedy opowiada jedno z najsmutniejszych wspomnień z okresu swojej wojaczki, mianowicie pierwszy wyrok śmierci, jaki mu wypadło odczytać, gdy w Lublinie był reporterem sądu wojkowego. Mówi o tym wydarzeniu z przejęciem, a tak kończy:

Drugiego dnia po tej przeprawie byłem blady, nic nie jadłem... trzeciego byłem smutny, nic nie jadłem, a czwartego wieczór grałem u generałowej Kamienieckiej w pantofla, jakubka a ciuciubabkę (s. 117).

po czym następuje ustęp o ciuciubabce.

Taki jest obraz życia u Fredry w jego pamiętniku *Trzy po trzy*. Panuje tu atmosfera delikatnego humoru, ale — jakby wedle programu Ludmira — „wesołość uczucia nie wyłącza“. Obok komicznych anegdot mamy ustępy pełne rozrzewnienia (jak np. o nieszczęśliwym wariacie, s. 164; o rodzinie i o latach dziecińczych, s. 159 i n.; o twórczości poetyckiej, s. 60; o śmiechu, s. 163). Bywa i tak, że rozrzewnienie splata się z humorem nierozzerwalnie.

W indywidualnym tonie swego aliażu uczuciowego *Trzy po trzy* daleko odbiega od Sterne'a, ale sam typ tego aliażu (humorystyczno-rzewny) od Sterne'a się wywodzi.

Mamy więc w *Trzy po trzy* miłe, świeże i pełne swobody dzieło w „rodzaju sternowskim“. Poczęte z tęsknoty twórczej poety, którego, jak powiada sam¹, zawsze „coś do bazgrania ciągnęło“, a który — zrażony przez złośliwą krytykę — przez dziewięć lat ten swój przyrodzony popęd powściągał, dzieło to należy nie tylko do pamiętnikarstwa polskiego, ale do artystycznej literatury polskiej. Zajmuje też w historii tej literatury ważną pozycję, jako utrzymane (i doskonale utrzymane) w charakterze arcyzmu sternowskiego, tego arcyzmu, któremu tyle zawdzięczają inne literatury europej-

¹ W autobiografii, przedrukowanej przez S. Schnür-Peplowski: *Z papierów po Fredrze*, 2. wyd., 1900, s. 4.

skie: angielska, francuska, niemiecka i rosyjska ¹. Na naszą literaturę Sterne wywarł wpływ niemały: na nim kształcił swoje skłonności humorystyczne Mickiewicz, wzorowali się na jego utworach pierwsi nasi powieściopisarze-realiści; w późniejszych czasach miał się od niego pewnych rzeczy nauczyć Irzykowski ², dzieła wszelako o tak bogatym kompleksie pierwiastków techniki sternowskiej i o takim zarazem kunszcie w ich zastosowaniu jak *Trzy po trzy* drugiego nie posiadamy.

3

Czy jednak słuszną rzeczą jest mówić tutaj o „kunszcie”? Czy to, co nas uderza w pamiętniku Fredry, było rzeczywiście po lite-

¹ O wpływie Sterne'a na literaturę angielską mogą dać pojęcie słowa wypowiedziane przez H. G. Wellsa: „Mistrzem, do którego (...) musimy zawsze powracać, jest ten, którego uważam (...) za najsubtelniejszego i największego artystę — podkreślam to słowo: artystę, — jakiego Brytania wydała w zakresie prawdziwej sztuki powieściopisarskiej: Wawrzyniec Sterne“ (*An Englishman looks at the world*, 1914, wyd. Tauchnitz, s. 155). Mniej uznania dla Sterne'a ma wybitny niemiecki historyk literatury angielskiej, Dibelius, powiada o nim bowiem: „Nie jest to artysta, ale tylko wielki znawca, z niezwykle sofistycznym talentem“ (*Englische Romankunst*, 1910, I 280). Z głębokim wniknięciem, aczkolwiek nie bez zastrzeżeń estetycznych, pisali o Sterne'ie Francuzi: P. Stapfer (*Laurence Sterne*, Paryż 1882) i A. Le Breton (w książkach o powieści francuskiej, zwłaszcza w książce o Balzaku, w ustępie wyjaśniającym wpływ Sterne'a na tego pisarza). — W literaturze rosyjskiej najznakomitszym „sternistą“ był Tolstoj. Podróż uczuciowa odegrała dużą rolę w genecie powieści *Dzieciństwo*, wpłynęła też (wedle wyznań samego Tolstoja) niepomalu na styl jego dzieła (patrz *Istoria russkiej literatury XIX wieku*, pod redakcją D. N. Owsianiko-Kulikowskiego, tom V, s. 331). — Nowa i wzmożona fala wpływu sternowskiego przyszła w literaturze europejskiej w wieku XX. Najznakomitszym pamiętnikiem skomponowanym po sternowsku (może nie bez wpływu fredrowskiego *Trzy po trzy*) są *Wspomnienia osobiste* (*Personal Record*, 1908) Josepha Conrada. (Zob. W. Borowy: *Z tajemnic sztuki pisarskiej: Fredro i Conrad*, w *Tygodniku Wileńskim*, 1924).

² Bezpośrednio lub pośrednio. Mam na myśli głównie koncepcję „pierwiastka pałubicznego“ (*Paluba*, 1903). Bezpośredniej znajomości Sterne'a u Irzykowskiego dowodzi anegdota z *Tristrama*, opowiedziana (nieodkładnie zresztą) w *Studiach z zakresu chemii organicznej Galicji* (zob. *Maski*, 1918, str. 513).

racku kształtowane? Czy nie mamy tu do czynienia raczej z żywiołowymi erupcjami animuszu pisarskiego?

Co prawda, teoria dawniejszych krytyków o na pół improwizacyjnym charakterze twórczości Fredry (upowszechniona zwłaszcza przez książkę St. Tarnowskiego *Komedie Aleksandra hr. Fredry*), o jego pośpiechu i arystokratycznym lenistwie pisarskim, dawno dowodnie została obalona, gdy H. Biegeleisen opublikował plany i pierwsze rzuty komedyj, a także fragmenty z korespondencji poety. Okazało się, że Fredro miał dużo świadomości pisarskiej, że długo i starannie pracował nad każdą komedią i zastanawiał się nad licznymi szczegółami. Później sporo nowych dowodów pracy Fredry nad kompozycją i stylem wskazał Ignacy Chrzanowski. Ale to może tylko dotyczy komedii przeznaczonych do teatru i do ogłoszenia w książce? Mogło inaczej być z tymi dziełami, które Fredro pisał tylko „dla szuflady“, i które dopiero po jego śmierci miały być drukowane. Chrzanowski i w tych pośmiertnych dziełach widzi ślady cierpliwego trudu artystycznego; innego jednak zdania jest Adam Grzymała-Siedlecki. „Pośmiertne komedie — pisze on — (w przedmowie do *Trzy po trzy*, XXVI) były czymś w rodzaju osobistego notatnika; to brulion nie poprawiany nigdy“. Zdaje się, że zdanie to nie opiera się na wiadomościach o autografach Fredry (z druku wiadomości takie nie są znane), lecz jest tylko hipotezą Siedleckiego. Wartości tej hipotezy w całej pełni zbadać nie można, gdyż część brulionów utworów fredrowskich w archiwum przyłbickim przepadła w czasie pierwszej wojny światowej. Do ocalałej reszty dostać mi się dziś nie łatwo. Na szczęście, nawet bez większych zachodów mamy możliwość częściowo chociażby wyświetlić, jak się rzecz miała w odniesieniu do pamiętnika *Trzy po trzy*, najwcześniejszego dzieła z okresu samotniczej twórczości Fredry. Zawdzięczamy to Henrykowi Mościckiemu, który przed r. 1914 zbadał w Przyłbicach stosunek pierwszych kilku kart brulionu tego pamiętnika do ostatecznej jego redakcji. Przytoczę tu trochę danych z jego notat, nie sięgając już w tej potrzebie do ocalałego autografu.

Otóż okazuje się przede wszystkim, że pomiędzy dwiema redakcjami są różnice dość znaczne. Pominąwszy dodatek całego dłuż-

szego ustępu o weredykach: Od słów „Proszę mi przebaczyć ten, że się tak wyrażę, gwałtowny wybryk przeciw weredykom“ — widać tu wcale sporo drobnych, ale znaczących poprawek stylistycznych. Są miejsca, w których znajduje się po kilka takich zmian w każdym wierszu.

Dla przykładu podaję zestawienie obydwóch redakcji ustępu o walce Onufrego z oberżystą drezdeńskim. Kursywą oznaczam wszystkie wyrazy brulionu opuszczone w redakcji ostatecznej, i wszystkie zmiany w tej redakcji ostatecznej wprowadzone.

Brulion

Jeżeli kto aby raz w życiu widział niedźwiedzia idącego w hurku, kiedy schwył pod siebie jednego z kundli, a drugi tymczasem szarawary *mu* skubie, łatwo sobie wystawi leżącą grupę, *a nade wszystko* Hausknechta, który krzyżąc w niebogłoty usiłował ściągnąć ze swojego pana *za w górę sterczącą ostrogę* rozjadłego nieprzyjaciela, ale tylko jedną ręką, bo w drugiej trzymał świecę, a świeca kosztuje *einen guten Groschen...* a on za świecę odpowiedzialny... porządek przede wszystkim. Wziąłem go na koniec za kołnierz i nogą pchnąłem za drzwi, zostawiając wolny bieg sprawiedliwości.

Redakcja ostateczna

Jeżeli kto aby raz w życiu widział niedźwiedzia idącego w hurku, kiedy schwył pod siebie jednego z kundli a *kiedy mu drugi tymczasem szarawary skubie*, łatwo *wystawi sobie walczącą grupę*. Hausknecht krzyżąc w niebogłoty usiłował ściągnąć ze swojego pana *zajadłego* nieprzyjaciela, ale *jedną tylko ręką*, bo w drugiej trzymał świecę, a świeca kosztuje *einen Groschen...* a on za świecę *odpowiada...* porządek przede wszystkim. *Chwyciłem go nareszcie* za kołnierz i nogą za *drzwi pchnąłem*, zostawiając wolny bieg sprawiedliwości (s. 14).

Ustęp ten może nam dać wyobrażenie o ogólnej ilości poprawek. (Wyjątkowo pierwsza stronica brulionu, której fotografię podał Mościcki przy wydaniu 1917 r., nie ma żadnych kreśleń!).

Poprawki są rozmaitego charakteru. Pewna ich liczba to zwykle korekcje lapsusów pióra z pierwszej redakcji, pisanej widocznie bardzo szybko. Inna grupa to zmiany jednych form lub zwrotów na inne, wedle widocznie przewagi jednej z walczących ze sobą fał niepewnego poczucia językowego (jak np. zmiana „dlatego że“ na „dlatego bo“, s. 12 w. 18; albo „ufności w sobie i ludziach“ na „ufności w sobie i ludzi“, s. 12 w. 7). Te nie mają dla nas więk-

szego znaczenia. Jest jednak duża liczba zmian stylowych, których przyczyną jest najwidoczniej wzgląd artystyczny.

Mamy więc poprawki i dodatki wzmacniające humor. Oto przykłady:

Jego Cesarska Mość spudłował na piękne.

Mało kto w życiu bywał tak tureckim świętym, jak ja.

Skaczę więc do *powodu sporu* mego Onufrego i powiem prawdę, rzuciwszy na nią *wprzód* lekką gazę przyzwoitości...

Że zaś świeca w tym razie zgasnąć musiała, *nie wiemy czyje w końcu na wierzchu było*, ciemnota pokryła tę część historii. (O bijatyce Onufrego w Dreźnie).

złąkłem się, czy przypadkiem za mocne uderzenie nie strąciło mu karku.

Inna seria odmian ma źródło w poszukiwaniu „słowa właściwego” — ze względu czy to na plastykę, czy na dokładność. Np.

w surducie (...) zielonym“

(Na polu bitwy): objawiało się życie nieustannym ruchem drobnych *czarnych* punkcików jakby w koło *rozrzuconego* mrowiska.

we wszystkim trzeba odmiany, aby żyć zdrowo, wesoło.

miasto Montereau

Jego Cesarska Mość *spudłowała* na piękne (s. 8, w. 27).

Mało kto w życiu bywał tak *mocno* tureckim świętym jak ja (s. 9, w. 1).

Skaczę więc *równymi nogami* do Onufrego, *jego kłótni i bójki*. — *Powiem* prawdę, rzuciwszy *wszakże* na nią lekką gazę przyzwoitości (s. 9, w. 16 n.).

Że zaś świeca w tym razie zgasnąć musiała, ciemność pokryła tę część historii. *Że jednak coś padło z jednej i drugiej strony, wątpić nie można* (s. 13, w. 27 n.).

złąkłem się, czy przypadkiem za mocne uderzenie nie strąciło *filigranowego niemieckiego* karku (s. 14, w. 31—2).

w surducie (...) *ciemno-zielonym* s. 5, w. 5).

objawiało się życie nieustannym ruchem drobnych punkcików *jak mrówek* koło mrowiska (s. 7, w. 18—19).

we wszystkim trzeba odmiany *i nowości*, aby żyć wesoło (s. 7, w. 27—8).

miasteczko Montereau (s. 8, w. 15).

Jeszcze dwie kule wirtemberskie przeleciały gdzieś wysoko ponad nasze głowy jak *dwie* słomki na wiosnę i zapadły w grabowe szpalery.

szukać zawsze kwiatów samych, *zawsze* kwiatów, i nimi tylko sypać, stroić i ubierać, strach, by się nie zdarzyło, że ołtarz nie wart ozdoby.

Po co zazdrościsz mi snu...“

Onufry jak *go* utnie gdzieś *poniżej* zielonej aksamitnej wirthowskiej czapeczki... aż szyby brzękły.

Jeszcze inne odmiany dokonane zostały, zdaje się, głównie przez wzgląd na *dźwięczność*. Takie są np. odmiany następujące:

dźwignią wszystkiego dobrego i wielkiego.

Ale z prawdą jak z ogniem, grzeje i pali. Oby to mogli poznać ci, co się weredykami nazywają. Stąd szukają zalety i nią się chelpią.

zadrzymię na szczątkach mego szczęścia lub moich nadziei.

Ale gdzież mnie, w jaki daleki świat odwiodło to słowo: Prawda.

zwinął się, zatoczył i chylcem w zygzak jak lis przestrelony leciał, leciał i aż w przeciwnym rogu *pokoju* na kanapę upadł.

Jeszcze *na dobranoc* dwie kule wirtemberskie przeleciały gdzieś wysoko ponad nasze głowy i jak słomki na wiosnę zapadły w grabowe szpalery (s. 10, w. 9—11).

uganiać się zawsze za kwiatami i tylko za kwiatami, nimi tylko sypać, nimi *zdobić* i stroić, strach, by się nie zdarzyło, że ołtarz nie wart ozdoby (s. 11, w. 15—17).

Dlaczego nie pozwalasz mi snu (s. 12, w. 10).

Onufry jak utnie *Niemca* gdzieś między *nosem a uchem*... aż szyby brzękły (s. 14, w. 17—18).

dźwignią wszystkiego, *co dobre i wielkie* (s. 6, w. 27).

Ale z prawdą jak z ogniem, grzeje, *ale* i pali *razem*. Oby to *chcieli* poznać i *pamiętać* ci, co się weredykami *lubią nazywać*. Stąd szukają zalety i *chluby* (s. 11, w. 19—21).

zadrzymię na szczątkach mego szczęścia lub *nadziei moich* (s. 12, w. 10).

Ale gdzież mnie, w jaki *świat daleki* odwiodło to słowo Prawda (s. 13, w. 13).

zwinął się, zatoczył i chylcem, *zygzakiem* jak lis postrzelony leciał, leciał i aż w przeciwnym rogu *padł na kanapę* (s. 14, w. 19—20).

Największa ilość przeróbek to zmiany syntaktyczne, mające na celu uczynienie składni bardziej przejrzystą. Rozbija więc Fredro

dłuższe okresy brulionu na drobniejsze zdania niezależne¹, a przede wszystkim upraszcza szyk. Oto kilka przykładów:

(myśli) wszystkie jedną uderzone siłą, w jeden <i>wszystkie</i> zbiegły się punkt.	' wszystkie jedną <i>siłą</i> uderzone, w jeden zbiegły się punkt (s. 6, w. 7). w. 18).
--	---

jeżeli on cię świetnym czynem zadziwi.	jeżeli on <i>zadziwi</i> cię <i>świetnym</i> czynem (s. 9, w. 25).
--	--

wytrącasz z dawnej, a w nową rzucasz kolej.	wytrącasz z dawnej, <i>a rzucasz w nową</i> kolej (s. 11, w. 28).
---	---

Czemu gasisz pochodnię, co swoją łuną w daleką świeciła mi przyszłość...	Czemu gasisz pochodnię, co <i>mi</i> swoją łuną w daleką przyszłość <i>świeciła</i> ... (s. 12, w. 12—13).
--	--

Wszystkie te odmianki nie są, zapewne, przeróbkami radykalnymi ani wielkiego znaczenia; dowodzą jednak chyba dostatecznie, że Fredro nie stał się w drugim okresie swojego pisarstwa stylistą niedbałym, nawet kiedy „bazgrał“ tylko „dla szuflady“ i dla zamkniętego koła czytelników z rodziny².

4

W prozie jego pamiętnika zaobserwował już Tadeusz Sinko (*Okolo wspomnień Fredry*) „ogromną kulturę literacką“. Świadczy o tej kulturze sama już obfitość cytatów i aluzji literackich (nie tylko w języku polskim, ale także we francuskim, niemieckim i łacińskim). W wielu wypadkach służą one jako środek humorystycznej ironii. Tak jest np. wtedy, gdy przy opowiadaniu o kilku żołnierzach

¹ Np. s. 9, w. 17 i nast. „Padły na szalę“ itd. Zdanie to w brulionie jest połączone z poprzedzającym w taki sposób: „bo cóż najzimniejsza rozważa mogła w tym razie położyć na szalę...“ itd., jak w druku.

² Fredro traktował *Trzy po trzy* jako „pamiętkę... dla rodziny“, wspomnienia „nie warte druku“, aczkolwiek ostatecznie godził się na częściowe ogłoszenie ich po swoim zgonie (zob. Wstęp H. Mościckiego przy wydaniu z 1917 r., str. VII). O stosunku poety do dzieła wymownie świadczą słowa: „Ach, więcej ja do siebie niż do was mówię“ (s. 143).

uwięzionych za kradzież (s. 112) posługuje się Fredro cytatem z Racine'a, a kończy frazesem z proklamacji Ludwika Filipa z 1831 r.: *Que la charte soit une vérité*. Podobnie dla efektu humorystycznego — przy dyskursie o spodniach — cytuje Fredro dwuwiersz z Boileau'a (s. 120) albo porównywa siebie (wraz z ciężkim, niezgrabnym koniem) do statuy komandora z *Don Juana* (s. 81). Inny, choć także humorystyczny, charakter ma ustęp, w którym nasz autor stosuje do siebie dwuwiersz z *Rękawiczki* Schillera, odnoszący się tam do ociężałego lwa (s. 67). A o iluż jeszcze i jak różnych autorów zahaczają jego aluzje humorystyczne: o Homera (s. 11), Plauta (s. 106), La Fontaine'a (s. 46), Bürgera (s. 59, 79), Schillera (*Don Carlota*, 129), Krasickiego (s. 6), Niemcewicza (s. 85), Mickiewicza (*Farysa*, 123), Pajgerta (s. 95), Eugeniusza Sue (s. 51)... na przemiany z jakimiś popularnymi piosenkami (s. 64, 77), *Wdową z Malabaru* (s. 66), albo kupletami hrabiego Fiufiu z opery *Siedem razy jeden* (s. 27).

Nie zawsze jednak cytaty Fredry mają parodystyczne zabarwienie. Są w *Trzy po trzy* aluzje literackie użyte z intencją wywołania nastroju zupełnie poważnego. Taką jest np. wzmianka o Shylocku szekspirowskim¹ przy opisie przeprawy berezyńskiej (s. 44),

¹ Śladów lektury Shakespeare'a znajduje się w dziełach Fredry kilka. Do tych, które wymienia w swojej książce Ign. Chrzanowski (str. 33—34) dodać można jeszcze wzmiankę o monologu Hamleta „Być albo nie być“ w komedynie *Świeczka zgasa* i wyraźną trawestację tego monologu w komedii *Co tu kłopotu*:

...Żenić się? nie żenić? Pytanie.

Stadło? *Saltum mortale*... A któż ręczyć w stanie,

Że na dół łbem nie spadnę, jak padłem pod płotem?

Jakiż to głos z przyszłości zapewnia nas o tem?

Żenić się? pojąć żonę? Żona tajemnica!

Któż ją kiedy odgadnie? Trapi lub zachwyca!

Dobra — niebo, zła — piekło, młoda — czasem płocha,

Starsza — stalsza, lecz biada, jak nazbyt pokocha.

Nie ożenię się — szkoda... pół majątku stracę;

Ożenię? może później w dwójnasób dopłacę.

Wszędzie drżąca niepewność i trwoga ponura.

Tak deklamuje Albin Albiński w scenie 1 aktu III. Rozpaczliwy okrzyk Morderskiego, pogrążonego w ciemności (*Wychowanka*, a. III, sc. 5): „Powiedz

albo z lekka przeinaczony wiersz Racine'a *Le Ciel n'est pas plus pur que le fond de son âme* (s. 159), którym poeta kończy wspomnienia o swoim ojcu (jest to w. 112 z *Fedry* i właściwie brzmi: *Le jour n'est pas plus pur que le fond de mon coeur*).

A przecie ten wykwintny literat, swobodnie obcujący z tylu poetami świata, zakochany jest w swojskiej dosadności. Do niego samego doskonale się da zastosować dwuwiersz, który wypowiada bohater komedii *Co tu kłopotu*:

Nie dziw, że się rozśmieję, gdy mi wpadnie w uszy
Jaki wyraz prostacki, ale prosto z duszy.

Oto opowiada o Muracie: „Ten człowiek *lazł* w ogień i szukał guza *con amore*“ (s. 40); w jego sąsiedztwie pod Lipskiem Fredro „malo co nie *beknął*“ (to znaczy: o malo nie zginął). „Oficerowie starych pułków“ — czytamy w innym miejscu pamiętnika (s. 73) — „*dęli i zadzierali nosa*“. Krzyżanowski „*skerpił szkapę harapem*“ (s. 157) „Zerwaliśmy się, jak to mówią, *ptaszkiem*“ (s. 108).

Lubi Fredro wysoką wartość ekspresyjną „gminnych“ wyrazów nawet specjalnie podkreślać. Oto np. opowiada o pierwszym swoim zetknięciu się z wojną. Usłyszał głos armat.

Jakie ten głos sprawił na nim wrażenie, jakie obudził uczucia, trudno lepiej jak gminnym wyrazem wysłowić, to jest, że *urostem na trzy piądz* (s. 96).

Oficer austriacki schwytany w r. 1809 przez patrol polski, „stał przy wozie z miną, która zowie się gminnym wyrazem: *kiepska*“ (s. 168). Opowiadając o Napoleonie (s. 8) zaznacza Fredro z wesołym uśmiechem, że ten wielki człowiek miewał wyrazy nieraz „trudne (...) dla historyka do powtórzenia“, acz „dobitne“, „właściwe i węzłowe“. — On sam z bogactwa mowy potocznej w tym zakresie czerpie pełnymi garściami. Z przesadnej zaś skromności i minoderii językowej kilkakrotnie sobie w pamiętniku żartuje:

Onufry jak Niemca utnie... Ach co za szkoda, że dla przyzwoitości stylu nie mogę powiedzieć; „jak utnie w pysk“! — bo w tym, acz gminnym, wyrazie leży tyle prawdy, tyle nawet naśladowczej harmonii — ale nie wypada, nie można. więc powiadam: Onufry jak utnie Niemca (s. 14).

gdzie drzwi... sto reńskich! pokaż mi, gdzie droga“ to może trawestacja nie sławnego okrzyku szekspirowskiego Ryszarda III, ale Balladyny: „Świecy! — mój cały zamek za błysk świecy!“ (*Balladyna*, a. IV, w. 500).

Ale nie tylko w słowniku stara się nasz autor o dosadność i naturalność żywej mowy. Widzimy ją także w jego składni, zawsze dostosowanej do potrzeb tematu, a więc — gdy trzeba — luźnej, urywkowej, poszarpanej... Oto przykład.

Rejteruję się w porządku, ale śpiesznie. Czoło mojej kolumny debuszuje na plac pożądany... żywej duszy!... A do stu diabłów!... (tu kląć wolno). To nie przelewki, ale planu mego odwrotu nie widzę potrzeby zmieniać... Marsz! marsz! pędzę cwałem... Za mną się kurzy, a ja pędzę, pędzę przez wieś, przez pole... Widzę grenadiera, prowadzonego przez dwóch kozaków... Bywaj zdrow! o mojej przyjaźni dobrze mów! Ja pędzę dalej, aż nareszcie postrzegam oddział naszej jazdy, spieszący nam z miasta na pomoc. Odetchnęła moja szkapa, odetchnąłem : ja (s. 64).

Podobnych ustępów znajdziemy w pamiętniku mnóstwo: wszędzie, gdzie tylko opowiada Fredro o jakimś ruchu, rwetesie i pędzie. — Zresztą nie decydują one jeszcze o składniowym charakterze całości pamiętnika.

Bo w innych ustępach ma *Trzy po trzy* styl spokojny, gładki i płynny. Refleksje Fredry na temat rzeczy przeżytych układają się często w klasyczny kształt gnomów. Z tymi gnomami spotykamy się tu raz po raz. Oto np. uwaga przy wspomnieniu bitwy: „Nigdy życie raźniej i jaskrawiej nie gore jak ze śmiercią oko w oko i częstokroć jego mocniejsze łyśnięcie bywa ostatnim“ (s. 17). A oto wynik roztrząsań innego wspomnienia: „Trudno przepiłować się na dwoje i dwie ze siebie zrobić połowy, jedną jakim się było, a drugą jakim się jest“ (s. 70). W toku żywej opowieści o pierwszym spotkaniu z wojskiem polskim nasuwa się Fredrze aforyzm: „Wiara w konieczność przyczyny jest to jedna z najmocniejszych podpór w podróży życia“ (s. 102). Wspomnienie o pieczeniarskim i jego blagierskich opowiadaniach kończy się gnomiczną refleksją: „Trzeba prawdy kłamstwa, aby kłamstwo zająć mogło“ (s. 157). Opowieść o bitwie lipskiej prowadzi Fredrę do rozważań, które dają gnomicznie sformułowany wynik: „Biada człowiekowi, którego los zawisł od drugiego, ale dwakroć biada narodowi, co zawisł od interesu innego narodu. Narody sumienia nie mają“ (s. 18)... Obfitość tych gnomów nadaje pamiętnikowi *Trzy po trzy* szczególną cechą widoku na świat z wysokości wielkiego doświadcze-

nia i uspokojenia po burzach życiowych; rzuca też ciekawe światło na jedną z właściwości talentu Fredry — późniejszego autora m. i. *Zapisków starucha*.

Ustępy refleksyjne o takiej aforystycznej zwartości idą na przemian z ustępami odtwarzającymi gorączkowy wir życia, których przykłady jużśmy widzieli. Ale Fredro nie tylko daje nam wrażenie ruchu życia. Co chwila stawia nam przed oczy wyraziste obrazy tego życia, o wielkiej czystości rysunku. Dość przypomnieć choćby te dwa obrazy, które on sam przyrównywa do dzieł malarzkich: widok sztabu Napoleona przy biwaku („piękny widok nam się przedstawił, który jako godny pędzla podają malarzom do wiadomości“, s. 21), i scenę z oberży drezdeńskiej („obraz godny pędzla Hogartha“, s. 13).

Obrazowe zacięcie opowiadania fredrowskiego stylistycznie wyraża się najdobitniej w dużej ilości uplastyczniających porównań.

Im dalej od ciebie (młodości), tym więcej wzrasta tęsknota za tobą, tak jak wzrasta cień nasz własny na ścianie, gdy się od niej ku światłu cofamy, — wzrasta, — sięga stropu, — na strop wstępuje i nareszcie opływa nas zupełnie (s. 27).

To przykład porównania szerzej rozwiniętego. A oto porównania nie rozwinięte, nie mniej jakże dosadne: „Zasnąłem twardo jak panna po balu albo wikary po stypie“ (s. 55); „rociągnął się jak połoźnica“ (s. 87), „łeb rudy w loki jak zawijane zrazy“ (s. 139). Oto znamieny ustęp z charakterystyki lichego jeźdźca francuskiego, złożony z krótkich porównań:

„Jego łokcie odparte od ciała jak skrzydła młodego gołąbka, co chciałby a boi się pierwszy lot z gniazda przedsięwziąć. Jego głowa w tył zadarta, a pierś nachylona jak u naszego popa, kiedy o prezentę prosi — brzuch wypięty jak u spaszzonego karczmarza“ (s. 56).

Na wyróżnienie zasługują porównania ze sfery zwierzęcej, szczególnie widać lubo Fredrze. Mamy przecież w *Trzy po trzy* całą stronicę rozważań na temat, „że mnóstwo skłonności i narowów końskich spotykamy w ludziach“ (s. 122 i n.). Występuje tam cała seria zestawień różnych typów końskich z typami ludzkimi. Porównaniami ze sfery zwierzęcej posługuje się Fredro, mówiąc i o samym

sobie: czy to gdy humorystycznie powiada, że „wskoczył“ w wojnę „jak młody sarniuk na kwiecistą łąkę“ (s. 97), albo żartuje ze swego opowiadania: „jużi skoczyłem trzy lata w bok, sześć lat w tył jak zając, kiedy na ponowie zrzuca przed psami“ (s. 60), czy to gdy z melancholią wspomina czasy niewoli: „coraz więcej cofam się w siebie jak ślimak w swoją skorupę za pierwszym dotknięciem“ (s. 43). Takich porównań jest dużo.

Nie wszystkie jednak porównania, których tyle spotykamy w *Trzy po trzy*, mają charakter uplastyczniający. Wiele wśród nich jest takich, co najwidoczniej służą celowi podniesienia tonu uczuciowego opowieści. Jedne z nich są humorystyczne, inne szczerze liryczne. Za przykład porównania humorystycznego może służyć wyznanie Fredry, że kapelusz balowy, w którym 1809 r. stanął przed księciem Józefem, zawsze „jak zgryzota sumienia“ mąci sny jego swobodne (s. 92). Szczerym liryzmem tchnie np. porównanie w zdaniu o osobach, „co nic po sobie nie zostawiły prócz mego wspomnienia, jak kwiaty rozwinięte na wiosnę a rozwiane bez śladu: wiatrem jesiennym“ (s. 99). Jednego i drugiego typu porównań jest wiele. To samo można powiedzieć i o przenośniach, które tak samo i do uplastyczniania opowieści służą, i do wzmacniania jej tonu uczuciowego.

Ale Fredro umie silnie a zarazem bardzo dyskretnie wzmocnić ton opowiadania i za pomocą takiego pozornie bardzo prostego środka jak powtórzenie. Oto np. przejmujące wspomnienie o przejściu wojsk polskich pod komendę Aleksandra I: na prawym skrzydle szwoleżerowie, „o których można było powiedzieć, że ich *lzy* jeszcze nie oschły — tak jest *lzy*“ (s. 28). Oto jeszcze kilka przykładów, w których powtórzenia wprowadzają ton serdeczny:

Ach, gdybyśmy zoczyć mogli te liczne dramata, co się toczą w głębi serca, *a cicho, a cicho...* (s. 164).

Była to *wiosna* roku, *wiosna* mego życia, *wiosna* chlubnego zawodu, *wiosna* odradzającej się Ojczyzny (s. 92).

Kiedy po skończonych wojnach wróciłem w domowe zacisze, *wielu, wielu* razami uderzone *serce, serce* zakrwawione, zbolełe nie dozwalało pamięci rozpowiadać zdarzeń z onego czasu... (s. 41).

A oto przynajmniej jeden przykład bardziej złożonego zabarwienia uczuciowego osiągniętego przez powtórzenie:

Prawda tylko piękna! *prawda*, *prawda* wielkie słowo. Ale z *prawdą* jak z ogniem: grzeje, ale i pali razem (s. 11).

Czynnikiem, który niepomalu także wpływa na wymowę emocjonalną prozy fredrowskiej w *Trzy po trzy*, jest jej pierwiastek rytmiczny. Nie ma tu jakiejś rytmiki wyraźnie narzuconej i niezwykłej, jak np. w *Agaj-Hanie* Krasińskiego. Raz po raz jednak wyczuwamy, że w tkaninie składniowej są tutaj jakieś symetrie: czasem w nowej treści jakby coś wracało znajomego; kiedy indziej znowu oczywiste powtórzenie zdaje się przybierać odmienny odcień przez to, że zostało objęte innym podziałem niż poprzednio. Coś tutaj wyraźnie „faluje” i chwyta — mniej lub więcej świadomie — równomierności tego falowania. Wyczerpująca charakterystyka tej rytmiki wymagałaby dłuższego zachodu, ale łatwo wskazać na jeden ze znamienych jej przejawów. Jest nim skupianie zdań lub jednorodnych części zdania (rozwinętych czy nierozwinętych) w grupy równoległe, najczęściej potrójne. Oto kilka przykładów:

...pamiętam jeszcze (1) gwiazdy, co mi wtenczas świeciły, (2) głosy, co mi śpiewały, (3) mgły, co swoją wonną gazą łączyły niebo z ziemią, w których pomroku oko gubiło się tak chętnie (s. 60).

(1) W jego zdaniu jest jakaś oględność, (2) w żartach wstrzemięźliwość, (3) w grzeczności zbytek (s. 43).

(1) Ten miał wiecheć niby bukiet, (2) ten w ręku drąg niby karabin, a (3) tamten w zębach przełamany patyk niby fajkę (s. 46).

(1) Obudził się, kto drzymał, (2) zerwał się, kto leżał, (3) kto stał, podskoczył. Nie trzeba było pytać, gdzie? jak? co? (s. 61).

(I) (1) Co mam, trzymam, (2) czego nie mam, biorę — (II) (1) co było, to było — (2) co będzie, to będzie... (III) A ty ruszaj szkapo, (1) bo mi zimno kaducznie, (2) bo już noc na schyłku, (3) bo już widzę i cel mojej podróży (s. 83).

(1) Nim więc Napoleon abdykował, (2) nim monarchowie dernęli z kongresu, (3) nim Jankowski umęczony skonał, spotkałem go w Gotha na ulicy i taka rozmowa wszczęła się między nami... (s. 87).

(1) Szastałem się jak cywilista, (2) dzwoniłem ostrogami jak rycerz, (3) byłem grzeczny i wspaniały (s. 104).

(1) Każdy stąpa, jakby bał się kogo spłoszyć, (2) każdy mówi cichym głosem, jakby nie chciał obudzić, (3) każdy się uśmiecha a marsa stawia (s. 141).

Ten rytm trójkowy uprawiany był już przez mówców i pisarzy starożytnych. Odrodzenie rozpowszechniło go w piśmiennictwach nowoczesnych. Bywał stosowany i u nas przez wykwintnych stylistów. (Do pisarzy, u których szczególnie często się z nim można spotkać, należy Żeromski).

Takie są najbardziej uderzające właściwości prozy fredrowskiej w pamiętniku *Trzy po trzy*. Chyba wystarczają one do stwierdzenia, że książka ta, choć pisana bez myśli o publiczności, dla własnego tylko zadowolenia i dla rodziny, wcale nie ma „bezpretensjonalnej postaci luźnej gawędy“.

Pamiętnik *Trzy po trzy* mieni się rozmaitością tonów stylowych. Plastyczne obrazy idą tu na przemian z myślicielskimi gnomami, humorystyczną dosadność przeplata dyskretnie wzruszenie; marzenia i wspomnienia o kołyszącym rytmie snują się na zmianę z opowiadaniem o toku najzupełniej naturalnym... Wielkie bogactwo i wielka finezja.

5

Ale ani bogactwo ani finezja nie przykuwałyby nas do kart pamiętnika, gdyby nie był ciekawy człowiek, jego autor¹.

Na pierwszy rzut oka nie wydaje się on nam osobistością złożoną. Humor wprawdzie miesza się u niego z melancholią, rzewność przechodzi czasem w mizantropię; ale to w znacznej mierze tłumaczy epokę. A główne kierunki jego sympatii i antypatii możemy wskazać bez trudności.

Ale nie, wszystko naprawdę w nim jest takie prostolinijne. Przyjrzymy mu się tylko bardziej z bliska.

Z ogromną serdecznością mówi Fredro o świecie swojego, dzieciństwa. To prawda. Ale iluż z tego miłowanego świata wspomina głupców i blagierów: różnych Osuchowskich i Krzyżanowskich. Nie

¹ Rozdziały 1—4 tych uwag są przedrukiem, znacznie źresztą zmienionym, z książki *Ze studiów nad Fredrą* (Kraków 1921). Rozdział 5 został napisany dla niniejszego wydawnictwa.

tylko wspomina, ale właściwie ocenia. Idealną osobistością z tego świata jest dla Fredry jego ojciec: postać „bez skazy... jako człowiek i jako Polak“. A przecie ileż przytoczył szczegółów, które świadczą, jak mało troskliwy był ten kochany ojciec o wychowanie swoich dzieci. Cały epizod z Płachetką jako mistrzem edukacji (s. 134—5) jest pośrednim oskarżeniem Jacka Fredry. Wywód o zgubnych skutkach wychowania francuskiego i unikania szkół przez zamożniejszą szlachtę (s. 133—4) także w niego mierzy, mierząc w całą jego grupę społeczną. Nie jest więc nasz pamiętnikarz wcale bezwzględny chwałcą dawności, ani nawet własnej rodziny.

Jego relacja o wojsku polskim w armii napoleońskiej jakże daleka jest od ujęć prostolinijnych i ryczałtowych. O wartości militarnej tego wojska, o jego duchu wypowiada Fredro bardzo wysoką opinię (s. 30); a przecież na ile krytyki w stosunku do niego równocześnie się zdobywa.

I krytyka Fredry zresztą jest rozważna. Wie on, że są wypadki, w których nawet o dwóch prawdach trzeba mówić — w sensie brania pod uwagę to jednych, to innych okoliczności, uwzględniania to jednego, to innego punktu widzenia (s. 46, 127).

Jego zdolności wyodrębniania odcieni ujawniają się szczególnie wybitnie, kiedy Fredro charakteryzuje różne narodowości. Dużo np. w *Trzy po trzy* ujemnych uwag o Francuzach (o ich egoizmie, s. 48; o zarozumiałości, s. 55 itd.), ale obok nich jakiś hołd dla bohaterskiego męstwa saperów francuskich pod Berezyną (s. 9), jak wspaniała charakterystyka żołnierza francuskiego, który (s. 125) „rzadko kiedy wypełnia rozkazy jako ślepa część całości, ale zawsze jak myślące indywiduum“, i dalsze uwagi zarówno o *plusach* jak *minusach* tej właściwości. A jakże ciekawe to, co pisze o Rosjanach. Walczył z nimi, był u nich w niewoli („i to — jak zauważa — w chwili, gdy do zemsty niemało mieli powodów“), a przecież jego wspomnienia zaczynają się od stwierdzenia, że „wyjąwszy pierwszego zetknięcia się, na złe, ubliżające obchodzenie żalić się nie może“ (s. 35). A z jakim ciepłem mówi o owym „Głowińskim, czy Gołowińskim“ (s. 47), dymisjonowanym generale rosyjskim, który się nim opiekował w Wilnie w r. 1812; jaką naturalnością i ludzkością tchnie

epizod o szlafmicy ofiarowanej jeńcowi rosyjskiemu (s. 49). Dwa porównania żołnierzy francuskich z kozakami (s. 35, 126) są przyczynkami etnopsychologicznymi, których zarówno przenikliwość jak bezstronność można podziwiać. Jedna tylko była nacja, o której Fredro jakoś nic dobrego nie znalazł do powiedzenia: to Niemcy.

Rodaków starał się mierzyć tą samą miarą co obcych. Dużo wartości w ich charakterze widział. Kiedy mówi o kimś „Polak (...) z duszą i ciałem“ (jak np. na s. 48 o Kujawskim, albo we fragmencie brulionowym, s. 171, o ojcu), to to jest wielka pochwała. Ale ile zarazem krytycyzmu widzimy w jego stosunku np. do polityki polskiej (w czasach napoleońskich i w powstaniu listopadowym); jak cierpkie, a głębokie (przez późniejszą jeszcze historię potwierdzone) są jego sądy o kulcie osób w Polsce i o naszym „antyłącycznym usposobieniu“ (s. 88).

Jego patriotyzm — jak naturalna przy takim stopniu krytycyzmu — ma w sobie warstwę smutku. Mimo to jakże jest intensywny! Jak przesycona nim jest narracja o wypadkach 1809 r. (s. 168) n.); ile go Fredro potrafi ujawnić pośrednio: choćby w jednym „niestety“ (s. 117), kiedy mówi o przemianie polskiej nazwy w Lublinie na obcą.

A społeczna postawa Fredry? Szeroko się mówi o jego konserwatyzmie, ale się często miesza różne znaczenia tego wyrazu. Komédie tchną konserwatyzmem obyczajowym. Łączy się z nim zapewne w niemałej mierze i społeczny, trzeba jednak przyznać słuszność A. G. Siedleckiemu, że obok przywiązania do atmosfery szlacheckiego dworu wyczuwa się w nich „i krytycyzm, i jakąś nieświadomą może, ale niepokojącą potrzebę nowocześniejszego na świat spojrzenia“ (s. XIII). Fakty, które wiążą Fredrę z polityką konserwatywnego obozu galicyjskiego, są przeważnie późniejsze. Nawyczki, inklinacje konserwatywne przejawiają się w *Trzy po trzy*, np. w niezbyt uzasadnionym przez tok narracji, karykaturalnym obrazie „demagoga“ (s. 58), albo w beztriosliwym powtórzeniu niesmacznej anegdoty wyśmiewającej mieszczanina Rautenstraucha (s. 104). W niewcielonym do ostatecznej redakcji zakończeniu brulionowym (s. 178) mieściła się nawet obrona historycznej arystokracji

polskiej. Niewątpliwie był Fredro od wczesnych lat materiałem na konserwatystę i skłonności konserwatywne różnego rodzaju były w nim silne.

Ale czy to cała prawda o społecznej i społeczno-politycznej postawie Fredry? Pisząc o nim, nie możemy pomijać rozróżnień przez niego samego stosowanych. A on wiedział, że bywają prawdy niezupełne; mówił nawet o dwoistych.

Wczytajmy się uważnie w *Trzy po trzy*. Poeta opowiada, że kiedy po skończonych wojnach wrócił „w domowe zacisze“ (s. 41), „wielu, wielu razami uderzone serce, serce zakrwawione, zbolale“ nie pozwalało mu opowiadać o tych zdarzeniach, co „czyniły nas ogniwem, aczkolwiek drobniejszym niż myśl sobie wystawić może, ale jednak ogniwem łańcucha, który wzruszał zardzewiałe zaporę świata“. Mówi Fredro jeszcze o „morzu nadziei“, które go wśród tych wydarzeń nosiło. Zapewne, były to w wielkiej mierze nadzieje narodowe. Ale czy tylko? Gdyby tak było, nie mówiłby chyba Fredro o „zardzewiałych zaporach świata“ i o „łańcuchu“, co je „wzruszał“. I to, zważmy, Fredro koło r. 1846, może po nim (bo jest i wypadek z tego roku wspomniany w pamiętniku). Czy więc nie przesadził Kazimierz Wyka, autor życiorysu Fredry w *Polskim Słowniku Biograficznym* (t. VII, 1948), twierdząc, że naszego poety „nic nie łączy ze starszymi rocznikami napoleońskiej młodzieży polskiej“, które z nadziejami narodowymi zespały „idee wolnościowe powszechne“?

A ustęp o „łańcuchu, który wzruszał zardzewiałe zaporę świata“, nie jest jedynym w *Trzy po trzy* ustępem tego rodzaju. Dlaczegoż to abdykację Napoleona w Fontainebleau uważał Fredro za „jeden z największych, jeśli nie największy dramat historyczny“? (s. 28). On, który osobiście Napoleona nie znosił, a jego politykę polską wspominał z oburzeniem (s. 73)! Objasnienie Wyki zgoła tego nie tłumaczy.

A proszę sobie przypomnieć ową podróż fredrowską do Sandomierza, odbytą na półdrabku w r. 1809 (s. 96). Zasnął młody wojak. Zasnął i jego woźnica. Przez sen wsparli się o siebie.

Może mnie się śniło, że sparłem się na chłopku jak na bracie. Może on marzył, że jał mnie w objęcia jak brata, że z ufnością w łączne siły spogląda-

liśmy spokojnie na jutrzeńkę, co ponad odłogi, zwaliska, cmentarze ozłacała nowe, nowego kształtu budowy. Może to był sen, a może kiedyś stanie się rzeczywistością...

To były marzenia szesnastoletniego chłopca; ale powtarza je (no, i z jakim zabarwieniem uczuciowym!) Fredro, co zaczął szósty krzyżyk! A nie wyzyskany w ostatecznej redakcji pamiętnika rzut brulionowy utwierdza nas w przekonaniu, że to nie był tylko sentyment jakiejś jednej wyjątkowej chwili. Jakaż tam krytyka nie tylko porywu 1809 r., ale wszystkich w ogóle naszych narodowych ruchów zbrojnych po rozbiorach.

...Czy (...) wspomniał kto o pospółstwie? Czy przemówił do niego? Czy okazał mu, że go potrzebuje? Czy wezwał do obrony praw wspólnych? Czy nawet powiedział, o co idzie? Nie (...) Na szlachcie też się skończyło i zawsze skończyć się będzie, dopóki jedne żyły nie przepłotą wszystkich członków społeczeństwa, póki jednym tętnem bić nie będzie całe ciało narodu. Ku temu celowi winno postępować w każdym powstaniu narodu. Bylibyśmy przynajmniej zostawili ludowi na zawsze myśl i wiarę, czego się spodziewać, czego wraz z nami pragnąć, do czego dążyć powinien.

I jakaż po tych słowach jeszcze (s. 174) krytyka szlachty! Prawda, ten ustęp nie wszedł do ostatecznej redakcji dzieła, — podobnie jak nie wszedł bardzo osobisty ustęp (s. 178) o dzieciach, podobnie jak nie weszło zdanie: „Szczęście domowe Polaka jest teraz oazą kwiecistą wśród pustyń Sahary“... Nie można więc ich wciągać do charakterystyki *Trzy po trzy*. Ale niepodobna ich pomijać przy charakterystyce Fredry. No a *Trzy po trzy* sąsiaduje z nimi, zaiste, o miedzę.

Jeśli więc życiorys w *Polskim Słowniku Biograficznym*, mówi nam, że „już we wczesnej młodości (...) ustalili się Fredro na tradycyjnych w jego warstwie pozycjach psychologicznych“, i wśród tych pozycji wymienia przywiązanie do tejże warstwy, to, zapewne, nie możemy powiedzieć, że to jest nieprawda: owszem, to jest nawet prawda, ale — prawda z grubsza. Jeśli mamy ukazać pełny jej rysunek (nie pomijając linii cieńszych), to musimy dodać, że obok tych wszystkich przywiązań (które wedle słów A. G. Siedleckiego, niemal z instynktami u niego graniczyły) miał Fredro i niemało krytycyzmu w stosunku do nich; musimy dodać, że miał jeszcze

inne przywiązania, w których widoczny jest wpływ wolnościowych dążeń końca XVIII w. Przywiązania te nie rozrosły się w program. Nie zharmonizowały się nawet z innymi. Tak. Fredro nie był ideologiem. Pomijać je jednak — to by znaczyło zacierać pewne rysy jego autoportretu i pozbawiać pewnych ludzkich akcentów tę książkę, która jako całość jest tak ludzka i piękna: piękna dlatego właśnie, że ludzka (inaczej byłaby tylko kunsztowną).

Ludzka jest w każdym szczególe. Nawet kiedy mówi o rzeczach anormalnych. Bo chyba nie ulega wątpliwości, że mizantropia Fredry i jego drażliwość są chorobliwe. „Od wszystkich prawie źle byłem rozumiany“ (s. 131). „Ile razy pomknąłem się ze sentymentem, tyle razy szcztuka dostałem“ (s. 146). Zdania te i im podobne, jakich w pamiętniku sporo, świadczą wyraźnie o jakimś niewyleczonym urazie. Fredro sam się go dopatruje w ciężkich przejściach służby wojskowej (s. 75, 115). I nie mamy powodu mu nie wierzyć. Pisarz tej samej epoki Alfred de Vigny stworzył formułę: „niewola i wielkość wojskowa“ (*Servitude et grandeur militaires*). Jakakolwiek zresztą jest jego geneza, pamiętnik pisany z tym urazem mógłby być bardzo przykry. A jakiż jest! Fredro nie tai urazu. Owszem, daje mu się przejawiać od czasu do czasu. Mówi o nim. Ale okazje, przy których o nim mówi, same go często pomniejszają. Ciężary pracy wojskowo-kancelaryjnej (s. 75), niesprawiedliwa bura od generała (s. 115) — jakże drobne to rzeczy, i jak zaraz to, co w nich jest przykre, stonowane zostaje szczegółami humorystycznymi. Kiedy natomiast wypada Fredrze mówić o naprawdę bardzo ciężkich przejściach, mówi z prostotą, jak np. w opowieści o odwrocie spod Moskwy w r. 1812: „Okropnie tam było, okropnie, moi państwo!“ (s. 44). A kiedy opowiada o „niby-przyjacielu“, co mu w Moskwie był pożyczył jedno ze zdobycznych futer i zażądał oddania na mrozie w czasie odwrotu (s. 45), bo je właśnie komuś sprzedał, — jakże miarkowane są jego słowa, jaki — chciałoby się powiedzieć — tłumik wyczuwa się w jego głosie. Kiedy czytamy o tym wypadku, myślimy sobie, że on to raczej, niż przykrości służbowe, mógł się stać przyczyną mizantropii. Ale wtedy, kiedy wypadki same mówią, Fredro nie rozwodzi się nad swoim urazem.

Kazimierz Wyka uwydatnia w nim wrażliwość na „melancholijny urok przemijania“, na „gorzki powab wspomnień“. Tak, jest w nim coś, co świadczy, że żył w epoce Chateaubrianda, jak jest coś, co świadczy, że wyrósł w epoce kultu dla Sterne'a, i coś, co świadczy, że na młodość jego padł blask Rewolucji Francuskiej. Epoki nie wyprzedził, ale żył nią i to, co w niej było najlepszego, nie pozostało mu obce. Był człowiekiem. Trzeba go brać w całości.

Tak samo w całości trzeba brać jego wspomnienia *Trzy po trzy*, które, jak mówi Wyka (tu już bez zastrzeżeń można jego słowom przywzrostyć), „nie ustępują jego szczytowym komediom“ i stanowią „klejnot uczuciowego pamiętnikarstwa“.

W. Borowy

WSKAZÓWKI BIBLIOGRAFICZNE

Pamiętniki Aleksandra Fredry, skromnie przez autora zatytułowane *Trzy po trzy*, nie były przeznaczone dla szerszego ogółu. Skreślone w latach 1844—1846, miały pozostać „jako pamiątka w rękopiśmie dla rodziny“. Wszakże na schyłku życia, zawsze atoli w przekonaniu, że te wspomnienia „niewarte druku“, zgodził się autor na ich ogłoszenie i polecał nawet, by je „zakończyć wierszem *Pro memoria*“, zawierającym pewne szczegóły autobiograficzne. Zezwolenie powyższe upoważniło syna, Jana Aleksandra, do wydrukowania pamiętnika w warszawskiej *Gazecie Polskiej* 1877 r., oraz w zbiorowej edycji *Dzieł* ojca (Warszawa, 1880). Ukazały się wtedy równocześnie dwa wydania utworu: jedno całkowite (*Dzieła* t. XI, str. 1—209), drugie okrojone przez cenzurę warszawską (*Dzieła* t. XI, str. 1—191). Następne wydanie *Trzy po trzy* z przedmową Adama Grzymały-Siedleckiego przygotował, wstępem i uzupełnieniami zaopatrzył Henryk Mościcki (Kraków, G. Gebethner, 1917), było ono powtórzeniem obszerniejszego druku z 1880 r. i zawierało nadto pewne odmiany stylowe, oraz uzupełnienia według brulionu znajdującego się podówczas w archiwum Leona Szeptyckiego w Przyłbicach, obecnie zaś w zbiorach Ossolineum (rkp. nr 7160).

Wydanie niniejsze opiera się na edycji z 1917 r.

Dane życiorysowe o Aleksandrze Fredrze wraz z odpowiednią literaturą podaje Eugeniusz Kucharski we wstępie do wydania *Komedii* (Lwów 1926 i odbitka) oraz Kazimierz Wyka w *Polskim Słowniku Biograficznym* t. VII.



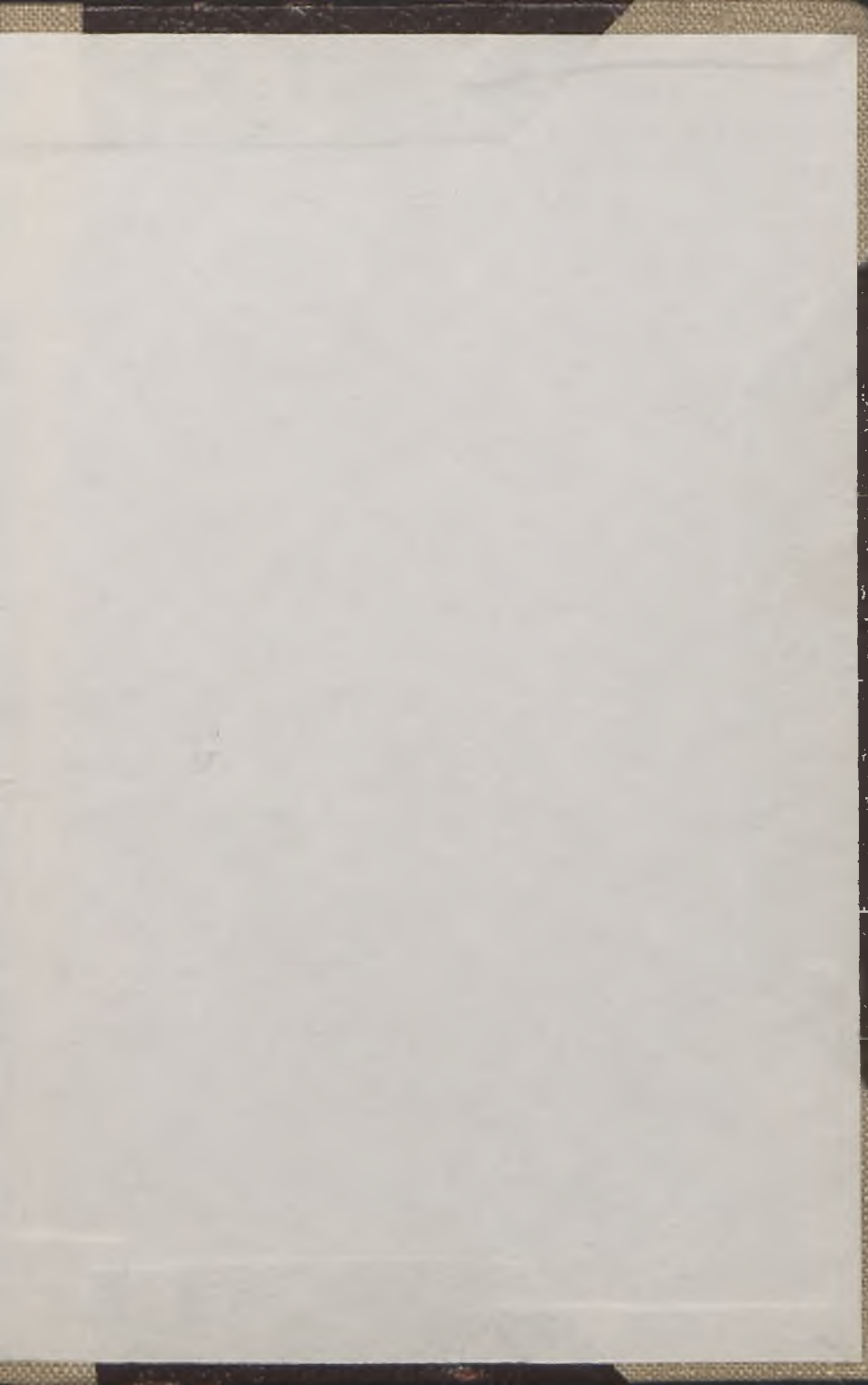
WYKAZ NAZWISK

- Aigner Piotr 100
 Alba Fernando 57
 Aleksander I 28, 29, 86—7, 98, 103
 Aleksander Wielki 122
 Antoniewicz 93
 Arena Bartłomiej 15
 Batory Stefan 41
 Bauffremont 49
 Baworowski Józef 115
 Beauvilliers Antoni 121
 Belliard Augustyn Daniel 49
 Beldowska 143
 Berry ks. Henryk 119
 Berry ks. Karol Ferdynand 119
 Berry ks. Maria 119
 Berthier Aleksander 18, 22—5, 30—1,
 34, 36, 57, 67—8, 70, 104
 Bertrand Henryk 24, 39, 82
 Biegański Łukasz 97, 144, 167
 Bierzyński Adam 115
 Biliński 114
 Blücher Franciszek 99
 Bleszyński Hipolit 16, 17
 Błędowski Aleksander 115
 Bogusławski Wojciech 66, 97, 146
 Bogusz 85
 Boileau-Despréaux Mikołaj 120
 Bolesław Krzywousty 75
 Boski Jan 115
 Boznańscy 115
 Boznański Feliks 111, 112
 Brunswicki ks. 32
 Brutus 114
 Brześciański Kasper 164
 Brzozowski Kazimierz 111
 Buturlin Elżbieta 145
 Canova Antoni 55
 Caulaincourt Armand 21
 Cetner Ignacy 157, 177
 Cezar 114
 Chłopicki Józef 88
 Chojecki Maksymilian 115
 Cieleccy 177
 Cusin 136
 Czarnek 115
 Czartoryska Izabela 122, 146, 165
 Czartoryski Konstanty 123
 Czekierski 114
 Dąbrowski Henryk 97
 Dąbrowski Wincenty 155, 138
 Dembińska Karolina z Humnickich 140,
 168
 Dembiński Antoni 142, 168
 Dembiński Jan Nepomucen 85, 143
 Dembiński Józef 172
 Dembiński Wojciech 140—142, 144, 168
 Dillon Teobald 32
 Dmuszewski Ludwik 27
 Don Carlos 57
 Drohojewski Augustyn 115
 Drohojewski Jan 115
 Drohojewski Seweryn 115
 Dulfus Stanisław 89
 Dulski Modest 115
 Dupuis 67
 Dwernicki Józef 28—9, 127
 Dziewanowski Dominik 172
 Elsner Józef Ksawery 27
 Etmajer 181
 Faïn Agaton 49
 Filip II 57
 Fiszer Stanisław 71, 104, 105, 115

- France 34
 Franciszek I 87
 Franconi 32
 Fredro Andrzej Maksymilian 124, 147
 Fredro Edward 98, 100, 101, 134
 Fredro Henryk 98, 100, 101, 134
 Fredro Jacek 97—9, 100, 107, 135,
 144—5, 148—154, 157—160, 166—7,
 169, 171, 177
 Fredro Julian 95, 98, 100, 134
 Fredro Maksymilian 74, 76, 98—101,
 103—5, 115, 123, 134—5, 144—5,
 164—5, 167
 Fredro Pius 154
 Fredro Seweryn 40, 86, 98—101, 107—8,
 134—6, 144—5, 148, 164, 167
 Fredrowa Kordula z Krasińskich 95
 Fredrowa Maria z Dembińskich 98—100,
 107, 143, 144, 150, 159, 166—7, 172
 Fredrowa Praskowia z Gołowinów 145
 Fredrówna Cecylia 98, 167
 Fredrówna Julia 98
 Fredrówna Ludwika 97, 144, 167
 Fryderyk August 16—18, 50—1, 90
 Gagarin 49
 Gérard Maurycy Stefan 8
 Głowiński (Gołowiński) 47
 Goldoni Karol 170
 Gonaut 80
 Goszczyński Seweryn 131, 180
 Goszkowski 172
 Grabowski Józef 27, 61—2
 Guzowski 113, 114
 Hekel 134
 Henryk IV 100
 Henrykowski 169
 Hogarth William 15
 Homer 11
 Horodyska Kordula 95
 Horodyski Kajetan 95
 Imański 109—111
 Jabłonowska Cecylia z Fredrów 98,
 167—8
 Jabłonowski 167
 Jabłonowski Ludwik 101
 Jankowski Antoni 86—7
 Jasiński Jakub 137, 148
 Jelski Ludwik 27, 139
 Kalinowski Józef 157
 Kamieniecka Ludwikowa 108—9, 117
 Kamieniecki Ludwik 109, 118
 Kamiński 89
 Kamiński Ignacy 172
 Kellerman Franciszek 83
 Kicki Ludwik 123
 Kicki Onufry 165
 Kiliński Jan 7
 Kitajgrodzki Mikołaj 160—3
 Klemenens 100
 Klicki Stanisław 40
 Komorowska Józefowa 171
 Komorowski Erazm 172
 Komorowski Franciszek 115, 121
 Komorowski Józef 170—1
 Konarski Ignacy 48, 139
 Konarski Michał 154
 Konstany w. ks. 28—30, 32, 111, 124,
 127
 Kopeć Józef 164—5
 Kopystyński 94
 Kopystyński Wincenty 95
 Korn 115
 Korzeniowski Józef 171
 Kossakowski Józef 23
 Kościelski Tadeusz 27
 Kościuszko Tadeusz 88, 104, 144
 Kowalewska 121
 Koźmiński 115
 Krasicka Ksawerowa 166
 Krasicki Franciszek Ksawery 169
 Krasiński Wincenty 28—30, 98
 Kraszewski Józef Ignacy 171
 Kraśnicki 115
 Krauze Franciszek 27
 Krukowiecki Jan 28, 123
 Krzyżanowski 155—7
 Kujawski 48
 Kurc 106, 144
 Kurcyusz Stanisław 90
 Kurnatowski Zygmunt 28, 74, 83, 89, 98
 Kuszell Antoni 114
 Kwilecki Józef 91, 104
 Larrey de Tamor Jan Dominik 23
 Latour-Maubourg Maria Wiktor 33
 Lefebvre Franciszek Józef 10, 89
 Lemański Ludwik 121—2

- Lesiecki 144
 Lewicki 109
 Lindenfeld Frik 144
 Ludwik XIV 73
 Ludwik XV 10
 Luter Marcin 122
 Łappa Antoni 47
 Łącki Franciszek 90
 Maciejowski 14
 Majorko 120
 Makomaski Wincenty 47—8
 Malczewski Antoni 171
 Małachowski Stanisław 115
 Maria Amelia 50
 Maria Augusta 51
 Maria Ludwika 87
 Marmont August Fryderyk 24, 39, 50
 Matłowski Mikołaj 137, 144
 Merfeldt 21
 Mickiewicz Adam 123, 165
 Mier Feliks 181
 Mieroszewski Ignacy 75
 Milberg (Mühlberg) Henryk 27—8, 40, 61—2
 Mineyko Michał 47, 130
 Mineyko Tomasz 47
 Młocki 177
 Mniszchowa Stanisławowa 166
 Mniszech Stanisław 166
 Mojżesz 122
 Molière Jan Baptysta 17
 Monthyon de Bailly Franciszek 23
 Morawski Franciszek 123, 179
 Mortier Edward 36—7
 Mossakowski 115
 Mozart Wolfgang 81
 Mroziński J. 180
 Murat Joachim 21, 39, 40, 49—51
 Napoleon 5, 8—10, 15—18, 20—2, 25—6, 28, 30—1, 36, 39—41, 49, 57, 63, 70, 72—3, 76, 89—91, 93, 98, 102—4, 107, 117, 120, 122, 126, 134, 173 179
 Neufchâtel ks. patrz Berthier
 Ney Michał 117
 Niegolewski Andrzej 27
 Niemcewicz Julian Ursyn 85
 Niesiołowski Ksawery 76
 Nowicki 109
 Nowicki Jakub 138
 Nowicki Wincenty 115
 Oborski Aleksander 50, 106
 Onufry (służący Al. Fredry) 10, 11, 13—17, 19, 20, 25, 38, 55, 61, 108, 130
 Orzechowski 158
 Orzechowski Piotr 144, 158, 163
 Orzelska 111
 Orzelski Marcin 111
 Osiński Ludwik 180
 Osuchowski 154—6
 Ożarowski 172
 Pac Ludwik 23
 Pajgert Józef Kalasanty 95
 Pascalis 57
 Perrot 168
 Plaut 106
 Płachetko 133—5, 145, 147—8
 Pietruski Józef 115
 Pol Wincenty 48
 Poniatowski ks. Józef 40, 70—1, 73, 75, 88, 91—2, 97—8, 101—6, 113, 115, 116, 125, 171, 173, 177
 Poniatowski Stanisław August 67, 106, 165
 Potczyński Ludwik 17
 Potocka Adamowa 114, 115, 121, 171
 Potocka Gertruda z Komorowskich 171
 Potocka Kordula 169—171
 Potocki Adam 71—2, 102, 110, 114, 115, 121, 171
 Potocki Artur 102, 103, 123
 Potocki Franciszek Salezy 171
 Potocki Stanisław 90, 97—8, 102, 123
 Potocki Stanisław Szcześny 171
 Potocki Teodor 169—171, 177
 Potulicki 115
 Priessnitz Wincenty 114
 Prótot 30, 31
 Przebendowski Konstanty 127
 Pular 27—8
 Racine Jan 49, 95, 112, 159
 Raczyński Atanazy 123
 Raczyński Edward 123
 Radziwiłł Dominik 171
 Radziwiłł Karol 157

- Rafael Santi 92
 Rautenstrauch Józef 104
 Rejtan Dominik 18, 25, 27—8, 52, 61
 Rejtan Tadeusz 18
 Rolet 120
 Romanowski 144
 Rostworowska Aniela 171
 Rostworowska Zofia 171
 Rostworowski 170
 Rostworowski Jan 72
 Rozwadowska Ludwika z Fredrów 98,
 167
 Rozwadowski Kazimierz 171—2
 Roźniecki Aleksander 103, 123—5, 127
 Rubin 141
 Rucka Amelia 85
 Ruisdael Jakub 100
 Rüdiger Teodor 87
 Rzyszczewski Gabriel 89
 Sagatyński Jan 165—6
 Schiller Fryderyk 57, 67, 129
 Sebastiani Henryk Franciszek 89
 Siedliski 94
 Siemianowski 124
 Siemieński 101
 Skrzynecki Jan 88, 123, 129
 Skrzyńska Wanda 167
 Skrzyński Feliks 17
 Smoliński 115
 Smólski 144
 Sobieski Jan 41
 Sokolnicki Michał 101
 Sołtyk Roman 27, 177—8
 Stadion Franciszek 181
 Stadnicki Aleksander 115
 Starzyński (Starzeński) Ignacy 115,
 173—4
 Stecewicz 133—4, 140
 Stoffel 27
 Suchorzewski Tadeusz 27, 49, 61—2,
 67, 69
 Sulimierski Anastazy 115
 Sulimierski Stanisław 51
 Sully Maksymilian 100
 Sułkowski Antoni 89—91, 123
 Sułkowski Józef 89
 Suworow Aleksander 137
 Szekspir 44
 Szercel 27
 Szumlański Ignacy 115
 Szumlański Jędrzej 47, 157
 Szumlański Józef 93, 98, 101
 Tański 115
 Thiers Ludwik 37
 Toliński Józef 89
 Tomicki Jan 49, 111, 115
 Trawiński Piotr 101, 134, 167
 Trębicka Aniela 108—9, 118
 Trębicka Pelagia 109
 Turkuł Ignacy 140
 Turno Kazimierz 168
 Twardowski 115
 Tyszkiewicz Tadeusz 89, 98, 105
 Umiński Jan 98
 Urbański Ludwik 154, 158, 163
 Uruski Kajetan 102
 Vandamme Dominik 20, 49
 Vero 121
 Victor-Perrin Klaudiusz 8
 Wąsowicz Dunin Stanisław 23
 Weintrotter 93
 Wesołowski Ksawery 115, 169
 Woroniecki Wincenty 115
 Wulf Ankiel 150, 160—1, 163
 Zacharyasiewicz Franciszek Ksawery
 149
 Zagórski 115
 Zajączek Józef 97, 137
 Zajączkowski 153—4
 Załuski Roman 115
 Zielonka Henryk 86, 115
 Zwierzyński 115
 Żółtowski Edward 90, 101
 Żurawski (Żórawski) Józef 111



Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka,
w Gdańsku

28682



28682

28682